John Steinbeck

KASZTANEK

I INNE OPOWIADANIA

Tytuły opowiadań w oryginale:

Johnny Bear * The White Quail *The Vigilante * The Chrysantemums * The Murder * The Raid * The Harness * The Red Pony

Tłumaczyli:

ARIADNA DEMKOWSKA

RYSZARDA GRZYBOWSKA

KRZYSZTOF KLINGER

JULIUSZ KYDRYŃSKI

ELEONORA ROMANOWICZ

ARTUR SANDAUER

JAN ZAKRZEWSKI

MARIA ZENOWICZ

Opracowanie graficzne JERZY JAWOROWSKI

JOHNNY NIEDŹWIEDŹ

Miasteczko Loma jest zbudowane, jak wskazuje jego hiszpańska nazwa, na niskim, okrągłym wzgórzu, które niby wyspa wznosi się u płaskiego wylotu doliny Salinas w środkowej Kalifornii. Na północ i na wschód od tej miejscowości ciągną się kilometrami czarne grząskie bagniska, natomiast od strony południa moczary zostały zdrenowane, przez co uzyskano bogate tereny pod uprawę warzyw - czarnoziem tak żyzny, że sałata i kalafiory osiągają na nim olbrzymie rozmiary.

Właściciele bagnisk na północ od miasteczka zaczęli zazdrościć innym urodzajnej ziemi i wspólnie założyli spółkę akcyjną celem osuszenia terenu. Pracuję w towarzystwie, które podpisało umowę na wykonanie kanału. Sprowadzono pływającą koparkę, która po zmontowaniu zaczęła kopać w poprzek bagien kanał odwadniający.

Próbowałem przez jakiś czas mieszkać w pływającym domku, razem z moją załogą, ale roje moskitów wirujące nad koparką, gęsta malaryczna mgła, która co wieczór niepostrzeżenie unosiła się z bagnisk i wisiała nisko nad ziemią, wypędziły mnie do miasteczka Loma. Tam, w domu pani Ratz, wynająłem umeblowany pokój, najbardziej ponury, jaki widziałem w życiu. Mógłbym był szukać dalej, ale powstrzymała mnie myśl, że pani Ratz będzie opiekować się moją korespondencją. Zresztą przychodziłem tylko spać do tego zimnego i nagiego pokoju. Jadałem zaś w kantynie pływającego domku.

Loma nie ma więcej niż dwustu mieszkańców. Najbardziej wzniesione miejsce wzgórza zajmuje kościół metodystów, którego wieżę widać z odległości wielu kilometrów. Dwa sklepy kolonialne, jeden - towarów mieszanych, stara Loża Masońska i bar Buffalo stanowią gmachy publiczne. Na zboczach wzgórz stoją drewniane domki mieszkańców, a na bogatych równinach od strony południowej - domostwa właścicieli ziemskich; niewielkie zabudowania otoczone zwykle wysoką ścianą strzyżonych cyprysów: osłona przed porywistymi wiatrami, które wieją tu często w porze zachodu słońca.

Wieczorami w Loma poza pójściem do baru nie było nic do roboty; bar był to stary budynek z desek, z drewnianym daszkiem nad wejściem i wahadłowymi drzwiami. Ani prohibicja, ani jej zniesienie nie zmieniło rodzaju handlu, gości ani też gatunku whisky. Każdy męski mieszkaniec Loma w wieku ponad piętnaście lat wieczorem co najmniej raz zachodził do baru Buffalo; wypijał swój kieliszek, porozmawiał chwilę i wracał do domu.

Gruby Carl, właściciel i barman, witał każdego przybysza z ponurą obojętnością, która

wzbudzała jednak przyjemne poczucie zażyłości. Twarz miał posępną, sposób mówienia jawnie nieuprzejmy, a przecież... Nie wiem, jak on to robił, wiem tylko, że ogarnęło mnie miłe ciepło, gdy Gruby Carl znał mnie już na tyle, że zwracając ku mnie swoją zgorzkniałą nalaną twarz mówił z pewnym zniecierpliwieniem:

- No, co ma być?

Zawsze zadawał to pytanie, chociaż nalewał tylko whisky, i tylko jeden gatunek whisky. Widziałem, jak stanowczo odmówił jakiemuś obcemu, który zażądał do whisky soku z cytryny. Gruby Carl nie lubił grymasów. W pasie przewiązany był wielką ścierką i chodząc po sali wycierał nią szklanki. Podłoga była z gołych desek posypanych trocinami, stara lada sklepowa zastępowała bar; krzesła twarde i proste; jedyną ozdobę stanowiły plakaty, prospekty i rysunki przyczepione do ścian przez kandydatów wyborczych okręgu, agentów handlowych i licytatorów. Niektóre z nich wisiały tu już wiele lat. Plakat szeryfa Rittala wciąż wzywał do jego ponownego wyboru, chociaż Rittal nie żył już od siedmiu lat.

Bar Buffalo (skoro już o nim mowa) robi wrażenie okropnej dziury, nawet na mnie samym; ale gdy szło się ciemną ulicą, po drewnianych chodnikach, kiedy długie pasma mgły z bagnisk, podobne do brudnych, rozwianych flag, oblepiały twarz i gdy wreszcie pchnęło się wahadłowe drzwi do baru Grubego Carla, gdzie mężczyźni rozsiadłszy się po kątach pili i rozmawiali, a Gruby Carl wychodził wam naprzeciw - wówczas ogarniało człowieka przyjemne uczucie. I nie można było obronić się przed nim.

Grano tam również w pokera w sposób jak najbardziej łagodny. Tymoteusz Ratz, mąż mojej gospodyni, układał pasjanse szachrując przy tym bezwstydnie, bo pił tylko wtedy, gdy pasjans mu wyszedł. Widziałem, jak pasjans mu wyszedł pięć razy pod rząd. Jeśli mu się udało, starannie składał karty, wstawał i z wielką godnością kierował się do baru. Gruby Carl, który zdążył już, zanim tamten podszedł, napełnić do połowy szklaneczkę, pytał:

- No, co ma być?

- Whisky - poważnie odpowiadał Tymoteusz. W długiej sali mężczyźni z miasteczka i farm rozsiadali się na twardych krzesłach lub stali oparci o ladę. Nie ustawał łagodny, miarowy szmer rozmów; tylko w okresie wyborów lub walk bokserskich można było usłyszeć dłuższe orać je czy głośno wypowiadane opinie.

Czułem lęk przed wyjściem w bagnistą noc, przed szczękiem żelaznego czerpaka i łoskotem dieslowskiego motoru koparki, które dochodziły mnie z dala, od strony moczarów, a wreszcie przed powrotem do ponurego pokoju u pani Ratz.

Wkrótce po moim przyjeździe do Loma udało mi się nawiązać znajomość z Mae Romero, ładną dziewczyną, pół krwi Meksykanką. Nieraz wieczorem przechadzałem się z nią po południo-

wym stoku wzgórza i dopiero obmierzła mgła zawracała nas do miasteczka. Odprowadziwszy ją do domu wstępowałem na chwilę do baru. Któregoś wieczora siedziałem tam gawędząc z Alexem Hartnellem, posiadaczem niewielkiej ładnej farmy. Rozmawialiśmy o wędkarstwie, gdy nagle drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły. Na sali zaległa cisza. Alex trącił mnie łokciem i powiedział: - To Johnny Niedźwiedź. - Rozejrzałem się dokoła.

Jego przezwisko określało go lepiej, niż ja mógłbym to uczynić. Miał wygląd dużego niedźwiedzia, głupiego i uśmiechniętego. Kołysał czarną zjeżoną głową, zwisające ramiona nasuwały myśl, iż zwykle chodzi na czterech łapach, a teraz wyprostował się tylko dlatego, że nauczono go tej sztuki. Pałąkowate, krótkie nogi były zakończone dziwacznymi kwadratowymi stopami. Ubrany był w drelichowy kombinezon, lecz stopy miał bose. Nie wyglądały na kalekie lub w jakiś sposób zniekształcone. Ale były kwadratowe, dokładnie tak samo szerokie jak długie. Stał chwilę przy wejściu podrzucając rękami, podobnie jak to robią idioci. Z twarzy nie schodził mu uśmiech szczęśliwego kretyna. Potem ruszył naprzód, a choć był tak wielki i niezgrabny, szedł w ten sposób, jakby się skradał. Poruszał się nie jak człowiek, ale jak nocne, drapieżne zwierzę. Stanął przy barze, małe błyszczące oczy przenosił wyczekująco z twarzy na twarz i spytał:

- Whisky?

W Loma nie znano częstowania. Zdarzało się, że jeden zapłaci kieliszek za drugiego, ale tylko wtedy, gdy miał pewność, że tamten natychmiast mu się odwzajemni. Toteż byłem zdumiony widząc, jak któryś z tych milczących spokojnych ludzi kładzie monetę na bufecie. Gruby Carl napełnił szklaneczkę. Potwór schwycił ją i jednym haustem wychylił whisky.

- Co za czort... - zacząłem. Lecz Alex trącił mnie łokciem i szepnął:

- Pst...

Wówczas rozpoczęła się dziwaczna pantomina. Johnny Niedźwiedź podszedł do drzwi i zaraz zawrócił skradającym się krokiem. Idiotyczny uśmiech nie schodził mu z twarzy. Pośrodku sali rozciągnął się płasko na brzuchu. Głos, który dobył się z jego gardła, był mi znajomy.

- Ależ pani jest zbyt piękna, żeby żyć w takiej dziurze.

Głos stał się wyższy, brzmiał łagodnie i gardłowo, z odrobiną obcego akcentu.

- Pan to mówi, ot, tak sobie.

Jestem pewien, że o mało nie zemdlałem. Krew uderzyła mi do głowy. Zaczerwieniłem się. To mój głos dobywał się z gardła Johnny Niedźwiedzia, moje słowa, moja intonacja.

A drugi, to był głos Mae Romero... jak żywy. Gdybym nie widział człowieka leżącego na brzuchu, zawołałbym na nią.

Dialog trwał nadal. Takie słowa brzmią niedorzecznie, kiedy słyszy się je z cudzych ust. Johnny Niedźwiedź mówił dalej albo raczej to ja mówiłem dalej. Powtarzał słowa, naśladował od-

głosy. Stopniowo twarze zebranych odwracały się od Johnnego Niedźwiedzia i spoglądały na mnie szczerząc zęby w uśmiechu. Nic na to nie mogłem poradzić. Wiedziałem, że jeśli spróbuję mu przerwać, będę musiał się bić. Scena trwała więc do ostatka. Gdy skończył, poczułem tchórzliwą radość, że Mae Romero nie ma brata. Jakże pospolite, wymuszone i śmieszne słowa dobywały się z Johnny Niedźwiedzia. Wreszcie podniósł się i znowu poprosił z uśmiechem idioty:

- Whisky?

Sądzę że mężczyźni w barze litowali się nade mną. Odwracali oczy pilnie rozmawiając ze sobą. Johnny Niedźwiedź odszedł w głąb sali. Wśliznął się pod okrągły stół do gry, skulił się jak pies i zasnął.

Alex Hartnell przypatrywał mi się ze współczuciem.

- Słyszał go pan po raz pierwszy?

- Tak, do licha, kto to jest?

Przez chwilę Alex zostawił moje pytanie bez odpowiedzi.

- Jeśli troszczy się pan o opinię Mae, mogę pana uspokoić, Johnny już ją przedtem naśladował.

- Ale w jaki sposób nas podsłuchał? Nie widziałem go.

- Gdy Johnny Niedźwiedź podsłuchuje, nikt go nie widzi ani nie słyszy. Umie poruszać się bezszelestnie. Czy pan wie, co robią nasi chłopcy, kiedy wychodzą z dziewczętami? Biorą ze sobą psa. Psy boją się Johnny'ego i czują, gdy nadchodzi.

- Wielki Boże! Ale te głosy... Alex pokiwał głową.

- Wiem. W sprawie Johnny'ego kilku z nas napisało nawet do Uniwersytetu. Przyjechał jakiś młody człowiek, rzucił na niego okiem i opowiedział nam historię ślepego Toma. Nie słyszał pan o ślepym Tomie?

- To ten murzyński pianista? Tak, słyszałem.

- No więc, ślepy Tom był zwykłym półgłówkiem. Ledwo umiał mówić. Ale powtarzał na fortepianie każdą posłyszaną muzykę, nawet długie utwory. Dokonywano prób z nim i ze świetnymi pianistami - powtarzał nie tylko dany utwór, ale i drobne odcienie w wykonaniu. Aby go przyłapać, robili małe błędy - a on powtarzał je również. Odtwarzał to, co grali, aż do najdrobniejszego szczegółu. Człowiek, który przyjechał, stwierdził, że z Johnny Niedźwiedziem jest podobna sprawa. Tylko, że Johnny odtwarza słowa i odgłosy. Zrobił z nim próbę - odczytał długi wyjątek po grecku i Johnny powtórzył go dokładnie. Nie rozumie słów, które mówi, ogranicza się do ich wypowiadania. Ma za mało rozumu, żeby zmyślić cokolwiek. Wiadomo, że to, co powtarza, jest naprawdę tym, co słyszał.

- Ale po co on to robi? Dlaczego jest ciekaw i podsłuchuje, jeśli nic nie rozumie?

Alex skręcił papierosa i zapalił.

- Wcale nie jest ciekaw. Ale Johnny Niedźwiedź uwielbia whisky. I wie, że jeśli powtórzy tu słowa podsłuchane pod oknami, zawsze ktoś postawi mu whisky. Próbował odtwarzać rozmowy pani Ratz w sklepie lub sprzeczki Jerry Rolanda z matką, ale za to nie dawali mu whisky.

- To dziwne, że nikt go nie zastrzelił, kiedy tak czatuje pod oknami.

Alex strząsnął popiół z papierosa.

- Wielu próbowało. Ale po prostu nie można go przyłapać. Johnny Niedźwiedź jest wtedy niewidzialny. Ludzie trzymają okna zamknięte i mimo to mówią szeptem, gdy nie chcą, by ich słowa zostały powtórzone. Miał pan szczęście, że było ciemno tego wieczora. Gdyby się panu przyjrzał, odegrałby scenę wraz z ruchami. Trzeba widzieć Johnny Niedźwiedzia, gdy wykrzywia twarz, by upodobnić się do młodej dziewczyny. To jest odrażające.

Patrzyłem na ciężki kształt rozciągnięty pod stołem. Johnny Niedźwiedź odwrócił się plecami do sali. Światło padało na czarny gąszcz jego splątanych włosów. Spostrzegłem, że duża mucha siadła mu na głowie i wówczas - przysięgam - cała skóra zmarszczyła mu się na czaszce, jak sierść konia, którego gryzą muchy. Mucha siadła znowu, odpędził ją tym samym ruchem owłosionej skóry.

Ja również wzdrygnąłem się całym ciałem.

Rozmowy na sali odzyskały znowu swą senną jednostajność. Gruby Carl od dziesięciu minut wycierał fartuchem tę samą szklankę. Obok mnie grupka ludzi rozprawiała o walce psów i walce kogutów zmierzając nieuchronnie ku walce byków.

Alex powiedział:

- Chodźmy, napijmy się.

Podeszliśmy do bufetu. Gruby Carl wyjął dwie szklanki.

- No, co ma być?

Żaden z nas nie odpowiedział. Carl nalał whisky. Spojrzał na mnie z ponurym wyrazem twarzy, a jedna z jego grubych, mięsistych powiek mrugnęła ku mnie porozumiewawczo. Nie wiem dlaczego, ale poczułem się mile pochlebiony. Carl wskazał głową stolik.

- Zrobił pana, co?

Odpowiedziałem mu takim samym zmrużeniem oka.

- Następnym razem pies - powiedziałem naśladując jego skrótowy styl. Wypiwszy whisky siedliśmy z powrotem. Tymoteuszowi Ratzowi znowu wyszedł pasjans. Złożył karty i podszedł do bufetu.

Spojrzałem w kierunku stołu, pod którym leżał Johnny Niedźwiedź. Przewalił się na brzuch. Uśmiechniętą idiotycznie twarz zwrócił do sali. Poruszał głową i patrzył wkoło jak zwierzę, które

chce opuścić swoją norę. Po chwili wyczołgał się stamtąd i stanął na nogach. Było coś paradoksalnego w jego sposobie poruszania się. Miał wygląd kaleki i niezdary, tymczasem poruszał się bez cienia wysiłku.

Johnny Niedźwiedź sunął do baru uśmiechając się do mężczyzn, których mijał. Przy bufecie podjął swe natarczywe pytanie:

- Whisky, whisky?

Brzmiało to jak krzyk ptaka. Nie wiem, co to za ptak, kiedyś go jednak słyszałem... dwie nuty, jedna niska, druga wysoka, powtarzające się bez przerwy:

- Whisky? Whisky?

Rozmowy umilkły, ale nikt się nie kwapił położyć na ladzie monetę. Johnny uśmiechał się żałośnie:

- Whisky?

Wreszcie spróbował zachęcić publiczność. Z jego gardła wydobył się głos rozzłoszczonej kobiety:

- Mówię panu, że to są same kości. Dwadzieścia centów za funt, a, połowa kości.

Potem mężczyzna:

- W porządku, proszę pani. Nie zauważyłem!

Dołożę trochę kiełbasy.

Johnny Niedźwiedź rozejrzał się z wyczekiwaniem:

- Whisky?

I znów nikt się nie zaofiarował.

Wówczas Johnny prześliznął się do drzwi i tam przykucnął.

Szepnąłem:

- Co on wyrabia? Alex mruknął:

- Pst, patrzy przez okno. Słuchajmy. Rozległ się kobiecy głos, zimny i pewny siebie.

Słowa brzmiały surowo:

- Nie mogę tego zrozumieć. Czy ty jesteś jakimś potworem? Gdybym cię nie była widziała, nie uwierzyłabym w to.

Odpowiedział inny głos kobiecy, niski i złamany cierpieniem:

- Może jestem potworem. Nic na to nie poradzę. Nic na to nie poradzę...

- Musisz jednak poradzić - przerwał zimny głos. - Lepiej byłoby, żebyś umarła.

Posłyszałem cichy szloch wydobywający się z grubych uśmiechniętych warg Johnny'ego Niedźwiedzia. Rozpaczliwy, kobiecy szloch. Odwróciłem się, by spojrzeć na Alexa. Siedział sztywno, nieruchomo, wpatrzony przed siebie. Otworzyłem usta, chciałem szeptem zapytać, ale

uczynił gest nakazujący milczenie. Przebiegłem salę oczami. Wszyscy słuchali uważnie i z napięciem. Szloch ustał.

- Tyś nigdy nie odczuwała tego, Emalino? Na dźwięk tego imienia Alex wstrzymał oddech.

Ostry głos oznajmił:

- Z pewnością nie.

- Nigdy, nawet w nocy? Nigdy - nigdy w życiu?

- Gdyby nawet - ciągnął dalej ostry głos - gdybym nawet coś takiego czuła, wydarłabym to z siebie. Teraz przestań jęczeć, Amy. Nie znoszę tego. Jeśli nie potrafisz zapanować nad nerwami, każę cię leczyć. Idź się modlić.

Johnny Niedźwiedź uśmiechał się:

- Whisky?

Dwaj mężczyźni podeszli do baru bez słowa i położyli na ladzie pieniądze. Gruby Carl napełnił dwie szklaneczki. Kiedy Johnny wychylił jedną po drugiej, Carl napełnił mu trzecią. Wszyscy zrozumieli, jak (bardzo był wstrząśnięty. W barze Buffalo właściciel nigdy nie stawiał kolejek. Johnny Niedźwiedź szeroko uśmiechnięty wyśliznął się z sali swym skradającym się krokiem. Drzwi zamknęły się za nim powoli i bez szelestu.

Nikt nie podjął rozmowy. Każdy zdawał się mieć jakąś swoją sprawę do rozważenia. Wychodzili jeden po drugim, a powiew otwieranych drzwi przynosił kłębki wilgotnej mgły. Alex podniósł się i wyszedł. Poszedłem za nim. Noc była okropna, pełna cuchnącej mgły, która jakby przyczepiała się do domów i wyciągała w powietrzu swe lotne ramiona. Przyśpieszyłem kroku i dogoniłem Alexa.

- Co to było - spytałem - o co w tym wszystkim chodziło?

Przez chwilę sądziłem, że mi nie zechce odpowiedzieć. Ale zatrzymał się i zwrócił do mnie:

- Do diabła. Niech pan słucha. Każde miasteczko ma swych arystokratów, swoje przykładne rodziny. Emalina i Amy Hawkins są naszą arystokracją. Stare panny, zacne kobiety. Ich ojciec był kongresmanem. Nie znoszę tego. Johnny Niedźwiedź nie powinien był tego robić. Przecież one go karmią. Ci ludzie nie powinni mu dawać whisky. Będzie się teraz włóczył wokoło ich domu. Wie, że w ten sposób może zdobyć whisky. Spytałem:

- Czy to są pana krewne?

- Nie, ale one są... co tu dużo gadać, one nie są podobne do innych ludzi. Mają farmę obok mojej. Dzierżawią ją Chińczycy. Rozumie pan, to trudno wytłumaczyć. Panny Hawkins to są symbole. Kiedy chce się opisać naszym bachorom porządnych ludzi, one służą za przykład.

- No tak, ale nic z tego, co mówił Johnny Niedźwiedź, nie może wyrządzić im krzywdy.

- Niewiele wiem. Nie wiem, co to miało znaczyć. Najwyżej domyślam się czegoś. Ach,

chodźmy już spać. Nie wziąłem Forda. Wrócę pieszo.

Pożegnał mnie i pospiesznie pogrążył się we mgle, wolno pełzającej po ziemi.

Skierowałem się do mieszkania pani Ratz. Od bagien słychać było łoskot motoru Diesla i metaliczny szczęk stalowego czerpaka, który wygryzał sobie drogę przez błoto. Była sobota wieczór. Koparka powinna przerwać pracę w niedzielę o siódmej z rana i stać aż do północy. Po dźwięku rozpoznawałem, że wszystko jest w porządku. Wdrapałem się na wąskie schody prowadzące do mojego pokoju. Leżąc już w łóżku zostawiłem jakiś czas zapalone światło i wpatrywałem się w blade i mdłe kwiaty na tapecie. Myślałem o tych dwóch głosach, które dobywały się z ust Johnny'ego Niedźwiedzia. To były żywe głosy, a nie ich naśladownictwo. Przypominając sobie ich brzmienie widziałem rozmawiające kobiety. Emalinę o lodowatym głosie i zrozpaczoną, złamaną cierpieniem twarz Amy. Zadawałem sobie pytanie, co było powodem tego cierpienia. Czy był to tylko żal samotnej kobiety, smutek minionej młodości? Trudno w to uwierzyć, gdyż zbyt wiele lęku było w jej głosie. Usnąłem przy zapalonym świetle i musiałem później wstać, żeby je zgasić.

Nazajutrz o ósmej rano poszedłem przez bagna do koparki. Załoga zajęta była zakładaniem na bęben nowego kabla i zwijaniem starego.

Rzuciłem okiem na robotę i koło jedenastej wróciłem do Loma. Przed domem pani Ratz ujrzałem Alexa Hartnella w odkrytym Fordzie typu T.

Zawołał do mnie: - Właśnie jechałem do koparki szukać pana. Dziś rano ustrzeliłem dwie kurki. Pomyślałem, że może miałby pan ochotę pomóc nam w jedzeniu.

Zgodziłem się z radością. Wprawdzie nasz mistrz, gruby, nalany mężczyzna, był dobrym kucharzem, ale od niedawna czułem do niego wzrastającą niechęć. Palił kubańskie papierosy w cygarniczce z bambusu. Bardzo mi się nie podobało drżenie jego palców każdego rana. Ręce miał takie, jakby je posypał mąką. Dopiero wtedy pojąłem, dlaczego ludzie nazywają „młynarzami" pewnego rodzaju ćmy. Zresztą mniejsza z tym. Usiadłem w Fordzie obok Alexa. Zjechaliśmy ze wzgórza kierując się ku żyznym polom na południo-zachodzie. Promienie słońca lśniły na czarnej ziemi. Kiedy byłem mały, jakiś chłopczyk-katolik powiedział mi, że w niedzielę zawsze, choćby na chwilę, musi zaświecić słońce, gdyż to jest dzień Pana Boga. Odtąd w niedzielę pilnie obserwuję pogodę, żeby sprawdzić, czy tak jest rzeczywiście. Klekocąc błotnikami zjechaliśmy na równinę. Alex krzyknął:

- Czy przypomina pan sobie panny Hawkins?

- Oczywiście, przypominam sobie.

Wskazał palcem przed siebie:

- Oto ich dom.

Był prawie niewidoczny za wysokim i gęstym żywopłotem z cyprysów. Wewnątrz zapewne

znajdował się niewielki ogród. Tylko dach i szczyty okien wynurzały się spoza wierzchołków drzew. Spostrzegłem, że dom był pomalowany na jasny brąz z ciemnobrązowymi obrzeżeniami, a więc w stylu większości budynków dworcowych i szkół w Kalifornii. W żywopłocie wycięto dwie furtki, jedną od strony drogi, drugą z boku. Stodoła stała już poza tym wieńcem zieleni, na tyłach domu. Równo strzyżony żywopłot wydawał się nieprawdopodobnie gęsty i rozrosły.

- Żywopłot chroni od wiatru - zawołał Alex przekrzykując warkot Forda.

- Ale nie chroni od Johnny'ego Niedźwiedzia - powiedziałem.

Twarz zachmurzyła mu się na chwilę. Wskazał mi bielony kwadratowy budynek stojący na uboczu wśród pól.

- Tu mieszkają dzierżawcy Chińczycy, świetnie pracują. Chciałbym mieć takich robotników.

W tej chwili koń zaprzęgnięty do lekkiego powoziku wynurzył się zza rogu żywopłotu i wjechał na drogę. Siwek był stary, ale dobrze utrzymany, powozik lśniący, a uprząż wyczyszczona. Przy końskich oczach, na obydwóch skórzanych klapkach widniały duże srebrne H. Wydawało mi się, że uzda jest zbyt krótka dla tak starego konia.

Alex zawołał:

- Oto one, jadą do kościoła. Mijając panie Hawkins skłoniliśmy się, a one lekko skinęły nam głowami. Mogłem im się dobrze przyjrzeć. Byłem wstrząśnięty. Wyglądały niemal dokładnie tak samo, jak je sobie wyobrażałem. Johnny Niedźwiedź był większym potworem, niż sądziłem, jeśli przy pomocy brzmienia głosu potrafił odtworzyć również wygląd swoich osób. Nie potrzebowałem pytać, która jest Emar lina, a która Amy. Chłodne oczy, stanowczy podbródek, wąskie, jak gdyby wykrojone diamentem usta, sztywna, kanciasta figura - to była Emalina. Amy była do niej podobna, lecz równocześnie zupełnie odmienna. Jakby bardziej zaokrąglona. Oczy miała ciepłe, pełne wargi, wydatne piersi. A mimo to była podobna do Emaliny. Lecz usta Emaliny były surowe z natury. Amy swoim nadawała surowość. Emalina mogła mieć pięćdziesiąt czy pięćdziesiąt pięć lat. Amy była o jakieś dziesięć lat młodsza. Widziałem je tylko raz w życiu przez krótką chwilę, i nigdy więcej. Dziwne, że nikogo na świecie nie znam lepiej od tych dwóch kobiet.

- Rozumie pan, co chciałem powiedzieć mówiąc „arystokratki" - krzyknął Alex.

Przytaknąłem mu. Nie trudno było to zrozumieć. Każda społeczność czuła się zapewne jak gdyby... bezpieczniejsza mając takie kobiety. Miasteczko w rodzaju Loma, ze swoją mgłą, z bagniskami jak paskudny grzech, naprawdę potrzebowało panien Hawkins. Kilka lat spędzonych tutaj mogło człowieka zupełnie wykończyć, gdyby nie było tych dwóch kobiet - jakby dla przeciwwagi.

Obiad był dobry. Siostra Alexa upiekła kurki na maśle, a także resztę obiadu przyrządziła świetnie. Stałem się bardziej podejrzliwy i mniej miłosierny w stosunku do naszego kucharza. Sie-

dzieliśmy w jadalni popijając znakomitą brandy. Powiedziałem:

- Nie rozumiem, dlaczego chodzi pan do Buffalo, ta brandy jest...

- Wiem - powiedział Alex. - Ale Buffalo jest duszą Lomy. To nasz dziennik, nasz teatr, nasz klub...

Było to tak oczywiste, że kiedy Alex wyciągnął Forda, by mnie odwieźć, wiedzieliśmy obaj, że pojedziemy do baru Buffalo, spędzić tam godzinę lub dwie.

Dojeżdżaliśmy już do miasta, słabe światła wozu pełgały na drodze. Jakieś auto trzęsąc się i podskakując zbliżało się ku nam. Alex skręcił w poprzek drogi i stanął.

- To lekarz, doktor Holmes - wyjaśnił. Nadjeżdżający wóz zatrzymał się nie mogąc nas wyminąć. Alex zawołał:

- Hallo, doktorze! chciałem pana poprosić, żeby pan obejrzał moją siostrę. Ma spuchnięte gardło.

Doktor Holmes odpowiedział:

- Oczywiście, Alex, przyjadę ją zobaczyć. Zechce się pan usunąć z drogi, śpieszę się bardzo.

Alex zwlekał, zapytał wręcz:

- Kto jest chory, doktorze?

- Panna Amy zemdlała. Telefonowała panna Emalina i prosiła, żebym się pośpieszył. Niech pan zwolni drogę.

Alex cofnął wóz, żeby przepuścić lekarza. Pojechaliśmy dalej. Już chciałem zauważyć, że noc będzie jasna, gdy patrząc przed siebie ujrzałem smugi mgły ciągnące od bagnisk; chwiały się wokół wzgórza, pełznąc jak leniwe węże ku wierzchołkowi, gdzie stało miasteczko. Ford dygocąc zatrzymał się przed Buffalo. Weszliśmy.

Gruby Carl podszedł ku nam wycierając szklankę o fartuch. Sięgnął pod ladę po najbliższą butelkę:

- No, co ma być?

- Whisky.

Wydało mi się, że lekki uśmiech zajaśniał na mgnienie oka na jego tłustej ponurej twarzy. Sala była pełna. Cała załoga pływającej koparki siedziała tu również. Z wyjątkiem kucharza. Został pewnie na barce i palił w bambusowej fajeczce swe kubańskie papierosy. Nie pił. To wystarczało, żeby wzbudzić podejrzenie w moich oczach. Siedzieli dwaj pontonierzy, jeden maszynista i trzech dźwigowych. Dźwigowi rozprawiali o kopaniu kanału. Stare przysłowie drwali miało zastosowanie i do nich: „W lesie o kobietach, a w burdelu o karczowaniu drzew".

Był to najspokojniejszy bar, jaki kiedykolwiek widziałem, żadnych burd, mało śpiewu, żadnych świństw. W niewiadomy sposób posępne oko Grubego Carla czyniło z picia raczej zajęcie

spokojne i celowe, niż wrzaskliwą rozrywkę. Tymoteusz Ratz rozkładał pasjansa przy jednym z okrągłych stołów. Alex i ja sączyliśmy whisky. Ponieważ nie było ani jednego wolnego krzesła, staliśmy oparci o bufet gawędząc o sportach i handlu, opowiadając sobie nasze zmyślone i prawdziwe przygody. Słowem, najzwyklejsza knajpiana rozmowa. Od czasu do czasu wypijaliśmy szklaneczkę. Tak zbiegła godzinka lub dwie. Alex powiedział, że już pojedzie, ja miałem ochotę zrobić to samo. Załoga koparki wyszła gromadnie, gdyż o północy mieli zacząć pracę.

Drzwi otworzyły się cicho i Johnny Niedźwiedź wtoczył się na salę. Kołysał długimi ramionami, kiwał rozczochranym łbem i uśmiechał się głupio. Jego kwadratowe stopy stąpały niby łapy kota.

- Whisky? - zaćwierkał.

Nikt go nie zachęcił. Rozpoczął swoje sztuczki. Położył się na brzuchu, podobnie jak wtedy, gdy naśladował mnie. Rozległy się śpiewne, nosowe dźwięki; sądzę, że to mówił Chińczyk. Potem inny głos, powoli i bez nosowego akcentu, powtarzał, jak mi się zdaje, te same słowa. Johnny Niedźwiedź uniósł kudłaty łeb i prosił:

- Whisky?

Podniósł się z podłogi lekko i bez wysiłku. Zaciekawiło mnie to, chciałem przyjrzeć się jego talentom. Położyłem ćwierć dolara na barze. Johnny chciwie połknął zawartość szklanki. W chwilę potem żałowałem mojego postępku. Bałem się spojrzeć na Alexa, gdy Johnny Niedźwiedź przesunął się na środek sali i tam przykucnął, niby podsłuchując pod oknem.

Chłodny głos Emaliny mówił:

- Ona jest tutaj, doktorze.

Zamknąłem oczy, żeby nie widzieć Johnny'ego Niedźwiedzia; przestał istnieć. Mówiła Emalina Hawkins.

Słyszałem doktora rozmawiającego na drodze i wiem, jak prawdziwy był głos, który potem się odezwał:

- Hm, pani mówi: omdlenie...

- Tak, doktorze.

Zapadło krótkie milczenie, doktor podjął bardzo łagodnie:

- Dlaczego ona to zrobiła, Emalino?

- Dlaczego co zrobiła, doktorze? Była prawie groźba w tym pytaniu.

- Jestem waszym lekarzem, Emalino. Byłem lekarzem waszego ojca. Trzeba mi mówić prawdę. Czy pani sądzi, że nigdy przedtem nie widziałem takich śladów na szyi? Jak długo ona wisiała, zanim ją pani odcięła?

Znowu zapanowało dłuższe milczenie. Głos kobiecy stracił swój chłód. Stał się miękki,

przeszedł prawie w szept:

- Dwie albo trzy minuty. Czy ona przyjdzie do siebie, doktorze?

- Och, tak, na pewno przyjdzie do siebie. To nic poważnego... Dlaczego to zrobiła?

Głos, który odpowiedział, był jeszcze bardziej zimny niż na początku. Brzmiał lodowato:

- Nie wiem, proszę pana.

- Chce pani powiedzieć, że nie życzy sobie, abym o tym wiedział?

- Chcę powiedzieć tylko to, co powiedziałam.

Wówczas głos doktora mówił dalej zalecając odpoczynek, mleko, trochę whisky.

- A przede wszystkim, niech pani będzie dobra - powiedział. - Przede wszystkim niech pani będzie dla niej dobra.

Głos Emaliny drżał nieco:

- Pan nikomu nie powie, doktorze?

- Jestem pani lekarzem - rzekł miękko. - Oczywiście nikomu nie powiem. Przyślę dziś wieczorem jakiś środek uspokajający.

- Whisky?

Gwałtownie otworzyłem oczy. Potworny Johnny Niedźwiedź uśmiechał się do całej sali.

Ludzie siedzieli zawstydzeni i milczący. Gruby Carl patrzył w ziemię. Czując się, za to odpowiedzialny, szepnąłem do Alexa:

- Nie wiedziałem, że on to zrobi. Przepraszam bardzo.

Wyszedłem i wróciłem do swego obrzydłego pokoju u pani Ratz. Otworzyłem okno i zacząłem oglądać pełzającą mgłę. Słyszałem, jak w dali, na bagnach, powoli rusza i rozgrzewa się motor Diesla. Po chwili doszedł mnie metaliczny szczęk wielkiego czerpaka rozpoczynającego drążenie kanału.

Nazajutrz od rana spadła na nas seria wypadków, zwykłych przy takiej pracy. Jeden z nowych kabli urwał się przy nawijaniu, wskutek czego czerpak runął na ponton zanurzając go wraz z całą konstrukcją na osiem stóp w błotnistej wodzie. Kiedy wbiliśmy grubą belkę i zarzuciwszy na nią linę próbowaliśmy wydobyć się z wody, lina pękła odcinając gładko nogi pontonierowi. Podwiązaliśmy krwawe kikuty i natychmiast odesłaliśmy go do Salinas. Następnie powtarzały się małe wypadki. Jeden z dźwigowych zadrapawszy się kablem dostał zakażenia krwi. Kucharz wreszcie potwierdził mój sąd o nim próbując sprzedać maszyniście małe pudełko marihuany. Krótko mówiąc - na terenie robót nie było chwili spokoju. Minęły dwa tygodnie, za nim rozpoczęliśmy pracę mając nowy ponton, nowego pontoniera i nowego kucharza. Kucharz był człowiekiem czarnym i chytrym, miał długi nos i talent do zręcznych pochlebstw.

Mój kontakt z towarzyskim życiem Łomy urwał się, ale pewnego wieczoru, kiedy czerpak z

żelaznym szczękiem ponownie zanurzył się w błoto, kiedy stary Diesel znowu hałasował po bagnach, poszedłem pieszo na farmę AleXa Hartnella. Mijając dom panien Hawkins spojrzałem przez jedną z furtek w cyprysowym żywopłocie. Dom tonął w ciemnościach, a słabe światełko błyszczące w jednym z okien podkreślało jeszcze tę ciemność. Tego wieczora wiał łagodny wiatr rozdmuchując po ziemi kłęby mgły niby główki ostu. Przez chwilę szedłem polem wolnym od mgły, potem wchłonęła mnie znowu, wreszcie się z niej wydostałem. W świetle gwiazd mogłem widzieć wielkie srebrne kule mgły pełznące polem jak ektoplazma. Zdawało mi się, że obok, za żywopłotem, słyszę cichy jęk. A kiedy wyszedłem nagle z mgły, zobaczyłem jakiś ciemny kształt biegnący polami. Po powłóczystych krokach poznałem, że to był jeden z chińskich robotników obuty w sandały. Chińczycy jedzą mnóstwo rzeczy, na które muszą polować nocą.

Kiedy zapukałem, w drzwiach zjawił się Alex. Wydawał się rad, że mnie widzi. Jego siostry nie było. Usiedliśmy przy piecu, wyciągnął butelkę swojej świetnej brandy.

- Słyszałem - powiedział - że miał pan przykrości.

Opowiedziałem moje kłopoty.

- Wydaje mi się, że to są serie. Ludzie wyliczyli, że wypadki nadchodzą grupami - *po* trzy, pięć, siedem lub dziewięć.

Alex uczynił potakujący gest:

- Sam czuję, że tak bywa.

- Jak się czują siostry Hawkins? - spytałem. - Mijając ich dom słyszałem chyba czyjś płacz.

Zdawało mi się, że Alex wzdraga się przed rozmową na ten temat, a jednocześnie ma na nią ochotę.

- Wstąpiłem tam przed tygodniem. Panna Amy nie czuje się dobrze. Nie widziałem jej. Widziałem tylko pannę Emalinę.

Potem zaczął mówić szczerze:

- Coś ciąży nad tymi kobietami... coś...

- Pan chyba jest ich krewnym - rzekłem.

- Otóż ich ojciec i mój byli przyjaciółmi. Nazywaliśmy je ciocią Amy i ciocią Emaliną. One nie mogą zrobić nic złego. Każdy z nas musiałby zwątpić o wszystkim na świecie, gdyby siostry Hawkins przestały być siostrami Hawkins.

- Sumienie społeczne? - zapytałem.

- One są naszą ostoją! - wykrzyknął. - W ich domu nasze dzieci dostają pierniki, a młode dziewczęta znajdują pociechę. One są dumne, ale wierzą w to, o czym sądzimy, że jest prawdą, i żyją tak, jakby... no, jakby uczciwość była istotnie najlepszą postawą wobec świata, a miłosierdzie samo w sobie zawierało nagrodę. One są nam potrzebne.

- Rozumiem.

- Ale panna Emalina walczy z czymś strasznym i nie przypuszczam, żeby mogła zwyciężyć.

- Co pan ma na myśli?

- Sam nie wiem. Ale myślałem, żeby zabić Johnny'ego Niedźwiedzia i wrzucić go do bagna. Naprawdę myślałem o tym.

- To nie jego wina - zauważyłem. - On jest rodzajem automatu rejestrującego i reprodukującego, tylko że wprawia się go w ruch nie za pomocą monety, lecz kieliszka whisky.

Potem mówiliśmy o innych sprawach i niedługo wróciłem do Lomy. Przy domu panien Hawkins wydało mi się, że mgła uczepiła się ich cyprysowego szpaleru, że jej część zalega wokoło, podczas gdy inna powoli wnika do środka. Uśmiechnąłem się na myśl, że umysł ludzki potrafi naginać naturę do swoich wyobrażeń. Gdy mijałem dom, nie paliło się w nim ani jedno światło.

Praca moja nabrała przyjemnej jednostajności. Wielki czerpak drążył przed sobą kanał. Bardzo pomagało w pracy i to, że załoga czuła, iż kłopoty się skończyły, a nowy kucharz tak umiał owinąć ludzi koło palca, że zjedliby chętnie pieczeń z betonu. Dla samopoczucia załogi osobowość kucharza znaczy o wiele więcej niż jego kuchnia.

W dwa dni po wizycie u Alexa zmierzałem drewnianym chodnikiem do baru Buffalo, zostawiając za sobą smugę mgły. Gruby Carl podszedł do mnie wycierając szklankę. Krzyknąłem: - Whisky! - zanim zdążył spytać: „No, co ma być?" Wziąłem szklankę i usiadłem na twardym krześle. Alexa nie było. Tymoteusz Ratz układał pasjansa i miał passę niezwykłego szczęścia. Pasjans wyszedł mu cztery razy pod rząd i za każdym razem Ratz wychylał szklankę. Napływało coraz więcej gości. Nie wiem, co byśmy robili bez baru Buffalo.

Około dziesiątej wszyscy już znali nowinę. Później myśląc o tych sprawach nigdy nie można sobie dokładnie przypomnieć, jak to się odbyło. Ktoś wchodzi, zaczynają krążyć jakieś szepty i nagle wszyscy dokładnie wiedzą, co się stało. Panna Amy odebrała sobie życie. Kto przyniósł tę wiadomość? Nie wiem. Powiesiła się. Na sali niewiele mówiono o tym. Zauważyłem, że ludzie usiłują robić dobrą minę. To wydarzenie nie mieściło się w ich schematach. Łączyli się w grupki, cicho rozmawiając.

Drzwi otworzyły się powoli i Johnny Niedźwiedź wśliznął się do środka kołysząc swą wielką kosmatą głową. Z twarzy nie schodził mu uśmiech idioty, jego kwadratowe stopy sunęły po podłodze bezszelestnie. Rozglądał się wokół i zachęcał:

- Whisky, whisky dla Johnny'ego?

Teraz ludzie rzeczywiście chcieli dowiedzieć się prawdy. Wstydzili się swej ciekawości, ale cały ich system myślenia wymagał, aby wiedzieli, co się stało. Gruby Carl napełnił szklankę. Tymoteusz Ratz odłożył karty i wstał. Johnny Niedźwiedź połknął whisky. Zamknąłem oczy.

Głos doktora brzmiał surowo:

- Gdzie ona jest, Emalino?

Nigdy w życiu nie słyszałem głosu takiego jak ten, który odpowiedział. Opanowany, szczyty opanowania - lecz skamieniały od najstraszliwszej rozpaczy. Brzmiał jednostajnie, bez wzruszenia, a jednak przeniknięty rozpaczą.

- Jest tutaj, doktorze.

- Hm - długa pauza. - Musiała długo wisieć.

- Nie wiem jak długo, doktorze.

- Dlaczego to zrobiła, Emalino? Znowu monotonny głos:

- Nie wiem... doktorze. Jeszcze dłuższa pauza, a potem:

- Czy pani wiedziała, Emalino, że ona spodziewała się dziecka?

Zimny głos załamał się, posłyszałem westchnienie.

Potem bardzo cicho: - Tak, doktorze.

- Jeśli dlatego tak długo nie potrafiła pani jej znaleźć... Nie, Emalino, nie chciałem tego powiedzieć, biedactwo.

Głos Emaliny odzyskał opanowanie:

- Czy pan może wystawić akt zgonu bez wzmianki o...

- Oczywiście, że mogę, na pewno mogę. A poza tym porozumiem się z zakładem pogrzebowym. Nie potrzebuje się pani kłopotać.

- Dziękuję, doktorze.

- Chciałbym teraz zatelefonować. Nie chcę zostawiać pani tutaj samej, chodźmy do innego pokoju, Emalino. Dam pani środek uspokajający...

- Whisky? Whisky dla Johnny'ego?

Zobaczyłem uśmiech i kołyszącą się kudłatą głowę. Gruby Carl napełnił szklankę. Johnny wychylił ją i natychmiast śmignął w głąb sali, wpełznął pod stół i usnął.

Nikt nie odezwał się słowem. Ludzie podchodzili do baru. Kładli na ladę monety. Byli oszołomieni, cały ich światopogląd runął. W kilka chwil później Alex wszedł do cichej sali. Szybko podszedł do mnie:

- Wie pan już? - szepnął.

- Tak.

- Bałem się tego. Mówiłem panu wtedy wieczorem. Bałem się tego. Powiedziałem:

- Czy wiedział pan, że ona była w ciąży? Alex znieruchomiał. Przebiegł salę oczami, potem spojrzał na mnie:

- Johnny Niedźwiedź? - spytał.

Skinąłem potakująco.

Przesunął dłonią po oczach.

- Nie mogę w to uwierzyć.

Już miałem mu odpowiedzieć, gdy posłyszałem jakiś hałas w końcu sali. Johnny Niedźwiedź wyłaził ze swej nory czołgając się jak borsuk. Podniósł się i prześliznął do baru.

- Whisky - śmiał się wyczekująco do Grubego Carla.

Alex wystąpił naprzód i zwrócił się do zgromadzonych:

- Słuchajcie, to zaszło już dość daleko. Nie życzę sobie tego więcej.

Zawiódł się, jeśli oczekiwał sprzeciwu. Zobaczyłem, że ludzie potakują głowami.

- Whisky dla Johnny'ego? Alex zwrócił się do idioty:

- Powinieneś się wstydzić. Panna Amy karmiła cię i dawała ci ubranie, które masz na grzbiecie.

Johnny uśmiechał się do niego:

- Whisky?

Zaczął pokazywać swoje sztuczki. Usłyszałem śpiewny, nosowy język, zdaje się, że chiński. Alex jak gdyby uspokoił się.

Potem drugi głos powoli i wahająco, bez nosowego brzmienia, powtarzał te same słowa.

Alex skoczył tak szybko, że nim się spostrzegłem, już go dopadł. Jego pięść runęła na uśmiechnięte wargi Johnny'ego Niedźwiedzia.

- Powiedziałem ci, że dosyć już tego!

Johnny Niedźwiedź odzyskał równowagę. Wargi miał pęknięte i zakrwawione, ale nie schodził z nich uśmiech. Poruszał się powoli i bez wysiłku. Jego ramiona otoczyły Alexa jak macki anemonu otaczają kraba. Alex przegiął się w tył. Wówczas podbiegłem, chwyciłem jedno z ramion Johnny'ego i próbowałem je wykręcić. Gruby Carl przelazł przez bufet z kawałkiem żelaza w ręce i zaczął nim walić w zjeżony łeb, aż wreszcie ramiona rozluźniły się i Johnny Niedźwiedź runął na podłogę. Objąłem Alexa i pomogłem mu usiąść na krześle.

- Zranił pana?

Dysząc próbował powiedzieć:

- Sądzę, że tylko nadwerężył mi trochę krzyż,

Przejdzie.

- Ma pan Forda? Zawiozę pana do domu. Gdy mijaliśmy dom sióstr Hawkins, żaden z nas nie spojrzał w tamtą stronę. Nie odrywałem wzroku od drogi. Wprowadziłem Alexa do ciemnego domu, pomogłem mu się położyć, napoiłem go gorącą brandy. Przez całą drogę nie odezwał się słowem. Ale teraz wyciągnięty już w łóżku spytał:

- Nie myśli pan, że ktoś się zorientował? W porę go powstrzymałem, co?

- Ale o czym pan mówi? Jeszcze teraz nie rozumiem, dlaczego pan go uderzył?

- Więc dobrze, niech pan posłucha - powiedział. - Z powodu tego krzyża przez jakiś czas nie będę mógł wychodzić. Jeśli posłyszy pan, że ktokolwiek coś mówi, niech pan przerwie, dobrze? Nie trzeba, żeby o tym gadano.

- Nie rozumiem, o co panu chodzi? Przez chwilę patrzył mi w oczy.

- Myślę, że mogę panu zaufać - powiedział. - Ten drugi głos... to była panna Amy.

Tłumaczyła Maria Zenowicz

BIAŁA PRZEPIÓRKA

I

W bawialni ścianę naprzeciw kominka zajmowało olbrzymie werandowe okno złożone z romboidalnych, w ołów oprawnych szybek, sięgające od wyścielanego parapetu niemal aż po sufit. Przez okno to, a zwłaszcza gdy się usiadło na parapecie, można było patrzeć na ogród i wzgórze. Ogrodowe dęby rzucały cień na szeroki pas trawnika, a każde drzewo okalał starannie utrzymany klomb wspaniałych cynerarii o różnych barwach, od szkarłatu do szafiru, i o takim bogactwie kwiecia, że łodygi uginały się pod jego ciężarem. Na brzegu trawnika rosły rzędem fuksje niby symboliczne drzewka, a tuż przed nimi znajdowała się płytka sadzawka, której brzeg z pewnego ważnego powodu wyłożony był darnią.

Tuż za ogrodem wznosiło się wzgórze dziko porosłe krzakami kaskaryli i trującymi samakami, wysuszoną trawą i dębami. Wyglądało tak dziko, że trzeba było obejść dom i stanąć przed frontowym wejściem, aby przekonać się, że leży na samym skraju miasta.

Mary Teller, żona Harry'ego E. Tellera, uważała, że ogród i okno są takie, jak być powinny, i miała po temu słuszne powody. Czyż nie wybrała właśnie tego miejsca na swój ogród i dom już kilka lat temu? Czyż nie oglądała tego ogrodu i domu tysiące razy oczami wyobraźni, kiedy miejsce to było jeszcze wyschłym pustkowiem u podnóża pagórka? W ciągu pięciu lat patrzyła na każdego adorującego ją mężczyznę zastanawiając się, czy ten mężczyzna i ten ogród będą pasowali do siebie. Nie myślała nigdy: „Czy on polubi taki ogród", ale: „Czy ogród polubi jego". Ogród to była ona sama, a przecież powinna wyjść tylko za kogoś, kogo polubi.

Kiedy poznała Harry'ego Tellera, zdawało się, że „ogród go lubi". Harry zapewne zdziwił się, kiedy poprosiwszy ją o rękę czekał na odpowiedź zniecierpliwiony, jak to zwykle bywa w takiej chwili, a Mary zaczęła mu opisywać olbrzymie werandowe okno, ogród, a w nim trawnik, dęby, cynerarie, i wreszcie dziko porosłe wzgórze.

- Naturalnie - przytaknął raczej bezwiednie.

- Czy nie myślisz, że to głupie? - spytała Mary.

- Ależ nie! - Trochę speszony czekał na odpowiedź.

Wtedy dopiero Mary przypomniała sobie o jego oświadczynach, przyjęła je i pozwoliła się pocałować mówiąc dalej: - I będzie mała cementowa sadzawka i trawnik. A wiesz dlaczego? Bo na tym wzgórzu jest moc różnych ptaków. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo dużo: szczygły, dzikie

kanarki, czerwonoskrzydłe kosy, no i naturalnie wróble, i makolągwy, i przepiórki. Będą oczywiście przylatywały pić wodę z naszej sadzawki, dobrze?

Była bardzo ładna. Pragnął ją całować bez końca, a ona mu nie wzbraniała.

- I fuks je - mówiła dalej. - Nie zapomnij o fuksjach. Te kwiaty są jak małe tropikalne choinki. A trawnik będziemy musieli grabić codziennie, aby nie było na nim liści.

Harry roześmiał się. - Jesteś zabawnym stworzonkiem. Ziemi jeszcze nie kupiliśmy, dom nie jest wybudowany ani ogród nie założony, a ty już martwisz się liśćmi na trawniku. Jesteś taka ładna. Kiedy patrzę na ciebie, odczuwam... głód... Trochę ją to zaskoczyło. Lekki cień niezadowolenia przemknął po jej twarzy. Mimo to jednak pozwoliła się znowu całować. Potem kazała mu wracać do domu, a sama poszła do swego pokoju, gdzie na niebieskim sekretarzyku leżał notes, w którym robiła zapiski. Wzięła do ręki obsadkę z pióra gołębia, napisała „Mary Teller" niezliczoną ilość razy i raz, a może dwa „Mrs. Harry E. Teller".

II

Kupiono już ziemię, postawiono dom, Harry i Mary pobrali się. Mary nakreśliła szczegółowy plan ogrodu i kiedy ludzie nad nim pracowali, nie odstępowała ich ani na chwilę. Z dokładnością niemal do cala orientowała się, co gdzie powinno być. Zrobiła dla murarzy rysunek cementowej sadzawki w kształcie serca, o zaokrąglonym dnie i brzegach łagodnie opadających, aby ptakom łatwo było pić wodę.

Harry przyglądał jej się z podziwem. - I kto by przypuszczał, że taka ładna dziewczyna może być tak pomysłowa! - mówił.

Sprawiło jej to przyjemność. Czuła się do tego stopnia szczęśliwa, że aż zaproponowała Harry'emu:

- Jeżeli chcesz, możesz również posadzić jakieś kwiaty, które lubisz.

- Nie, Mary. Z wielką przyjemnością patrzę, jak urządzasz ten ogród po swojemu. Niech będzie już taki, jak ty sobie życzysz.

Kochała go za to; ale w gruncie rzeczy był to przecież j e j ogród. Pomysł zrodził się w jej głowie, ona pragnęła mieć ten ogród, ona tak starannie dobrała kolory. Doprawdy byłoby niełądnie, gdyby Harry chciał posadzić kwiaty, które nie pasowałyby do tego ogrodu.

Wreszcie trawnik był gotów, cynerarie w doniczkach wsadzonych w ziemię rozkwitły dokoła dębów, maleńkie fuksje przesadzono z taką pieczołowitością, że nie zwiądł nawet jeden listek.

Parapet okna został miękko wyścielony i pokryty jasną, nie płowiejącą tkaniną, bo słońce świeciło tu przez większą część dnia.

Mary czekała, aż wszystko będzie zrobione i wykończone tak, jak to widziała w swojej wyobraźni; wreszcie pewnego wieczoru, kiedy Harry wrócił z biura, poprowadziła go do okna mówiąc cicho: - Popatrz, wszystko już jest, i tak jak chciałam.

- Ślicznie - rzekł Harry. - Prześlicznie!

- Jakoś mi trochę smutno, że już wszystko zrobione - ciągnęła dalej Mary.

- Ale przede wszystkim jestem zadowolona. Nigdy tu nic nie zmienimy, dobrze, Harry? Jeśli któryś krzak zwiędnie, posadzimy drugi, taki sam i w tym samym miejscu.

- Cóż za dziwne stworzonko! - powiedział.

- Widzisz, Harry, ja tak długo o tym ogrodzie marzyłam, że stał się on niemal cząstką mnie samej. Jeśliby zmieniło się w nim cokolwiek, zdawałoby mi się, że to we mnie się coś zmieniło.

Wyciągnął rękę, jakby chciał ją położyć na ramieniu Mary, lecz cofnął się. - Kocham cię bardzo... - rzekł i urwał. - Ale również boję się ciebie.

Roześmiała się cicho. - Ty? Boisz się mnie? A cóż jest takiego we mnie, że się boisz?

- Jest w tobie coś nietykalnego, coś, co trudno zgłębić. Prawdopodobnie ty sama nie zdajesz sobie z tego sprawy. W jakiś sposób jesteś podobna do swojego ogrodu - wszystko ustalone, nie wolno nic zmienić. Boję się poruszać. Mógłbym uszkodzić któryś z twoich kwiatów.

Sprawiło jej to przyjemność. - Najdroższy - rzekła - dzięki tobie mam to wszystko. Ty uczyniłeś ten ogród moim. Tak, jesteś bardzo kochany! - i pozwoliła mu się pocałować.

III

Czasami przychodzili do nich goście na obiad i Harry był wtedy dumny ze swej żony. Była taka ładna, spokojna i dystyngowana. W wazonach stały niezwykle piękne kwiaty; o ogrodzie opowiadała ze skromnością i wahaniem, tak jakby opowiadała o sobie samej. Czasami prowadziła tam gości. Wskazując na krzak fuksji mówiła o nim, jakby to była istota ludzka:

- Nie spodziewałam się, że tak wyrośnie. Zjadł sporo swego roślinnego pokarmu, nim zdecydował się rozkrzewić. - Po czym uśmiechała się do siebie spokojnie.

Przy pracy w ogrodzie wyglądała zachwycająco. Nosiła wtedy jasną wzorzystą sukienkę, długą, bez rękawów. Wyszukała gdzieś jakiś staromodny kapelusz od słońca. Aby nie zniszczyć rąk, ochraniała je grubymi, twardymi rękawicami.

Harry lubił patrzeć, jak chodziła z woreczkiem i szufelką posypując nawozem korzenie kwiatów. Lubił również wybierać się razem z nią w nocy na niszczenie ślimaków. Trzymała wtedy latarkę, a on zabijał ślimaki ścierając je na miazgę. Zdawał sobie sprawę, że musiało to być dla niej obrzydliwe, a jednak latarka, którą trzymała w ręku, nigdy nawet nie drgnęła. „Dzielna dziewczyna - myślał. - Za tą delikatną urodą kryje się mocny charakter". Dzięki niej polowanie to stawało się czymś podniecającym. - O, tam, taki wielki sunie - wołała. - Za tym dużym kwiatem. Zabij go! Prędko go zabij! - Po skończonych łowach wracali do domu roześmiani, szczęśliwi.

Mary niepokoiła się o ptaki. - Nie przychodzą pić wody - skarżyła się. - W każdym razie przylatuje ich bardzo niewiele. Ciekawa jestem, co je wstrzymuje.

- Możliwe, że jeszcze się nie przyzwyczaiły. Z czasem będą przylatywać. A może kot jest gdzieś w pobliżu?

Na twarz Mary wystąpiły rumieńce, zaczęła szybko oddychać. Wydęła swe ładne wargi. - Jeśli jest gdzieś kot, położę na niego truciznę - zawołała. - Nie chcę, aby straszył moje ptaki. Harry starał się ją uspokoić. - Wiesz, co zrobię? Kupię wiatrówkę. Jeśli tylko kot się pokaże, strzelimy do niego. Z wiatrówki się go nie zabije, ale zrani i z pewnością tu więcej nie przyjdzie.

- No dobrze - powiedziała już spokojnie. - Może tak będzie lepiej.

W bawialni było przyjemnie wieczorem. Ogień falował na kominku migotliwą zasłoną. Jeśli noc była księżycowa, Mary gasiła światło i siadali wtedy w fotelach patrząc przez okno na ogród osnuty chłodnym błękitem i na ciemne korony dębów. Panowała niezamącona, wieczysta cisza. A dalej kończył się chłodny błękit ogrodu i rozpoczynał mrok gęstwiny porastającej wzgórze.

- Tam jest nieprzyjaciel - powiedziała Mary pewnego razu. - Tam jest świat, który chciałby tu wtargnąć, świat nieokrzesany. Nie może jednak tutaj się dostać, bo fuksje na to nie pozwolą. Dlatego przecież tu rosną - i wiedzą o tym. Ptaki mogą. Wprawdzie żyją w dzikim świecie, lecz przyla-

tują tutaj, by zaczerpnąć spokoju i wody. - Uśmiechnęła się. - Wielka głębia jest w tym wszystkim, Harry. Nie jestem zdolna tego pojąć. Przepiórki zaczynają się pojawiać. Chyba ze dwanaście było ich dziś wieczorem przy sadzawce.

- Jakże chciałbym poznać twoją duszę - rzekł Harry. - Zdaje się trzepotać, a jednak jest pełna spokoju i harmonii. Taka... bardzo pewna siebie.

Mary usiadła mu na kolanach. - Nie tak strasznie pewna. Ty o tym nie wiesz, a ja się cieszę, że nie wiesz.

IV

Pewnego wieczoru, kiedy Harry czytał gazetę przy lampie, Mary zerwała się mówiąc: - Zostawiłam nożyce w ogrodzie. Zardzewieją od rosy.

Harry spojrzał na nią znad gazety. - Czy ja nie mógłbym ich przynieść?

- Nie, ja pójdę. Nie wiedziałbyś, gdzie ich szukać.

Wyszła do ogrodu, odnalazła nożyce i wracając spojrzała w okno bawialni. Harry siedział, nadal czytając gazetę. Pokój był wyraźny jak obraz, jak dekoracja do sztuki teatralnej, która ma się za chwilę rozpocząć. Na kominku falowała ognista zasłona. Mary stała w milczeniu i patrzyła. Widać było duży, głęboki fotel, w którym przed chwilą siedziała. Co by teraz robiła, gdyby nie wyszła do ogrodu? Wyobraziła sobie, że tylko część jej istoty, zdolna myśleć i patrzeć, jest w ogrodzie, a Mary pozostała w pokoju. Prawie że widziała siebie siedzącą w fotelu. Okrągłe ramiona i długie palce spoczywały na poręczach. Wyraźnie rysował się subtelny, wrażliwy profil, zamyślone oczy wpatrzone były w płomień kominka. - O czym ona teraz myśli? - wyszeptała. - Ciekawa jestem, nad czym się zastanawia. Czy się podniesie? Nie, nadal siedzi. Dekolt w jej sukni jest zbyt szeroki, popatrz, jak zsuwa się na ramię. Chociaż... wygląda to raczej przyjemnie. Trochę może niedbale, ale elegancko i ładnie. A teraz... uśmiecha się. Zapewne myśli o czymś miłym.

Nagle Mary wróciła do rzeczywistości i zdała sobie sprawę, co się z nią działo. Stała zachwycona. „A więc były dwie ja - rozmyślała. - Wiodłam jak gdyby podwójne życie, mogąc patrzeć na samą siebie. To po prostu cudowne. Ciekawa jestem, czy mogę to oglądać zawsze, kiedy zechcę. Widziałam siebie tak, jak widzą mnie inni ludzie. Muszę opowiedzieć Harryemu". Lecz natychmiast stanął jej przed oczyma inny obraz. Ujrzała siebie usiłującą opisać i wyjaśnić Harryemu to wszystko. On spogląda na nią znad gazety wytężonym, zagubionym, niemal bolesnym wzrokiem. Stara się wszelkimi siłami zrozumieć, co ona mówi. Zawsze chce ją zrozumieć, ale bez skutku. Gdyby powiedziała mu o dzisiejszej wizji, zacząłby ją wypytywać, obracałby rzecz całą w tę i tamtą stronę, usiłował zrozumieć, aż w końcu zepsułby wrażenie. Właściwie on nigdy nie chce psuć jej wrażeń, ale mimo to psuje i nic na to nie można poradzić. Stara się w zbyt jasnym świetle widzieć to, co w świetle blednie i niknie. Och, nie, nie powie mu o tym. Na pewno nieraz jeszcze będzie chciała wyjść do ogrodu i znowu przeżyć to samo, a nie mogłaby, gdyby Harry dziś zepsuł jej wrażenie. Zobaczyła przez okno, że Harry kładzie gazetę na kolanach i spogląda w kierunku drzwi. Pospieszyła więc z powrotem i już w drzwiach pokazała nożyce na dowód, że rzeczywiście po nie

poszła: - Popatrz, zaczęła je pokrywać rdza. Do rana byłyby całkiem czerwone i brzydkie.

Skinął głową i uśmiechnął się. - W gazecie piszą, że ‘będziemy mieli kłopoty z ustawą o tej nowej pożyczce. Stwarzają nam mnóstwo trudności. Przecież ktoś musi wykładać pieniądze, jeśli ludzie chcą zaciągać pożyczki!

- Ja nie znam się na tym - powiedziała Mary. - Kiedyś mówił mi ktoś, że twoje Towarzystwo ma prawo niemal do każdego samochodu w mieście.

Roześmiał się. - Nie, nie do każdego. Ale rzeczywiście do większości. Gdy czasy są nieco trudniejsze, my robimy pieniądze.

- To brzmi okropnie - zauważyła. - Zupełnie jak zdobywanie zysku nieuczciwą drogą.

Harry zamknął i położył gazetę tuż koło siebie. - Nie, nie sądzę, by to była nieuczciwa droga. Ludzie potrzebują pieniędzy, więc my im pożyczamy. Stopę procentową reguluje prawo. My już nie mamy z tym nic wspólnego.

Oparła swoje piękne ramiona i długie palce na poręczach fotela, tak jak widziała z ogrodu.

- Myślę, że rzeczywiście nie ma w tym nic nieuczciwego - odezwała się. - To tylko tak wygląda, jakbyś ciągnął zyski z ludzi, kiedy są w biedzie.

Harry na dłuższą chwilę utkwił poważne spojrzenie w kominku. Mary zauważyła, że jej słowa zaniepokoiły go. Nie szkodzi, jeśli ujrzy te interesy we właściwym świetle. Każda rzecz wydaje się nam słuszniejsza, kiedy ją wykonujemy, aniżeli kiedy zaczynamy się nad nią zastanawiać. Poza tym Harry’emu przyda się delikatne „przewietrzenie” umysłu.

Po chwili spojrzał na nią. - Kochanie, czy naprawdę uważasz, że moja praca nie jest uczciwa?

- No cóż, przecież ja się nie znam na pożyczkach. Jakże więc mogę ci powiedzieć, czy jest uczciwa?

Harry w dalszym ciągu nalegał: - Ale czy czujesz, że jest nieuczciwa? Wstydzisz się może mojej pracy? Nie chciałbym, aby tak było.

Nagle opanowało ją zadowolenie, słowa Harryego sprawiły jej przyjemność. - Nie wstydzę się, głuptasie. Każdy ma prawo zarabiać na życie. Robisz to, co potrafisz robić najlepiej.

- Czy jesteś tego pewna?

- Naturalnie, głuptasie.

Leżąc już na łóżku w swojej sypialni usłyszała ciche skrzypnięcie i ujrzała, jak klamka opuszcza się na dół i podnosi z powrotem do góry. Idąc spać zamknęła drzwi. Był to sygnał. Były sprawy, o których nie lubiła mówić. Przekręcony klucz stanowił odpowiedź na pytanie, odpowiedź jasną, szybką i zdecydowaną. Harry jednak zachowywał się dosyć szczególnie. Zawsze bardzo cicho próbował, czy drzwi są otwarte. Tak jakby nie chciał, aby Mary wiedziała, że miał zamiar

przyjść do niej. Ale ona za każdym razem słyszała. Harry był dobry i subtelny. Czuł się prawdopodobnie zażenowany, gdy nacisnąwszy klamkę znajdował drzwi zamknięte.

Mary zgasiła światło. Kiedy oczy jej przywykły już do ciemności, wyjrzała na ogród oświetlony blaskiem sierpa księżyca. Harry był czułym i wyrozumiałym mężem. Na przykład wtedy z psem. Wpadł do domu zdyszany - pędził całą drogę. Twarz jego była czerwona i podniecona i Mary się okropnie przeraziła. Myślała, że zdarzył się jakiś wypadek. Potem cały wieczór miała ból głowy od tego szoku. Harry zawołał: - Joe Adams... jego suka ma szczenięta. Terier irlandzki! Da mi jednego. Czysta rasa. Czerwony jak truskawka! - Harry naprawdę bardzo chciał wziąć tego szczeniaka. Przykro jej było, że to niemożliwe. Była jednak dumna, że tak szybko pojął sytuację. Kiedy zaczęła mu wyjaśniać, jakie szkody mógłby pies wyrządzić w ogrodzie - zniszczyć kwiaty, pokopać dołki na klombach, a co gorsza, odstraszyć ptaki - zrozumiał to od razu. Niełatwo pojąłby jakąś skomplikowaną sprawę, jak na przykład wizję w ogrodzie, ale szkodliwość psa była dla niego zupełnie jasna. Wieczorem, kiedy bolała ją głowa, starał się ją uspokoić i skrapiał jej czoło wodą kolońską „Florida". Ból głowy był skutkiem bardzo żywej wyobraźni. Widziała jak na jawie psa w swoim ogrodzie, dołki na klombach i poniszczone kwiaty. Wizja ta była tak samo okropna, jak byłaby rzeczywistość. Harry robił sobie wyrzuty, ale cóż właściwie mógł ma to poradzić, skoro posiadała taką wyobraźnię? Mary z kolei nie mogła czuć do niego żalu, bo skąd miał o tym wiedzieć?

V

Późne popołudnie, kiedy słońce kryło się za wzgórzem, Mary uważała za najpiękniejszą porę w ogrodzie. Wtedy pomagająca jej w pracy dziewczyna wracała ze szkoły i zajmowała się kuchnią. Była to błogosławiona pora dnia. Mary wychodziła do ogrodu i przeszedłszy trawnik siadała pod dębem na składanym krzesełku. Stamtąd mogła przyglądać się, jak ptaki piją wodę z sadzawki. Cała żyła ogrodem. Harry wracał z biura do domu i czytał gazetę, dopóki nie wróciła z rozpromienionymi oczami. Była nieszczęśliwa, jeśli cokolwiek zakłóciło jej pobyt w ogrodzie.

Zaczynało się właśnie lato. Mary zajrzała do kuchni i stwierdziła, że wszystko jest w porządku. Potem weszła do bawialni i podpaliła przygotowane drewka na kominku. Mogła teraz pójść do ogrodu. Słońce schowało się już za wzgórze i niebieskawa mgła wieczorna otulała dęby. Mary pogrążyła się w zadumie: „Wygląda, jakby miliony niewidzialnych duszków przyfrunęły do mego ogrodu. Nie można ich dojrzeć okiem, ale te niezliczone miliony zmieniają kolor powietrza". Uśmiechnęła się do siebie z tej przyjemnej myśli. Niedawno przycięta i podlana trawa tryskała świeżością. Cynerarie stały w barwnych aureolach. Fuksje były obładowane kwieciem. Ich pąki wyglądały jak małe czerwone świecidełka na choinkach, a rozwinięte kwiaty jak baletnice w spódniczkach. Jak wspaniałe były te fuksje, jakże wspaniałe! One onieśmielały wroga po przeciwnej stronie - zarośla i krzaczaste, dziko rosnące drzewa.

Mary przeszła trawnik i usiadła na swoim krzesełku. Był już wieczór. Słyszała, jak ptaki gromadzą się, aby sfrunąć do sadzawki. „Urządzają sobie ucztę przylatując wieczorem do mego ogrodu - myślała. - Jakże bardzo muszą go kochać! Chciałabym znaleźć się w moim ogrodzie dzisiaj po raz pierwszy. Gdybym mogła być jednocześnie dwiema osobami!"

„Dobry wieczór, wejdź do ogrodu, Mary."

„Och, tu jest cudownie!"

„Tak, zwłaszcza o tej porze. Ale teraz, Mary, spokojnie. Nie spłosz ptaków..."

Siedziała cicho jak mysz. Wargi jej rozchyliły się w oczekiwaniu. W krzakach zakwiliła piskliwie przepiórka. Szczygieł podfrunął do sadzawki. Dwie małe muchołówki zatrzepotały nad wodą i zawisły w powietrzu bijąc skrzydełkami. Wtem z krzaków wybiegły przepiórki zabawnie drobnymi kroczkami. Przystanęły i unosząc główki rozglądały się, czy nie grozi im jakieś niebezpieczeństwo. Przewodnik, duży ptak z czarnym grzebieniem w kształcie znaku zapytania, wydał głos podobny do trąbki, którym oznajmił, że „droga wolna" i cała chmara przepiórek zbliżyła się do sa-

dzawki.

I wtedy zdarzyła się rzecz niezwykła. Z krzaków wybiegła biała przepiórka. Mary znieruchomiała. Tak, niewątpliwie była to przepiórka, ale biała jak śnieg. To po prostu cudowne! Dreszcz radości, płomień radości rozpalał pierś Mary. Wstrzymała oddech, śliczna biała przepiórka podreptała do sadzawki zatrzymując się jednak z dala od szarych przepiórek, po przeciwnej stronie wody. Rozejrzała się najpierw dokoła, a potem, zanurzyła dziobek.

- Och - zawołała Mary - ona jest podobna do mnie. - Zawładnęło nią niesłychane podniecenie. - Jest samą istotą mojej duszy, jej najczystszym pierwiastkiem. Chyba musi być królową przepiórek. Ona jednoczy w sobie wszystko, co w życiu miłego przeżyłam.

Biała przepiórka znowu zanurzyła dziobek i uniosła główkę, by przełknąć wodę.

Fala wspomnień napłynęła do serca Mary. Smutek, zawsze jakiś smutek. Otrzymywała paczki... Odwiązywała sznurki... To było właśnie takie podniecenie. Zawartość nigdy nie okazywała się tym, czego...

A te wspaniałe cukry z Włoch. - Nie jedz tego, kochanie. Wyglądają ładnie, ale nie są smaczne - Mary nigdy ich nie jadła, ale patrzyła z takim właśnie podnieceniem.

- Jaką ładną dziewczyną jest Mary. Ma urodę spokojną jak gencjana. - Słuchała tych słów w takim właśnie podnieceniu.

- Mary droga, bądź teraz dzielna. Ojciec twój... odszedł z tego świata. - Pierwsza chwila po stracie ojca to było właśnie takie podniecenie.

Biała przepiórka ściągnęła skrzydełka do tyłu i wygładziła dziobkiem piórka. „W niej jest właśnie moja najgłębsza istota - piękno. W niej jest sedno mnie samej, moje serce”.

VI

Błękit zabarwił się purpurą. Pąki fuksji migotały jak maleńkie świeczki. Wtem szary cień wychynął z krzaków. Usta Mary rozchyliły się bezwiednie. Siedziała sparaliżowana strachem. Szary kot pełznął jak śmierć, pełznął ku sadzawce i ptakom pijącym wodę. Mary patrzyła w okropnym przerażeniu. Uniosła rękę do zdławionego gardła... Wreszcie przełamała paraliżujący ją lęk i przeraźliwie krzyknęła. Przepiórka uleciała trzepocąc skrzydłami. Kot czmychnął z powrotem w krzaki. Mary jednak nadal krzyczała. Harry wybiegł z domu:

- Mary! Co się stało, Mary?

Kiedy dotknął jej ramienia, drgnęła i zaczęła histerycznie płakać. Wziął ją na ręce i zaniósł do domu, do jej pokoju. Leżała na łóżku drżąc.

- Co się stało, kochanie? Co cię tak przestraszyło?

- Kot... - jęknęła. - Czaił się na ptaki. - Usiadła na łóżku, a oczy jej rzucały blaski. - Harry, musisz położyć truciznę. Jeszcze dziś wieczór przygotuj ją dla tego kota.

- Połóż się, kochanie. Zdenerwowałaś się bardzo.

- Obiecaj mi, że położysz truciznę. - Popatrzyła mu uważnie w oczy i dojrzała w nich błysk sprzeciwu. - Obiecaj mi!

- Kochanie - usprawiedliwiał się. - Jakiś pies mógłby ją zjeść. Zwierzęta wtedy strasznie cierpią.

- Nic mnie to nie obchodzi - zawołała. - Nie chcę mieć żadnych zwierząt w moim ogrodzie, ale to żadnych!

- Nie - odezwał się Harry. - Tego nie zrobię. Nie mogę. Ale za to wstanę wcześnie rano, wezmę nową wiatrówkę i strzelę do kota. Na pewno tu więcej nie wróci. Ta wiatrówka dobrze bije. Dostanie tak, że popamięta.

Po raz pierwszy zdarzyło się, że jej czegoś odmówił. Nie wiedziała, jak na to zaradzić; miała okropny ból głowy. Później głowa bolała ją jeszcze bardziej. Harry starał się wynagrodzić przykrość, jaką wyrządził jej swoją odmową. Trzymał w ręku gąbkę skropioną wodą kolońską „Florida" i co chwila przykładał do jej czoła. Mary zaczęła się zastanawiać, czy nie powiedzieć mu o białej przepiórce. Na pewno nie uwierzy. Ale może, gdyby wiedział, jak ważne to jest dla niej, otrułby kota? Zaczekała, aż wróci jej spokój, i wtedy odezwała się: - Wiesz, dziś w ogrodzie była biała przepiórka.

- Biała przepiórka? Jesteś pewna, że to nie był gołąb?

„O, właśnie! Z miejsca wszystko zepsuł". - Ja znam przepiórki! - krzyknęła. - Widziałam ją z bliska. Biała przepiórka!

- Warto byłoby zobaczyć - rzekł. - Nigdy o czymś podobnym nie słyszałem.

- A ja ci mówię, że widziałam!

Zwilżył jej czoło. - No, więc, przypuszczam, że to była przepiórka-albinos. Bez pigmentu w piórkach lub coś w tym rodzaju.

Znowu opanowała ją histeria. - Ty nie rozumiesz tego. Ta biała przepiórka to ja, ta tajemnicza j a , której nikt nie zdoła poznać, ta wewnętrzna ja. - Harry starał się ją zrozumieć, aż znać było wysiłek na jego twarzy. - Czy teraz pojmujesz? Kot czyhał na mnie. Mnie chciał rozszarpać. Dlatego też chcę go otruć. - Wpatrywała się w jego twarz uważnie. Nic nie rozumiał, nie potrafił tego zrozumieć. I po cóż mu o tym mówiła? Gdyby nie była tak wzburzona, pewnie nigdy by mu nie wspomniała ani słowem.

- Nastawię budzik - zapewniał ją. - I jutro rano tak dam temu kotu, że popamięta.

O godzinie dziesiątej wyszedł z jej pokoju. Mary natychmiast wstała i przekręciła klucz w drzwiach.

Rano budzik Harryego wyrwał ją ze snu. Było jeszcze ciemno, ale brzask poranka zaglądał już przez okno. Słyszała, jak Harry ubiera się w pośpiechu. Na palcach przeszedł koło jej pokoju i wychodząc na dwór zamknął drzwi cicho, aby jej nie zbudzić. W ręku niósł nową, błyszczącą wiatrówkę. Świeże powietrze poranka orzeźwiło go. Wyprostował ramiona, stąpając lekko po trawniku doszedł do rogu ogrodu i tam położył się w zroszonej trawie.

W ogrodzie już się rozjaśniało. Dokoła rozbrzmiewał metaliczny świergot przepiórek. Małe szare stadko wybiegło z krzaków i przystanęło unosząc główki. Kiedy przewodnik dał znak, że „droga wolna", cała gromadka drobnymi, szybkimi kroczkami podreptała do sadzawki. Za chwilę pojawiła się biała przepiórka. Podbiegła z drugiej strony sadzawki, zanurzyła dziobek i podniosła do góry główkę. Harry podniósł wiatrówkę. Biała przepiórka przechyliła łepek i spojrzała w jego kierunku. Ostry trzask przeszył powietrze. Szare przepiórki odleciały w krzaki, a biała przewróciła się, przez krótki moment drgała, a potem już spokojnie leżała w trawie.

Harry powoli zbliżył się i wziął ją w rękę. - Przecież nie miałem zamiaru jej zabić - mówił do siebie. - Chciałem ją tylko odstraszyć. - Spojrzał na białego ptaszka leżącego na jego dłoni. W samą główkę, tuż pod okiem trafił pocisk. Podszedł do rzędu fuksji i stamtąd rzucił przepiórkę w krzaki. Ale już w następnej chwili położył fuzję na ziemi i zaczął się przedzierać przez gęste poszycie wśród krzaków. Znalazł przepiórkę, zaniósł ją wysoko na wzgórze i pogrzebał w ziemi pokrywając to miejsce kupką liści.

Mary usłyszała, jak przechodził koło jej pokoju.

- Czy zastrzeliłeś kota?

- Na pewno tu już nie wróci - odpowiedział przez drzwi.

- Przypuszczam, że go zabiłeś, ale szczegółów nie chcę słyszeć.

Harry wszedł do bawialni, usiadł w fotelu. W pokoju panował jeszcze mrok, ale przez okno widać było rozświetlony już ogród i wierzchołki dębów płonące w blasku wschodzącego słońca.

- Cóż za drań ze mnie - rzekł Harry do siebie. - Jakiż wstrętny drań, żeby zabić to, co ona tak bardzo kochała! - Spuścił głowę i utkwił wzrok w podłodze. - Jestem sam! - rzekł. - O, Boże! Jestem taki samotny!

Tłumaczyła Ryszarda Grzybowska

LINCZ

Wielka fala emocji, wrzawa i gwar ludzki cichły zwolna w miejskim parku. Tłum stał wciąż jeszcze pod wiązami mdło oświetlonymi niebieskim blaskiem ulicznej latarni odległej o dwie przecznice. Ludzi ogarniało znużenie; niektórzy zaczęli stopniowo znikać w ciemnościach. Trawniki były wydeptane nogami tłumu.

Mike wiedział, że wszystko już się skończyło, i odczuwał w sobie jakieś rozluźnienie. Czuł się tak znużony, jak gdyby nie spał od paru dni, ale było to wpółsenne, szare i rozkoszne zmęczenie. Nasunął czapkę na oczy i oddalił się, lecz zanim opuścił park, odwrócił się jeszcze raz, by spojrzeć poza siebie.

W głębi tłumu ktoś podpalił skręconą gazetę i uniósł ją ku górze. Mike widział, jak płomień lizał stopy szarego nagiego ciała zwisającego z drzewa. Wydawało mu się ciekawe, że Murzyni po śmierci przybierają kolor szaroniebieski. Płonąca gazeta oświetliła zadarte ku górze głowy ludzi, milczących i skupionych; nie odrywali oczu od powieszonego.

Mike czuł lekką niechęć do tego bliżej nie znanego mu osobnika, który chciał podpalić ciało.

Zwrócił się do swego sąsiada, nierozpoznawalnego w okalającej ciemności.

- To nie ma sensu - rzekł.

Sąsiad oddalił się bez słowa odpowiedzi.

Gdy papierowa pochodnia zgasła, park - przez kontrast wydał się jeszcze czarniejszy. Ktoś zapalił niezwłocznie nowy kawał papieru i podniósł go ku stopom. Mike podszedł do innego widza.

- To nie ma sensu, to co oni robią - powtórzył. - Przecież on jest nieżywy. Już nic nie czuje.

Sąsiad burknął coś, ale nie odwrócił oczu od płonącego papieru. - To dobra robota - rzekł. - Oszczędzi miastu masę pieniędzy i obejdzie się bez tych krętaczy-adwokatów.

- To właśnie mówię - zgodził się Mike. - żadnych adwokatów. Ale to podpalanie nie ma sensu.

Tamten spoglądał wciąż na ogień.

- No, ale i nie zaszkodzi.

Mike pasł oczy tym widokiem. Czuł się jakiś otępiały. Nie napatrzył się dosyć. Oto widowisko, które kiedyś będzie chciał wywołać w pamięci, aby móc o nim opowiadać, ale dziś tępe zmęczenie odbiera obrazowi ostrość. Mózg mówił mu, że była to straszna i ogromnie ważna sprawa, ale

ani oczy, ani uczucia nie przystawały na to stwierdzenie. To było takie sobie - zwyczajne. Pół godziny temu, gdy wył razem z tłumem i walczył o miejsce, aby wziąć udział w zaciskaniu sznura, serce jego było tak przepełnione, iż płakał z przejęcia. Ale teraz wszystko było martwe i nierzeczywiste; ciemny tłum składał się ze sztywnych manekinów. W świetle płomienia twarze były pozbawione wyrazu, jakby wyciosane z drewna. Mike czuł tę sztywność, tę nierzeczywistość również i w sobie. Odwrócił się w końcu i opuścił park.

W chwili gdy wyszedł z tłumu, ogarnęło go uczucie chłodnej samotności. Idąc szybko ulicą pragnął, aby jakiś człowiek szedł obok niego. Szeroka ulica była bezludna, pusta i równie nierzeczywista jak park przed chwilą. Stalowe szyny tramwajowe biegły w dół ulicy lśniąc w świetle latarni, a ciemne okna wystaw odbijały w sobie ich elektryczne kule.

Nieznaczny ból odezwał się w piersi Mike'a. Pomacał palcami obolałe muskuły. Teraz przypomniał sobie. Był na czele tłumu, gdy ten szturmował do zamkniętych drzwi więziennych. Pędząca fala, głęboka na czterdzieści szeregów, uderzyła nim o bramę jak taranem. Zaledwie odczuł to w owej chwili, a nawet teraz ból był równie ckliwy, jak poczucie samotności.

W odległości dwu bloków przed nim neonowy napis „PIWO" wisiał nad trotuarem. Mike podszedł pośpiesznie ku niemu. Spodziewał się tam ludzi i gwaru, co by przepędziło samotność; miał również nadzieję, że ludzie ci nie asystowali przy linczu.

W barze był jedynie właściciel, niewielki człowieczek w średnim wieku, z melancholijnym wąsem i z twarzą starej myszy, mądrą, zaniedbaną i bojaźliwą.

Gdy Mike wszedł, kiwnął kilkakrotnie głową. - Wygląda pan, jakby pan chodził we śnie - rzekł.

Mike spojrzał na niego ze zdziwieniem. - Właśnie tak się czuję, jakbym chodził we śnie.

- No, więc mogę panu dać kieliszek czegoś mocniejszego, jeśli pan chce.

Mike zawahał się. - Nie... chyba nie mam ochoty na whisky. Wezmę piwo... Czy pan był przy tym?

Człowieczek kiwnął powtórnie mysią głową. - Dopiero pod sam koniec, kiedy już był wykończony i było już po wszystkim. Myślałem, że chłopcy będą potem spragnieni, więc wróciłem, żeby otworzyć. Na razie nikogo - prócz pana. Może się myliłem.

- Może przyjdą później - powiedział Mike. - Dużo ich jeszcze w parku. Ale już ochłonęli. Jacyś faceci chcieli go podpalić gazetami. To nie ma sensu.

- Zupełnie bez sensu - rzekł mały właściciel. Pokręcił cienki wąs.

Mike strząsnął parę ziarenek soli selerowej do piwa i pociągnął głęboki łyk.

- Dobre - rzekł. - Jestem okropnie zmachany.

Właściciel pochylił się ku niemu nad kontuarem, jego oczy zaiskrzyły się. - Czy pan tam był

przez cały czas... pod więzieniem i wszędzie? - Mike łyknął znowu, podniósł piwo pod światło i spojrzał na różaniec baniek powietrznych unoszący się z dna. - Wszędzie - rzekł. - Byłem jako jeden z pierwszych pod więzieniem i pomagałem przy zarzucaniu sznura. Bywają momenty, kiedy obywatele muszą sami wykonywać sprawiedliwość. Później przychodzą jacyś krętacze adwokaccy i wyciągają takiego z biedy.

Mysia główka właściciela kiwała się miarowo.

- Absolutna racja - rzekł. - Adwokaci mogą ich wyciągnąć ze wszystkiego. Przypuszczam, że Murzyn był naprawdę winien.

- No, pewno! Ktoś powiedział nawet, że się przyznał.

Głowa znów zbliżyła się nad kontuarem.

- Jak to się zaczęło, proszę pana? Przyszedłem, kiedy już było po wszystkim, zostałem tam tylko przez chwilę i wróciłem, żeby otworzyć na wypadek, jakby chłopcy mieli ochotę na piwo.

Mike wychylił kufel i podsunął go do powtórnego napełnienia.

- No więc, oczywiście, każdy wiedział, że na tym musi się skończyć. Byłem w barze naprzeciw więzienia. Byłem tam całe popołudnie. Jakiś facet przychodzi i mówi: „Na co czekamy?" No, to poszliśmy na ulicę, tam była kupa facetów i jeszcze kupa się dołączyła. Staliśmy tam wszyscy i krzyczeli. Wtedy szeryf wyszedł i palnął sobie mówkę, aleśmy go wygwizdali. Jakiś facet z karabinkiem szedł po ulicy i rozbijał latarnie. No, to wtedy rzuciliśmy się na bramę więzienia i wysadziliśmy ją. Szeryf siedział cicho jak mysz pod miotłą. Sam pan powiedz, co by to miało za sens, powystrzelać tylu morowych chłopców po to, aby ocalić jednego czarnego łajdaka.

- A poza tym zbliżają się wybory - wtrącił właściciel.

- Więc szeryf wrzeszczał tylko: „Ale się nie omylcie, chłopcy, na miłość boską nie omylcie się. On jest w czwartej celi na końcu korytarza."

- To był naprawdę żałosny widok - ciągnął Mike zwolna. - Inni więźniowie byli tacy wystraszeni. Widzieliśmy ich przez kraty. Jeszcze nigdy nie widziałem takich twarzy.

Właściciel podniecony nalał sobie szklaneczkę whisky i wychylił ją.

- Wcale się nie dziwię. Niech pan sobie wyobrazi, że wsadzili pana na trzydzieści dni, a tu wdziera się tłum. Bałby się pan na pewno, żeby się nie omylili.

- Właśnie to mówię. To był żałosny widok. No, więc weszliśmy do celi Murzyna. Stał sztywno z zamkniętymi oczyma, jak gdyby był zalany do nieprzytomności. Jeden z facetów trzepnął go, ale się podniósł, a wtedy ktoś inny znów mu dołożył, więc upadł i uderzył głową o cementową podłogę.

Mike przechylił się nad kontuarem i uderzył wskazującym palcem po polerowanym drewnie.

- Jest to tylko moje osobiste zdanie, ale jestem pewny, że to go wykończyło. Bo kiedym ściągał z niego ubranie, to ani drgnął, a kiedyśmy go wieszali, wcale się nie ciskał. Nie, proszę pana. Przekonany jestem, że nie żył już od chwili, gdy tamten facet go wyrżnął.

- No, koniec końcem, to wychodzi na to samo.

- Nie, nie wychodzi. Ja lubię wykonywać wszystko porządnie. Należało mu się to i powinien był dostać za swoje.

Mike sięgnął do kieszeni spodni i wyjął kawałek podartego niebieskiego drelichu. - To jest kawałek z jego spodni.

Właściciel pochylił się i obejrzał kawałek materii. Kiwnął głową do Mike'a.

- Dam panu za to dolara.

- O, nie, to tak nie idzie.

- W porządku. Dam dwa dolary za połowę. Mike spojrzał na niego podejrzliwie.

- Po co to panu?

- Proszę. Niech mi pan poda kufel. Ja stawiam. Przybiję to do ściany z małą karteczką u spodu. Goście, jak przyjdą, będą się na to chętnie patrzyli.

Mike rozciął materię na dwoje scyzorykiem i wziął dwa srebrne dolary od właściciela.

- Znam takiego malarza szyldów - rzekł człowieczek - zachodzi tu codziennie. Wypisze mi ładną karteczkę, żeby ją powiesić pod tym.

Rzucił ostrożne spojrzenie.

- Sądzi pan, że szeryf zaaresztuje kogoś?

- Ależ nie. Po co mu kłopot? Ten dzisiejszy tłum... wie pan, ile to głosów? Jak tylko odejdą, szeryf przyjdzie, zdejmie Murzyna i oczyści miejsce.

Właściciel spojrzał w kierunku drzwi.

- Widzę, że się pomyliłem myśląc, że goście będą spragnieni. Robi się późno.

- Idę do domu. Jestem zmęczony.

- Jeśli pan idzie do południowej części miasta, pójdziemy kawałek razem. Mieszkam na ósmej ulicy.

- Popatrzcie no, to tylko dwie przecznice ode mnie. Mieszkam na Szóstej. Pan musi przechodzić koło mego domu. To zabawne. Nigdy pana nie, widziałem w okolicy.

Właściciel wymył szklankę Mike'a i zdjął długi fartuch. Nałożył marynarkę i kapelusz, podszedł do drzwi i skręcił czerwony neon i światła w sali.

Przez chwilę obaj stali na trotuarze spoglądając w stronę parku. Miasto ucichło, żaden dźwięk nie dochodził z parku. Policjant szedł ulicą i oświetlał latarką okna wystawowe.

- Widzi pan? - rzekł Mike. - Jakby się nic nie stało.

- No, jeśli chłopcy mieli ochotę na piwo, to musieli pójść gdzie indziej.

- To właśnie panu mówiłem - rzekł Mike.

Miarowym krokiem szli po pustej ulicy i skręcili w kierunku południowym, opuszczając dzielnicę handlową.

- Nazywam się Welch - rzekł właściciel. - Jestem w mieście dopiero od dwu lat.

Uczucie samotności znowu opadło Mike'a.

- To ciekawe - rzekł, a po chwili: - Urodziłem się w tym mieście, w tym samym domu, w którym teraz mieszkam. Mam żonę, ale nie mam dzieci. Obydwoje urodziliśmy się właśnie w tym mieście. Każdy nas zna.

Minęli jeszcze parę przecznic. Sklepy pozostały z tyłu, a zamiast nich pojawiły się ładne wille otoczone rozkrzewionymi ogrodami i strzyżonymi trawnikami. Wysokie drzewa oświetlone z jednej strony latarniami rzucały cienie na trotuar. Dwa psy przeszły zwolna obwąchując się nawzajem.

- Myślę, co to był za facet, ten Murzyn - rzekł miękko Welch.

Mike odrzekł z głębi swej samotności:

- Wszystkie gazety pisały, że to był łajdak. Czytałem wszystkie gazety. Wszystkie pisały to samo.

- Tak, ja też czytałem. Ale właśnie to mnie zastanawia. Znałem paru bardzo morowych Murzynów.

Mike odwrócił głowę i powiedział tonem protestu:

- No, więc ja znałem również paru cholernie morowych Murzynów. Pracowałem z kilku Murzynami i byli tacy morowi, jak niejednemu białemu życzyłbym. Nie byli łajdakami.

Jego gwałtowny ton uciszył Welcha na chwilę. Potem rzekł:

- Pan chyba nie mógł się zorientować, co to był za facet?

- Nie... on tylko stał sztywny, z zamkniętymi ustami i oczyma i z opuszczonymi rękami. I wtedy jeden z facetów go trzasnął. Jestem przekonany, że nie żył już, kiedyśmy go wywlekali.

Welch szedł tuż obok Mike'a.

- Ładne ogrody tutaj. Utrzymanie ich musi kosztować masę forsy.

Zbliżył się jeszcze bardziej do Mike'a, tak że prawie dotykał go ramieniem.

- Nigdy nie byłem przy linczu. Jak się człowiek czuje... potem?

Mike cofnął się przed tym dotykiem.

- Nie czuje się wcale.

Opuścił głowę i przyśpieszył kroku. Mały właściciel prawie musiał biec, aby za nim nadążyć. Latarnie rzedły. Było ciemniej i bezpieczniej. Mike wybuchnął:

- Czujesz się jakiś oklapły i zmęczony, ale także po trosze zadowolony. Jak gdybyś zrobił dobrą robotę - ale zmęczony i jakby senny.

Zwolnił kroku.

- Patrz pan, światło w kuchni. Ja tu mieszkam. Moja stara czeka na mnie. - Zatrzymał się przed swoim domkiem.

Welch przystanął niespokojnie obok niego.

- Niech pan zajdzie do mego interesu, kiedy będzie pan miał ochotę na piwo - albo na coś mocniejszego. Otwarte do północy. Moich przyjaciół przyjmuję jak należy.

Umknął jak stara mysz.

- Dobranoc - zawołał Mike.

Okrążył dom i wszedł przez tylne drzwi. Jego chuda, gderliwa żona siedziała grzejąc się przy gazowym piecyku. Skierowała pełne wyrzutu oczy na Mike'a, który stał na progu. Oczy jej rozszerzyły się i utkwiły w jego twarzy.

- Byłeś z kobietą - rzekła ochrypłym głosem. - Z jaką kobietą byłeś?

Mike zaśmiał się.

- Myślisz, że jesteś bardzo cwana, co? Cwana jesteś, co? Skąd ci przyszło do głowy, że byłem z kobietą?

- Myślisz, że nie poznaję po twoich oczach, że byłeś z kobietą? - rzekła żona z wściekłością.

- W porządku - rzekł Mike. - Kiedyś taka cwana i wszystko wiesz, to nic ci nie powiem. Czekaj na ranną gazetę.

Widział, jak powątpiewanie pojawiło się w jej gniewnym spojrzeniu.

- Czyżby to był ten Murzyn? - spytała. - Wykończyli tego Murzyna? Wszyscy mówili, że chcieli zrobić coś takiego.

- Sama się domyśl, jeśliś taka cwana. Ja ci nic nie powiem.

Przeszedł przez kuchnię i wszedł do łazienki. Małe lustro wisiało na ścianie. Zdjął czapkę i spojrzał na swoją twarz.

- Miała rację, u diabła - pomyślał. - Tak właśnie się czuję.

Tłumaczył Artur Sandauer

CHRYZANTEMY

Wiszące wysoko zimowe mgły, szare jak flanela, odcięły dolinę Salinas od nieba i od reszty świata. Siedziały na szczytach niby szczelna pokrywa czyniąc z wielkiej doliny nakryty gar. W dole, na szerokim równym dnie, pługi farmerów wgryzały się w ziemię głęboko i cięte lemieszem czarne skiby lśniły jak metal. Za rzeką na ranczach u stóp wzgórz żółte ścierniska zdawały się pławić w bladym, zimnym blasku, choć teraz, w grudniu, nie było już słońca w dolinie. Gęste zarośla wierzbowe nad rzeką płonęły mnóstwem ostrych, zupełnie żółtych liści.

Był to czas ciszy i czas oczekiwania. Powietrze było rześkie i łagodne. Lekki wiatr dął z południowego zachodu budząc w farmerach cichą nadzieję na rychły i obfity deszcz; lecz mgła i deszcz nie chodzą w parze.

Za rzeką u stóp wzgórz, na ranczy Henry Allena niewiele już zostało do roboty, bo siano było skoszone i zwiezione, a sady zorane, aby głęboko mogły wchłonąć deszcz, gdy przyjdzie. Bydło pasące się wyżej, na stokach, porastało już długim skołtunionym włosem.

Eliza Allen pracowała w swoim ogrodzie kwiatowym. Spojrzawszy na podwórze zobaczyła, że jej mąż, Henry, rozmawia z dwoma mężczyznami w miejskich ubraniach. Wszyscy trzej stali przed szopą, każdy z nich opierał nogę o mały traktor marki Fordson. Palili papierosy i rozmawiając oglądali maszynę.

Eliza przyglądała się im przez chwilę, potem wróciła do roboty. Miała trzydzieści pięć lat, szczupłą, mocną twarz i oczy jasne jak woda. Wyglądała niezgrabnie i ciężko w roboczym ubraniu, w czarnym męskim kapeluszu nasuniętym głęboko na czoło, w drewnianych sabotach; jej wzorzystą sukienkę z perkalu zakrywał duży welwetowy fartuch z czterema kieszeniami - na nożyce, na małą motykę i grabki, nasiona i nóż ogrodniczy. Grube skórzane rękawice ochraniały jej dłonie.

Ścinała łodygi zeszłorocznych chryzantem parą krótkich, potężnych nożyc. Raz po raz spoglądała w stronę mężczyzn stojących przy traktorze. Twarz miała pełną życia, dojrzałą i urodziwą; nawet nożycami cięła jakby z nadmiaru sił i życia, a łodygi chryzantem zdawały się zbyt kruchą, zbyt łatwą ofiarą jej energii.

Wierzchem rękawicy odgarnęła chmurę włosów znad oczu zostawiając ślad ziemi ma policzku. Za nią stał schludny biały domek ciasno otoczony grządkami czerwonego geranium sięgającego aż do okien. Mały domek lśnił czystością, z daleka błyszczały szyby w oknach, a na stopniach u wejścia leżała czysta wycieraczka.

Eliza znów rzuciła spojrzenie w stronę szopy i traktora. Przybysze wsiadali do swojego małego Forda. Zdjęła rękawicę i silne palce zanurzyła w las zielonych pędów wyrosłych dokoła starych korzeni chryzantem. Rozgarnęła liście i spojrzała w dół na ciasno rosnące łodygi. Nie groziły im mszyce ani gąsienice, ani ślimaki. Jej palce niszczyły zaciekle wszelką taką plagę, zanim się mogła rozwinąć.

Eliza drgnęła słysząc głos męża. Podszedł cicho i oparł się o drucianą siatkę chroniącą ogród przed bydłem, psami i kurczętami.

- Znów nad tym siedzisz - powiedział. - Czeka cię bogaty zbiór...

Eliza wyprostowała plecy i wciągnęła rękawicę. - Tak. Powinny mi się udać w przyszłym roku... - W jej głosie i na jej twarzy było trochę źle ukrytego zadowolenia z siebie.

- Masz dar do tego - stwierdził Henry. - Z tych ostatnich żółtych chryzantem niektóre kwiaty miały po dziesięć cali średnicy. Chciałbym, żebyś mogła popracować w sadzie i wyhodować mi jabłka tej wielkości.

Oczy jej zabłysły. - Może bym i potrafiła. Owszem, mam dar do tego. Moja matka też miała. Mogła w ziemi zasadzić byle co i to rosło. Mówiła, że trzeba mieć do tego ręce ogrodnika, ręce, które wiedzą, jak się co robi.

- No, w każdym razie po kwiatach to widać - powiedział.

- Henry, kto byli ci dwaj, z którymi rozmawiałeś?

- Ano właśnie przyszedłem, żeby ci powiedzieć. Oni są z Zachodniej Spółki Mięsnej Sprzedałem te trzyletnie byczki, trzydzieści sztuk. Dali mi prawie moją cenę.

- To dobrze - powiedziała. - Udało ci się.

- Myślałem sobie - ciągnął dalej - przyszło mi do głowy, że moglibyśmy dziś, przy sobocie, pojechać do Salinas na obiad w restauracji a potem do kina, żeby to jakoś uczcić, rozumiesz.

- Dobrze - powtórzyła. - Och, świetnie. Henry pozwolił sobie na żarcik. - Są dziś walki bokserskie. Może chciałabyś pójść?

- Och, nie, broń Boże - odparła bez tchu. - Za nic nie pójdę.

- Ja sobie tylko tak żartowałem, Elizo. Pójdziemy do kina. Czekaj, jest teraz druga. Wezmę Scotty'ego i spędzimy z góry te byki. To nam zajmie ze dwie gadziny. Będziemy w mieście około piątej i zjemy obiad w hotelu Cominos. Zgadzasz się?

- No chyba. Lubię sobie zjeść poza domem.

- To świetnie. Pójdę, osiodłam konie.

Powiedziała: - Wygląda na to, że jeszcze zdążę przesadzić tych parę krzaków.

Słyszała, jak mąż wołał Scotty'ego za stodołą. A trochę później zobaczyła obydwóch na bladym żółtym stoku jadących pod górę w poszukiwaniu byków.

Przesadzało się chryzantemy na małą prostokątną piaszczystą grządkę. Eliza skopała ją motyką, wygładziła i mocno uklepała. Potem wyżłobiła w niej dziesięć równoległych bruzd na flance. Wróciwszy do chryzantem zaczęła wyrywać z ziemi młode kruche pędy, każdy z nich oczyszczała z liści nożycami i starannie odkładała na kupkę.

Z drogi dobiegł skrzyp kół i uderzenia kopyt. Eliza uniosła głowę znad grządki. Wiejska droga biegła wzdłuż rzędu gęstych wierzb i topoli nad rzeką i właśnie tą drogą nadjeżdżał dziwny wehikuł o dziwnym zaprzęgu. Był to stary wóz na resorach, z półokrągłym płóciennym dachem, jaki miewają wozy na preriach. Ciągnął go stary kasztan i mały, szarobiały osiołek. Tym leniwie posuwającym się zaprzęgiem kierował spod płóciennej budy ogromny mężczyzna o szczeciniastej brodzie. Pod wozem, między tylnymi kołami, kroczył statecznie chudy potulny kundel. Na płótnie był wymalowany koślawymi literami napis: „Garki, patelnie, norze, norzyce, ruwnież do trawników - reperuje.” W dwóch rzędach wymienione przedmioty, a poniżej - tryumfalne, rozstrzygające wszelkie wątpliwości „reperuje”. Farba ściekła i zastygła pod każdą literą w mały czarny ogonek.

Eliza schylona nad grządką patrzyła czekając, aż ten dziwaczny rozklekotany wóz przejedzie i zniknie. Ale nie zniknął. Z wielkim zgrzytaniem i skrzypieniem starych wykrzywionych osi skręcił w boczną drogę biegnącą przed jej dom. Pies porwał się spomiędzy kół i wypadł naprzód. Natychmiast wybiegły ku niemu dwa gospodarskie owczarki. Cała trójka zatrzymała się, a potem na sztywno napiętych nogach, wyprężając drżące ogony, psy z godnością ambasadorów zaczęły krążyć w miejscu i delikatnie się obwąchiwać. Wóz podjechał do płotu Elizy i stanął. Kundel zrozumiał, że ma przeciw sobie większość, więc jeżąc kark i szczerząc zęby wycofał się z powrotem pod wóz.

Mężczyzna krzyknął z wozu: - To bardzo zły pies, jak już przyjdzie co do czego, niech się tylko ruszy.

Eliza zaśmiała się: - To widać. A w ogóle - często się „rusza”?

Mężczyzna podchwycił jej śmiech i odpowiedział serdecznym echem. - Czasem siedzi cicho całymi tygodniami. - Zlazł z wozu sztywno, opierając się o koło. A koń i osioł zwiesiły głowy jak nie podlane kwiaty.

Eliza zobaczyła, że jest to mężczyzna potężnej budowy. I nie wyglądał staro, choć mu już włosy i broda siwiały. Jego czarne znoszone ubranie było pogniecione i pokapane tłuszczem. Gdy tylko zamilkł jego śmiejący się głos, zniknął też śmiech z twarzy i z oczu. Oczy miał ciemne i pełne tej zadumy, co wkrada się do oczu woźniców i marynarzy. Dłonie, które oparł na płocie, były stwardniałe i popękane, a każde pęknięcie odcinało się czarną kreską. Zdjął z głowy podniszczony kapelusz.

- Zbiłem się z drogi, proszę pani - powiedział. - Czy po tych wertepach dostanę się przez

rzekę do szosy na Los Angeles?

Eliza wstała i wsunęła nożyce do kieszeni fartucha. - Owszem, dostanie się pan, ale nadłoży pan duży kawał drogi, a potem na rzece jest bród. Boję się, że ten zaprząg nie pociągnie przez piach.

Odpowiedział jej obcesowo: - Skąd pani może wiedzieć, co te bestie potrafią?

- Kiedy się już ruszą? - spytała. Uśmiechnął się na mgnienie oka. - Tak, kiedy się już ruszą.

- W każdym razie - powiedziała Eliza - myślę, że oszczędzi sobie pan czasu, jeśli pan zawróci tym gościńcem na Salinas i dopiero tam skręci na szosę.

Przejechał kciukiem po siatce ogrodzenia, aż zaśpiewała. - Wcale mi nie spieszno, proszę pani. Wędruję co roku od Seattle do San Diego i z powrotem. Nic innego nie robię. Prawie sześć miesięcy w każdą stronę. I tak celuję, żeby utrafić na dobrą pogodę.

Eliza zdjęła rękawice i wepchnęła je do kieszeni z nożycami. Sprawdziła palcami, czy spod ronda jej męskiego kapelusza nie wyłażą niesforne kosmyki. - To chyba bardzo przyjemny tryb życia - powiedziała.

Oparł się poufale o płot. - Widziała pani, co mam na budzie napisane. Lutuję garnki, ostrzę noże i nożyce. Znalazłoby się u pani coś takiego do roboty?

- Och, nie - odpowiedziała szybko. - Nie mam nic takiego. - W oczach jej zjawił się twardy wyraz przekory.

- Z nożycami jest najgorsza sprawa - wyjaśniał. - Chcący samemu naostrzyć, każdy przeważnie psuje nożyce, a ja wiem, jak się obchodzić. Mam taką specjalną maszynkę. Coś niby taka mała szpulka, i patentowana. Ale - prima!

- Nie. Wszystkie moje nożyce są ostre.

- A, jak tak, to w porządku. Weźmy garnek - ciągnął z powagą. - Wygięty garnek albo garnek z dziurą. Zrobię tak, że będzie jak nowy i żadnego nowego nie trzeba kupować. Ot, i oszczędność dla pani.

- Nie - ucięła krótko. - Mówię, że nie mam dla pana żadnej takiej roboty.

Twarz jego okryła się przesadnym smutkiem.

W głosie zabrzmiała skarga. - Nic dzisiaj nie zarobiłem. Ja wiem? Może nawet nie będę miał dziś kolacji. Widzi pani, zbiłem się z drogi. Tam, przy szosie, od Seattle do San Diego wszędzie mam znajomych. O! Tam to specjalnie dla mnie chowają rzeczy do ostrzenia, bo wiedzą, że potrafię i że to dla nich oszczędność.

- Bardzo mi przykro - powiedziała Eliza z irytacją - ale ja nie mam dla pana nic do roboty.

Przestał na nią patrzeć i przeszukiwał oczyma ogródek. Wzrok jego błądził przez chwilę po ziemi, aż natrafił na grządkę chryzantem, na której przed chwilą pracowała.

- Co to za roślinki, proszę pani?

Upór i rozdrażnienie stopniały na twarzy Elizy. - Och, to są chryzantemy olbrzymie, białe i żółte. Sadzę je co roku i nikt tu w całej okolicy nie ma tak dużych jak ja.

- To taki kwiat na wysokiej łodydze? „Wygląda, jakby ktoś puścił kłąb kolorowego dymu?

- Właśnie takie. Ładnie to pan powiedział.

- Dość paskudny mają zapach, póki człowiek nie przywyknie.

- To jest dobry, gorzki zapach - odparła - wcale nie paskudny.

Szybko zmienił ton. - Jeśli się o mnie rozchodzi, to ja go lubię.

- Ostatnim razem miałam kwiaty na dziesięć cali średnicy - powiedziała.

Mężczyzna jeszcze głębiej przechylił się przez płot.

- Pani posłucha. Znam jedną damę, tam, przy szosie, która ma najładniejszy w świecie ogródek.

I kwiaty ma, jakie pani chce, tylko nie chryzantemy. Zeszłą razą, kiedym jej reperował miedzianą wannę (niełatwa była sprawa, ale wywiązałem się), ona powiedziała do mnie: „Jeżeli jakimś trafunkiem zobaczysz pan kiedy ładne chryzantemy, to bym sobie życzyła, żebyś się pan postarał dla mnie o kilka nasion". Tak mi powiedziała. Spojrzenie Elizy zrobiło się czujne i pełne zapału. - Niewiele musi wiedzieć o tych kwiatach.

Można je wyhodować z nasienia, to prawda, ale o wiele łatwiej z takiej małej sadzonki jak te, na grządce.

- No, ale tego - powiedział - to już bym pewnie nie mógł wziąć dla niej.

- A czemużby nie? - wykrzyknęła Eliza. - Mogę włożyć kilka sadzonek do mokrego piasku i pan je zabierze ze sobą. Puszczą korzenie w doniczce, trzeba tylko podlewać. A ona już sobie przesadzi z doniczki do ziemi.

- Ona na pewno będzie bardzo zadowolona, proszę pani. Pani mówi, że są ładne?

- Piękne - odpowiedziała. - O, bardzo piękne. - Oczy jej błyszczały. Zdarła z głowy kapelusz i potrząsnęła ślicznymi ciemnymi włosami. - Włożę je do doniczki i może je pan ze sobą zabrać. Niech pan wejdzie na podwórze.

Mężczyzna skierował się ku furtce, zaś Eliza ścieżką wysadzaną geranium z zapałem pobiegła na tyły domu. Wróciła z dużą czerwoną doniczką. Teraz nie pamiętała już o rękawicach. Klęcząc przy grządce gołymi rękami nabierała piasek i napełniała nim nową, czerwoną doniczkę. Potem sięgnęła po stos przygotowanych sadzonek. Mocnymi palcami wcisnęła je w piasek i ugniotła go dokoła roślinek kostkami dłoni. Mężczyzna stał nad nią. - Powiem panu, co trzeba zrobić - powiedziała - i niech pan zapamięta, żeby pan dobrze powtórzył.

- Tak jest, postaram się zapamiętać.

- Więc niech pan słucha. To puści korzenie mniej więcej za miesiąc. Wtedy niech je rozsadzi w odstępach mniej więcej jednej stopy, w dobrej, tłustej ziemi, takiej jak ta, widzi pan? - Uniosła na dłoni garść ciemnej ziemi, aby się przyjrzał. - Szybko pójdą w górę. Teraz niech pan uważa: niech pan jej powie, żeby w lipcu ścięła łodygi na wysokość ośmiu cali od ziemi.

- Zanim zakwitną? - spytał.

- Tak, przed kwitnieniem! - Z twarzy jej tryskał zapał i gorliwość. - Nie ma obawy, wyrosną znowu. W końcu września zawiążą się pączki.

Zamilkła jakby zakłopotana. - I właśnie pączkowanie wymaga największej uwagi - powiedziała z wahaniem..- Nie wiem, jak to panu wytłumaczyć. - Zajrzała mu w oczy głęboko, badawczo. Usta jej się lekko rozchyliły i zdawała się czegoś nasłuchiwać. - Spróbuję - powiedziała. - Słyszał pan kiedy, że można mieć ręce do kwiatów?

- Słyszeć, to chyba nie słyszałem, proszę pani.

- No cóż, ja mogę tylko panu powiedzieć, jakie to jest uczucie. To jest wtedy, kiedy trzeba zerwać niepotrzebne pączki. Całe czucie idzie w czubki palców. Patrzysz, jak te palce pracują. Pracują same z siebie. I ty czujesz, że tak jest. Obrywają i obrywają pąki. Nigdy się nie pomylą. Czują razem z rośliną. Rozumie pan. Palce i roślina. W całym ramieniu to się czuje, czuje się, że one wiedzą, że nigdy się nie mylą. To się czuje. Kiedy się ma takie czucie, nie robi się już błędów. Rozumie pan?

Klęcząc na ziemi spoglądała ku niemu. Pierś jej unosiła się gwałtownie.

Mężczyzna zmrużył oczy. Spojrzał w (bok onieśmielony.

- Może i wiem, jak to jest - powiedział. - Czasem nocą w moim wozie...

Głos Elizy powlókł się chrypką. Wpadła mu w pół zdania. - Nigdy tak nie żyłam, jak pan, ale wiem, co pan chce powiedzieć. Kiedy noc jest ciemna - mój Boże! i gwiazdy ostro wyrżnięte, i wszędzie cicho. Ach, wtedy człowieka coś niesie, coraz wyżej i wyżej. I każda gwiazda wbija ci się prosto w ciało. Jest takie uczucie. Gorące, nagłe i - cudowne.

Wciąż klęczała i ręka jej sięgnęła do jego nóg w zatłuszczonych spodniach. Niepewne palce prawie dotknęły sukna. Potem ręka opadła na ziemię. A kobieta skuliła się nisko, jak pies, który się łasi.

Powiedział: - Owszem, pięknie jest, akurat tak, jak pani powiada. Tylko że jak się nie jadło obiadu, to już nie to.

Wtedy wstała, wyprostowała się, a na jej twarzy widać było zawstydzenie. Wyciągnęła ku niemu doniczkę i delikatnie złożyła ją w jego ramionach. - Proszę. Niech pan to postawi obok siebie na wozie i nie spuszcza z oka. Może znajdę dla pana coś do roboty.

Za domem przeszukała stos starego żelastwa i wyciągnęła dwie stare zniszczone patelnie.

Przyniosła je i dała mu. - Proszę. Może się to panu uda zreperować.

Jego zachowanie zmieniło się. Stał się rzeczowy. - Tak je wyreperuję, że będą jak nowe. - W tyle wozu ustawił niewielkie kowadełko, a z zatłuszczonej skrzynki z narzędziami wygrzebał mały młotek. Eliza wyszła przed bramę i patrzała, jak młotkiem wygładzał zagięcia blachy. Usta jego nabrały wyrazu pewności i znajomości rzeczy. W trudniejszych momentach przygryzał dolną wargę.

- Sypia pan po prostu w tym wozie? - spytała Eliza.

- Po prostu w wozie, proszę pani. Czy deszcz kapie, czy słońce świeci, dobrze mi tam jak u Pana Boga za piecem.

- To musi być przyjemne - powiedziała. - To musi być bardzo przyjemne. Chciałabym, żeby kobiety tak mogły.

- To nie jest stosowne życie dla kobiety.

Uniosła górną wargę pokazując zęby.

- A skąd pan wie? Niby skąd pan może wiedzieć? - powiedziała.

- Nie wiem, proszę pani - bronił się. - Oczywiście, że nie wiem. No, ma pani swoje patelnie gotowe. Nie musi pani kupować żadnych nowych.

- Ile płacę?

- Och, pięćdziesiąt centów wystarczy. Biorę niskie ceny, daję dobrą robotę. I dlatego, jak droga długa i szeroka, wszystkich klientów mam zadowolnionych.

Eliza przyniosła z domu pięćdziesiąt centów i wsunęła mu w dłoń. - Niech się pan nie zdziwi jak pan znajdzie pewnego dnia konkurencję Ja umiem naostrzyć nożyce. I wyprostować wydęte dno w garnku. Mogłabym panu pokazać, co potrafi kobieta.

Włożył młotek do zatłuszczonego pudła i schował kowadełko. - To by było smutne życie dla kobiety, proszę pani, i strachu by się pani najadła, a jakże, różne zwierzęta kręcą się koło wozu' przez całą noc. - Wlazł na wóz przez orczyk, wspierając się ręką na białym zadzie osiołka. Usadowił się wygodnie i chwycił lejce. - Uprzejmie dziękuję, proszę pani - powiedział. - Zrobię tak, jak mi pani mówiła: zawrócę na tę drogę do Salinas.

- Niech pan uważa - zawołała - żeby piasek nie wysechł, jeśli to długo potrwa.

- Piasek, proszę pani? Jaki piasek? Och, tak, na pewno. Piasek w doniczce z kwiatami. Pewnie, że będę uważać. - Cmoknął głośno. Zwierzęta pochyliły się w zaprzęgu. Kundel zajął miejsce pomiędzy tylnymi kołami. Wóz zawrócił z bocznej drogi, wytoczył się na gościniec nad rzeką i odjechał tam, skąd przybył.

Eliza stała przed siatką ogrodzenia śledząc powolny pochód karawany. Ramiona miała wyprostowane, głowę odrzuciła do tyłu, oczy półprzymknięte ledwie chwytały obraz.

Wargi jej poruszały się bezgłośnie układając słowo: „żegnaj, żegnaj”. A potem wyszeptała: - Odjeżdżasz w jasną stronę, gdzie płonie światło zórz. - Oprzytomniała na dźwięk własnego szeptu. Otrząsnęła się z dziwnego nastroju i rozejrzała się dokoła w obawie, że ją ktoś słyszał. Tylko psy słyszały, zbudzone uniosły ku niej łby znad ziemi i znów się ułożyły do snu wysuwając naprzód pyski. Eliza zawróciła i szybko pobiegła do domu.

W kuchni za piecem pomacała zbiornik. Był pełen gorącej wody nagrzanej jeszcze przy południowym posiłku. W łazience zdarła z siebie ubrudzone ziemią ubranie i cisnęła w kąt. A potem kawałkiem pumeksu tarła nogi i biodra, uda, barki i ramiona, aż cała się zaczerwieniła. Wytarłszy się ręcznikiem stanęła przed lustrem w sypialni i spojrzała na swoje ciało. Wciągnęła brzuch i wypięła piersi. Odwróciła się i przez ramię obejrzała plecy.

Potem zaczęła się powoli ubierać. Włożyła swoją najlepszą bieliznę i najładniejsze pończochy, i sukienkę, która najlepiej podkreślała jej urodę. Starannie ułożyła włosy, pociągnęła ołówkiem brwi i pomalowała wargi.

Jeszcze nie była całkiem gotowa, kiedy rozległ się grzmot kopyt i krzyki Henry’ego i jego pomocnika zaganiających czerwone byki do korralu. Słyszała, jak trzasnęła brama. Przygotowywała się na przybycie męża.

Kroki jego zabrzmiały na ganku. Wszedł do domu wołając: - Elizo, gdzie jesteś?

- W pokoju. Ubieram się. Jeszcze nie skończyłam. Masz gorącą wodę na kąpiel. Pospiesz się. Robi się późno.

Gdy usłyszała, że pluska się w wannie, wyłożyła mu na łóżko ciemny garnitur, koszulę, skarpetki i obok tego krawat. Wyczyszczone trzewiki postawiła na podłodze obok łóżka. Potem wyszła na ganek i usiadła sztywno i uroczyście. Spojrzała ku drodze nad rzeką, gdzie na wierzbach wciąż żółciły się ścięte przymrozkiem liście i rząd drzew pod nawisłą siwą mgłą błyszczał jak cienkie pasmo słońca. Była to jedyna barwna plama w tym szarym popołudniu. Eliza przez dłuższy czas siedziała bez ruchu. Oczy jej dziwnie błyszczały.

Drzwi trzasnęły i Henry wyszedł na ganek wsuwając krawat pod kamizelkę. Eliza zesztywniała i twarz jej napięła się. Henry spojrzał i stanął jak wryty. - Ho, ho, Elizo! Wyglądasz ślicznie!

- Ślicznie? Uważasz, że wyglądam ślicznie? Co to niby ma znaczyć „ślicznie”?

Henry brnął dalej. - Nie wiem. Chciałem powiedzieć, że wyglądasz inaczej, taka jakaś silna i szczęśliwa.

- Jestem silna? Tak, jestem. A właściwie co masz na myśli, mówiąc „silna”?

Zmieszał się. - Bawisz się ze mną jak kot z myszą - powiedział bezradnie. - Czy to jakiś kawał? Wydajesz mi się taka silna, że mogłabyś cielęciu ukręcić kark na kolanie i taka szczęśliwa, że zjadłabyś to cielę jak arbuz.

Na chwilę straciła swoją chłodną wyniosłość. - Henry! Nie mów tak. Nie wiesz, co powiedziałeś. - I znów się opanowała. - Jestem silna - powiedziała chełpliwie. - Nigdy dotąd nie wiedziałam, jaka jestem silna.

Henry popatrzył na szopę z traktorem, a kiedy przeniósł wzrok na żonę, znów był sobą. - Wyprowadzę wóz. Możesz przez ten czas włożyć płaszcz.

Eliza weszła do domu. Słyszała, jak podjechał do bramy, jak marudził przy motorze, więc dużo czasu poświęciła na włożenie kapelusza. Tu go poprawiła, tam przekrzywiła. Wreszcie gdy Henry włączył silnik, narzuciła płaszcz i wyszła.

Mały kabriolet podskakiwał na wyboistej drodze nad rzeką, a przed nim ptaki wzbijały się w górę i króliki uciekały w zarośla. Dwa żurawie ciężko zatrzepotały nad rzędem wierzb i opadły ku rzece.

Daleko na drodze Eliza ujrzała ciemny punkt. Wiedziała, co to jest.

Usiłowała nie patrzeć, kiedy mijali to coś, lecz oczy jej nie usłuchały. Smutno wyszeptała do siebie: - Mógł był moje sadzonki rzucić trochę dalej, nie na środek drogi. To by go dużo nie kosztowało, na pewno niewiele. Ale zatrzymał doniczkę - wyjaśniła. - Musiał zachować doniczkę. Dlatego upadły tutaj.

Kabriolet skręcił i zobaczyła przed sobą karawanę. Gdy ją mijali, całym ciałem obróciła się do męża, aby nie widzieć tego małego krytego płótnem wozu i jego dziwacznego zaprzęgu.

Po chwili było po wszystkim. Skończyło się. Nie obejrzała się za siebie.

Powiedziała głośno, żeby pokonać szum motoru. - Cieszę się na ten obiad w restauracji.

- Teraz znów jesteś inna - utyskiwał Henry. Zdjął jedną rękę z kierownicy i poklepał ją po kolanie. - Muszę ciebie częściej zabierać do miasta na obiad. Przyda się i tobie, i mnie. Człowiek dziczeje na tym pustkowiu.

- Henry - spytała - czy moglibyśmy się napić wina do obiadu?

- Oczywiście, że moglibyśmy. Ba! Pewnie, że się napijemy!

Milczała przez chwilę, potem powiedziała: - Henry, czy na tych walkach bokserskich to mężczyźni' biją się aż do krwi?

- Czasem, ale to rzadko. Czemu pytasz?

- Bo czytałam, że rozbijają sobie nosy i krew im ścieka aż na piersi. Czytałam, że rękawice robią im się ciężkie i mokre od krwi.

Obejrzał się na nią. - Co ci jest, Elizo? Nie miałem pojęcia, że czytasz takie rzeczy. - Zatrzymał wóz, skręcił na prawo i wjechał na most na rzece Salinas.

- Czy kobiety też chodzą na te walki? - spytała.

- Och, oczywiście, niektóre. O co ci chodzi, Elizo? Chcesz pójść popatrzeć? Myślę, że to ci

się nie spodoba, ale mogę cię wziąć, jeśli rzeczywiście masz ochotę.

Opadła bezwładnie na oparcie. - Och, nie. Nie. Nie chcę. Na pewno nie chcę. - Odwróciła od niego twarz. Wystarczy, jeśli napijemy się wina. To i tak będzie dużo. - Podniosła kołnierz płaszcza, żeby nie zobaczył, że płacze bezradnie - jak stara kobieta.

Tłumaczyła Ariadna Demkowska

MORDERSTWO

Działo się to przed wielu laty w okręgu Monterey, w środkowej Kalifornii. Kanion del Castillo jest jedną z dolin leżących między licznymi szczytami i grzbietami łańcucha gór Santa Lucia. Po obu stronach kanionu Castillo wcina się w skały wiele małych wąwozów. Wąwozy te zarośnięte są lasem dębowym, gęsto podszytym krzewami trującego sumaku i bylicy. W górnej części kanionu wznosi się ogromny zamek o potężnych murach i basztach podpartych skarpami, podobny do twierdz stawianych ongiś przez Krzyżowców na drodze podbojów. Dopiero gdy się podejdzie bliżej do zamku, widać wyraźnie, że jest to dziwny twór czasu, powietrza i wody działających na miękkie warstwy piaskowca. Nie trzeba mieć wielkiej fantazji, by patrząc z oddali wyobrazić sobie ruiny murów, bram, baszt, a nawet strzelnice.

U stóp zamku, niemal na samym dnie kanionu, stoi stary dom, zniszczona, porośnięta mchem stajnia i przekrzywiona szopa do karmienia bydła. Dom jest opuszczony. Drzwi poruszające się na zardzewiałych zawiasach skrzypią i trzaskają po nocach, gdy wiatr wieje w kierunku zamku.

Niewiele osób odwiedza ten dom. Niekiedy tylko mali chłopcy wędrują po pokojach i zaglądając do pustych schowków, głośno urągają duchom, w których istnienie nie wierzą.

Jim Moore, do którego należy ta rancza, nie lubi, aby obcy wchodzili do opuszczonego domostwa. Przyjeżdża wówczas konno ze swego nowego domu stojącego nieco niżej w dolinie, i wypędza chłopców. Na ogrodzeniu umieścił tablice z napisem „Wstęp wzbroniony", żeby zniechęcić ciekawych lub żądnych ponurych wrażeń. Niekiedy zastanawia się, czy nie należałoby spalić starego domu. Wówczas jednak zaczyna działać przedziwna, potężna siła poruszających się drzwi i ciemnych, pustych okien, która zabrania mu dokonać dzieła zniszczenia. Gdyby spalił dom, zniszczyłby jednocześnie wielką i ważną część swego życia. Zdaje sobie sprawę, że gdy pojawia się w miasteczku wraz ze swą pulchną i nadal jeszcze ładną żoną, ludzie odwracają się i patrzą na jego oddalającą się postać z szacunkiem i podziwem.

Jim Moore urodził się i dorósł w starym domu. Znał każdą sękatą, zmurszałą deskę w stajni, każdy gładko wylizany przez bydło żłób. Rodzice Jima umarli, gdy miał trzydzieści lat. Uczcił swą samodzielność zapuszczając brodę. Sprzedał świnie i postanowił, że nigdy ich więcej nie będzie hodować. Kupił pięknego buhaja rasy Guernsey, żeby poprawić swoje stado. Wreszcie zaczął jeździć w sobotnie wieczory do Monterey, aby się upić i pogadać z hałaśliwymi dziewczynami w lokalu „Pod Trzema Gwiazdami".

Nie minął rok od śmierci rodziców, gdy Jim Moore ożenił się z Jelką Sepie, Jugosłowianką z pochodzenia, córką ślamazarnego, cierpliwego farmera z Kanionu Sosnowego. Jim nie szczycił się cudzoziemską rodziną żony, jej licznymi braćmi siostrami i kuzynami, ale zachwycał się urodą Jelki. Oczy miała wielkie, pełne wyrazu, podobne do oczu sarny, nos cienki, ostry, a wargi pełne i miękkie. Za każdym razem ciało Jelki zdumiewało Jima, zapominał bowiem między jedną nocą a drugą, że jest aż tak piękne. Jelka była łagodna, spokojna i miła, nadzwyczaj gospodarna, nic dziwnego więc, że Jim często myślał ze wstrętem o radzie, którą mu dał jej ojciec w dniu ślubu. Stary farmer, mętny i podchmielony weselnym piwem, nagle trącił Jima łokciem w bok i uśmiechnął się znacząco. Jego małe czarne oczka niemal zupełnie zniknęły pod spuchniętymi, pomarszczonymi powiekami.

- Ty nie bądź wielki głupiec - powiedział. - Jelka Słowianka. Ona nie jest podobny do amerykańska dziewczyna. Jeśli będzie zły, bij ona. Jeśli będzie dobry za długo, też bij ona. Ja bił jego matka. Tata bił moja mama. Słowianka! Nie będzie lubić mąż, jeśli nie będzie bił!

- Nigdy nie uderzyłbym Jelki - odparł Jim. Ojciec chichocząc trącił go znowu łokciem.

- Nie bądź wielki głupiec - pouczał. - Zobaczysz sam.

Chwiejnym krokiem powrócił do beczki z piwem.

Jim przekonał się wkrótce, że Jelka różni się znacznie od amerykańskich dziewczyn. Była bardzo spokojna. Nigdy nie odzywała się pierwsza, tylko odpowiadała na jego pytania i to krótko, w kilku słowach. Uczyła się zwyczajów męża, podobnie jak uczyła się urywków Pisma świętego. Po kilku tygodniach wspólnego pożycia Jelka uprzedzała każde życzenie Jima, zanim zdążył o coś poprosić. Była doskonałą żoną, ale nie potrafiła być towarzyszką. Nigdy nie rozmawiała z mężem. Wodziła tylko za nim swymi wielkimi oczami, a gdy uśmiechał się do niej, odpowiadała mu uśmiechem dalekim i tajemniczym. Niestrudzenie robiła na drutach, cerowała lub szyła. Wydawało się, że z podziwem i dumą spogląda na swoje małe, białe ręce, gdy wykonują takie ładne i pożyteczne prace. Była tak podobna do zwierzątka, że czasem Jim gładził ją po głowie i karku z takim samym uczuciem, jakby głaskał konia.

Jelka była nadzwyczajną gospodynią. Chociaż Jim wracał do domu w różnych porach z nagrzanych słońcem gór lub z pól uprawnych leżących na dnie doliny, zawsze czekał na niego gotowy obiad. Podczas gdy mąż jadł, Jelka obsługiwała go uważnie, podsuwając półmiski i dolewając do filiżanki, gdy już była pusta.

Na początku małżeństwa Jim opowiadał jej o tym, co się działo na farmie, ale Jelka uśmiechała się wówczas do niego podobnie jak cudzoziemiec, który pragnie okazać swoją życzliwość, chociaż nie rozumie, o czym mowa.

- Ogier skaleczył się o drut kolczasty - mówił Jim.

- Tak - odpowiadała Jelka tonem, w którym nie rozbrzmiewało ani pytanie, ani zaciekawienie.

Wkrótce Jim uświadomił sobie, że w żaden sposób nie może się z nią porozumieć. Jeśli miała swoje własne życie, było ono tak odrębne, ze Jim nie mógł go pojąć. Wyraz jej oczu stanowił przeszkodę nie do przebycia, gdyż choć nie był nieprzyjazny, nie wyrażał nic.

W nocy, gdy Jim gładził jej proste, czarne włosy i nieprawdopodobnie gładkie, złociste ramiona, Jelka cicho pojękiwała z rozkoszy. Dopiero w szczytowym momencie uniesienia miłosnego budziła się jej żywiołowa natura, pełna namiętności. Później znów stawała się troskliwą i niezwykle obowiązkową żoną.

- Dlaczego mi nigdy nic nie mówisz? - pytał Jim - czy nie chcesz rozmawiać ze mną?

- Tak - odpowiadała Jelka. - Co chcesz, bym ci mówiła?

Choć używała słów jego narodu, płynęły one z umysłu obcego temu narodowi.

Po roku Jim zatęsknił za towarzystwem kobiet, za wesołą paplaniną, za przyjemnym przekomarzaniem się, za nieco sprośną wulgarnością. Zaczął jeździć do miasta, pić i zabawiać się z hałaśliwymi dziewczynami spod „Trzech Gwiazd". Dziewczynom podobał się jego stanowczy, opanowany wyraz twarzy, lubiły go też za to, że był chętny do żartów.

- Gdzie twoja żona? - pytały Jima.

- W domu, w stajni - odpowiadał. Dowcip ten był niezawodny.

W sobotę po południu siodłał konia i wsuwał sztucer do pochwy przy siodle przewidując, że mógłby napotkać jelenia. Zawsze pytał żonę:

- Nie boisz się zostać sama?

- Nie, nie boję się.

Kiedyś spytał:

- A gdyby ktoś się tu zjawił?

Oczy Jelki stały się nagle czujne, ale po chwili uśmiechnęła się mówiąc:

- Przepędziłabym go.

- Wrócę jutro około południa. Za długa droga, by jechać nocą.

Jim czuł, że Jelka wie, dokąd on jeździ, ale nigdy nie sprzeciwiała się, ani nie okazywała niezadowolenia.

- Byłoby dobrze, żebyś miała dziecko. Twarz Jelki rozpromieniła się.

- Kiedyś Pan Bóg okaże swą dobroć - powiedziała skwapliwie.

Jimowi było jej żal, że jest taka samotna. Gdyby zechciała zaprzyjaźnić się z innymi kobietami w kanionie, mniej by odczuwała samotność, ale Jelka nie umiała obcować z ludźmi. Mniej więcej raz w miesiącu zaprzęgała konie do wózka i jechała w odwiedziny do matki. Tam spędzała

popołudnie wśród licznej gromady braci, sióstr i kuzynów, którzy mieszkali u jej rodziców.

- Wspaniale się zabawisz - mówił Jim. - Będziesz paplać tym swoim zwariowanym językiem jak kaczka przez całe popołudnie. Będziesz chichotać z tym swoim dryblasem kuzynem, co ma wiecznie zakłopotany wyraz twarzy. Gdybyś mnie kiedy czymś zgniewała, nazwałbym cię przeklętą cudzoziemką.

Jim przypomniał sobie, że Jelka zawsze robiła znak krzyża nad chlebem, zanim go wsadziła do pieca, że co wieczór klęcząc przy łóżku odmawiała pacierz, że święty obrazek zawiesiła na ścianie w sypialni.

Pewnej upalnej czerwcowej soboty Jim kosił owies w dolinie. Dzień był długi. Minęła już szósta, gdy żniwiarka ścięła ostatnie pasmo owsa. Jim wjechał na klekocącej żniwiarce pod górę na podwórze i wprowadził ją tyłem do szopy. Wyprzągł konie i wygonił je na pastwisko wśród wzgórz, gdzie miały pozostać przez niedzielę. Gdy wszedł do kuchni, Jelka właśnie stawiała obiad na stole. Jim umył ręce i twarz, następnie zasiadł do posiłku.

- Jestem zmęczony - powiedział - ale mimo to pojadę do Monterey. Dziś jest pełnia.

Łagodne oczy Jelki rozjaśniły się uśmiechem.

- Wiesz co - dodał Jim - jeśli chcesz pojechać ze mną, zaprzęgnę bryczkę i zabiorę cię.

Jelka uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

- Nie, sklepy już będą zamknięte. Wolę zostać w domu.

- Dobrze, jak chcesz. W takim razie osiodłam konia. Nie myślałem, że pojadę. Konie wygoniłem na pastwisko. Może uda mi się schwytać którego bez trudu. Na pewno nie chcesz pojechać?

- Gdyby było wcześniej, to bym mogła pójść do sklepu, ale nie zajedziemy chyba przed dziesiątą.

- O nie, na pewno. No cóż, jak sobie chcesz. Konno dojadę trochę po dziewiątej.

Na ustach Jelki pojawił się uśmiech, ale oczy jej śledziły Jima pragnąc odgadnąć jego życzenie. Może dlatego, że był zmęczony długim dniem pracy, zapytał nagle:

- O czym myślisz?

- O czym myślę? Pytałeś mnie o to prawie co dzień, gdyśmy się pobrali.

- Ale o czym myślisz? - nalegał zniecierpliwiony.

- Och, myślę o czarnej kurze wysiadującej jajka. - Jelka wstała i podeszła do dużego kalendarza wiszącego na ścianie. - Powinny się wykluć jutro, a może w poniedziałek.

Zapadał już zmierzch, gdy Jim ogolony, w granatowym ubraniu i nowych butach, gotów był do drogi. Jelka w tym czasie pozmywała i schowała naczynia. Przechodząc przez kuchnię Jim zobaczył, że Jelka postawiła lampę na stole przy oknie. Siedziała tam robiąc na drutach skarpetkę z brązowej wełny.

- Dlaczego usiadłaś przy oknie? - spytał. - Przecież zawsze siedzisz tutaj. Jak ty się czasem dziwnie zachowujesz!

Jelka powoli podniosła wzrok od swoich szybko poruszających się rąk.

- Księżyc - odparła spokojnie - powiedziałeś, że dziś jest pełnia. Chcę zobaczyć, jak będzie wschodzić.

- Głupia jesteś. Przecież stąd go nie zobaczysz. Myślałem, że lepiej się znasz na stronach świata.

Jelka uśmiechnęła się w zamyśleniu.

- No, to będę patrzeć z okna sypialni.

Jim włożył czarny kapelusz i wyszedł z domu. Idąc przez ciemną, pustą stajnię, zdjął z haka uździenicę. Gdy zbliżył się do porośniętego trawą zbocza, gwizdnął ostro, głośno. Konie przestały skubać trawę, powoli ruszyły ku niemu i zatrzymały się w odległości dwudziestu stóp. Jim ostrożnie podszedł do kasztanowatego wałacha i głaszcząc go powoli, zapiął mu uździenicę i zaprowadził konia do stajni. Nałożył siodło, mocno zaciągnął popręg, przez sterczące uszy kasztana przerzucił naczółek nabijany srebrem i zapiął podpinkę pod szyją. Następnie zawiązał dokoła szyi wierzchowca linkę, a drugi, starannie zwinięty koniec przyczepił do siodła. Potem zdjął uździenicę i podprowadził konia pod dom.

Nad wschodnim pasmem wzgórz niebo rozpłomieniło się czerwonawą łuną. Zapowiadało się, że księżyc wzejdzie, zanim dolina pogrąży się w całkowitych ciemnościach.

Jelka nadal siedziała przy oknie w kuchni, robiąc skarpetkę na drutach. Jim wziął sztucer stojący w rogu. Wkładając naboje do magazynka, powiedział:

- Widać już łunę nad wzgórzami. Jeśli chcesz zobaczyć, jak księżyc będzie wschodzić, wyjdź zaraz na dwór. Księżyc będzie mocno czerwony, jak tylko się pokaże.

- Za chwilę wyjdę - odpowiedziała Jelka - jak skończę ten rządek.

Jim podszedł do żony i pogłaskał jej lśniące włosy.

- Dobranoc. Pewnie wrócę jutro w południe. Smętne spojrzenie czarnych oczu odprowadziło go do drzwi.

Jim włożył sztucer do pochwy przy siodle, wsiadł na konia i skierował go w dół kanionu. Po prawej stronie jeźdźca zza osnutych mrokiem wzgórz, szybko wypłynął wielki czerwony księżyc. Podwójne światło wygasającego dnia i wschodzącego księżyca zaostrzało zarysy drzew i nadawało górom inny, bardziej tajemniczy wygląd. Pokryte kurzem liście na dębach iskrzyły się migotliwymi odblaskami, cienie pod drzewami nabrały czerni aksamitu. Ogromny, długonogi cień konia z jeźdźcem nieco wyprzedzał Jima z lewej strony. Z rancz rozrzuconych po całej dolinie dobiegało wycie psów dostrajających swoje głosy przed nocą pieśni. Koguty piały zdumione, że świt nadszedł tak

szybko. Jim przynaglił kasztana do kłusa. Z tyłu, od strony zamku, echo wielokrotnie powtarzało tętent kopyt. Jim myślał o jasnowłosej May z lokalu „Pod Trzema Gwiazdami": - „Przyjadę bardzo późno. Może ktoś inny mnie ubiegnie..." Księżyc wzniósł się już wysoko ponad wzgórza.

Jim ujechał z milę, gdy nagle usłyszał tętent zbliżający się ku niemu. Jakiś jeździec nadjechał kłusem i zatrzymał się obok.

- To ty, Jim?

- Tak. Dobry wieczór, George.

- Właśnie jechałem do ciebie. Chciałem ci coś powiedzieć... Czy wiesz, gdzie jest źródło w górnej części mojej ranczy?

- Tak, wiem.

- Widzisz, byłem tam dziś po południu. Znalazłem wygasłe ognisko, a przy nim głowę i nogi cielaka. Skóra, na wpół spalona, leżała w ognisku, ale wyciągnąłem ją i zobaczyłem, że ma twój znak.

- Do diabła! - zaklął Jim - czy ogień dawno wygasł?

- Popiół był jeszcze ciepły pod spodem. Myślę, że ognisko paliło się wczorajszej nocy. Słuchaj, Jim, nie mogę pojechać z tobą. Muszę być w mieście, ale chciałem cię ostrzec, żebyś się dobrze rozejrzał.

Jim spytał spokojni.

- Nie wiesz, ilu tam było ludzi?

- Nie, nie badałem śladów.

- Trzeba będzie pojechać tam i popatrzeć. Ja też wybierałem się do miasta. Ale jeśli tu grasują złodzieje, nie mam zamiaru tracić więcej bydła. Czy mogę skrócić sobie drogę przez twoją ranczę?

- Pojechałbym z tobą chętnie, ale muszę być w mieście. Czy masz ze sobą broń?

- O tak, naturalnie. Tu, przy nodze. Dziękuję ci za ostrzeżenie.

- Nie ma za co. Jedź, którędy tylko chcesz.

Dobranoc.

Sąsiad zawrócił konia i pokłusował z powrotem w kierunku, z którego nadjechał.

Przez chwilę Jim siedział bez ruchu patrząc na swój wydłużony cień w świetle księżyca. Nagle wyciągnął sztucer z pochwy, zarepetował broń i położył ją na łęku siodła. Skręcił w lewo z drogi, wjechał na wzgórze, minął dębowy las i porośnięty trawą stromy szczyt i po spadzistym zboczu zjechał do sąsiedniego kanionu.

Po półgodzinie jazdy Jim znalazł opuszczone obozowisko. Zsiadł z konia, odwrócił ciężką głowę cielęcia, dotknął zakurzonego języka, żeby przekonać się, czy jest suchy - z tego mógł wy-

wnioskować, kiedy cielaka zabito. Przy świetle zapałki zobaczył swój znak na wpół, spalonej skórze. Wreszcie dosiadł konia i przecinając pasmo nie zadrzewionych, porośniętych trawą wzgórz zjechał na swoją ranczę.

Ciepły letni wiatr wiał po szczytach. Księżyc, przesuwając się coraz wyżej na niebie, stracił już swą czerwień i nabrał koloru mocnej herbaty.

Wśród wzgórz rozlegał się chór kojotów, a psy na ranczach w dolinie wtórowały im żałośnie wyjąc, światło księżyca podkreślało ciemną zieleń dębów i żółtość suchej trawy.

Jim kierując się odgłosem dzwonków, odnalazł swoje stado. Krowy pasły się spokojnie, a wraz z nimi pożywiało się kilka saren. Jim nasłuchiwał przez chwilę, czy wiatr nie niesie tętentu kopyt lub ludzkich głosów.

Było już po jedenastej, gdy zawrócił konia w kierunku domu. Okrążył zachodnią basztę zamku, minął zacienione zbocze i znowu wjechał na oświetloną księżycem przestrzeń. U podnóża zamku lśniły matowo dachy domu i stajni. W oknie sypialni odbijało się światło księżyca.

Gdy Jim przejeżdżał przez pastwisko, skubiące trawę konie podniosły łby zwracając je ku niemu, a wówczas oczy ich nabrały czerwonawych błysków.

Jim był już niemal przy ogrodzeniu, gdy nagle usłyszał stąpanie konia w stajni. Gwałtownie ściągnął cugle. Nasłuchiwał. Znowu rozległo się stąpanie. Jim chwycił strzelbę i cicho zsunął się z siodła. Puścił kasztana wolno, a sam zaczął skradać się do stajni.

W ciemnościach słyszał, jak koń żuje siano. Jim wszedł do stajni i zbliżył się do boksu, z którego dochodziło stąpanie. Po chwili nasłuchiwania potarł zapałkę o kolbę sztucera. Osiodłany wierzchowiec uwiązany był przy żłobie. Wędzidło miał pod pyskiem, popręg rozluźniony. Koń przestał żuć i odwrócił głowę w stronę światła.

Jim zdmuchnął zapałkę i szybko wyszedł ze stajni. Usiadł na brzegu koryta i patrzył w wodę. Myśli napływały mu wolno do głowy, aż ułożyły się w słowa, które wypowiedział niedosłyszalnym szeptem:

- Czy zajrzeć przez okno? Nie. Może mnie zdradzić cień mojej głowy.

Spojrzał na sztucer, który trzymał w ręce. Od ciągłego użytku oksydowana lufa wytarła się w wielu miejscach. W świetle księżyca metal (błyszczał srebrzyście. Wreszcie Jim, powziąwszy postanowienie, wstał i ruszył w kierunku domu. Ostrożnie stawiał stopy na każdym drewnianym schodku, powoli przenosząc ciężar ciała. Trzy psy podwórzowe wylazły ze swoich legowisk, otrząsnęły się, przeciągnęły, powęszyły, pomachały ogonami i poszły z powrotem spać.

W kuchni było ciemno, lecz Jim dobrze wiedział, gdzie się znajduje każdy sprzęt. Wyciągnął rękę i posuwając się po omacku dotknął rogu stołu, oparcia krzesła, wieszaka z ręcznikami. Szedł tak cicho, że słyszał tylko swój oddech, szelest ocierających się nogawek spodni i cykanie

zegarka w kieszeni. Drzwi do sypialni były otwarte. Wpadało przez nie światło księżyca, tworząc jasną plamę na podłodze w kuchni. Wreszcie Jim dotarł do drzwi i zajrzał do sypialni.

W świetle księżyca bieliło się łóżko. Jim ujrzał Jelkę leżącą na wznak. Nagim ramieniem zakrywała czoło i oczy. Jim nie mógł rozpoznać mężczyzny, gdyż miał on odwróconą głowę. Patrzył wstrzymując oddech. Wtem Jelka poruszyła się we śnie, mężczyzna odwrócił głowę i westchnął - był to kuzyn Jelki, ten dryblas z zakłopotanym wyrazem twarzy.

Jim cofnął się, szybko przekradł przez kuchnię i zszedł po schodkach. Powędrował znów do koryta i usiadł na brzegu. Księżyc, biały jak śnieg, odbijał się w wodzie srebrząc źdźbła słomy i owsa spłukane z pysków koni. Jim widział larwy moskitów wirujące w wodzie, widział salamandrę leżącą na mchu na dnie koryta.

Z piersi Jima wydarł się krótki, stłumiony szloch. Zdziwił się, dlaczego płacze, gdyż myśli jego biegły ku porośniętym trawą wzgórzom, po których hulał samotny, letni wiatr.

Nagle myśli Jima cofnęły się w przeszłość. Przypomniał sobie, w jaki sposób matka jego, gdy ojciec zarzynał świnię, podstawiała wiadro pod strumień krwi tryskającej z gardła. Stawała jak najdalej i trzymała wiadro w wyciągniętej ręce, aby uchronić się od opryskania posoką.

Jim zanurzył rękę w wodzie, rozbijając odbicie księżyca na wirujące, świetlne smugi. Zwilżył czoło mokrymi rękami i wstał. Tym razem nie szedł już tak cicho, tylko kuchnię minął na palcach i zatrzymał się w drzwiach sypialni. Jelka odrzuciła ramię z twarzy i spod na wpół przymkniętych powiek spojrzała w kierunku drzwi. Rozwarła szeroko oczy, błysnęły w nich łzy. Jim wpatrywał się w nią, twarz miał kamienną. Mała kropla spłynęła po nosie Jelki i zatrzymała się we wgłębieniu nad górną wargą. Jelka również wpatrywała się w Jima.

Jim odwiódł kurek. Wśród ciszy głośno rozległ się szczęk metalu. Mężczyzna leżący w łóżku poruszył się niespokojnie we śnie. Jimowi trzęsły się ręce. Oparł sztucer o ramię, trzymając mocno, by mu nie drgał. W celowniku widział biały kwadracik między brwiami i włosami mężczyzny. Muszka zachybotała, lecz po chwili znieruchomiała na celu Wystrzał rozdarł powietrze. Jim, nadal patrząc wzdłuż lufy, zobaczył, jak łóżko drgnęło od uderzenia. W czole mężczyzny widniał mały, czarny, nie krwawiący otwór. Lecz kula przechodząc na wylot pozostawiła rozpryśnięty mózg i odłamki kości na poduszce.

Kuzynowi Jelki zabulgotało w gardle. Ręce jego wypełzły z pod kołdry niby wielkie, białe pająki, wędrowały bezładnie przez chwilę, wreszcie drgnęły i zastygły w bezruchu.

Jim zwolna przeniósł wzrok na Jelkę. Po twarzy jej spływały łzy. Oczy utkwiła w wylocie lufy. Skamlała cicho jak zmarznięty szczeniak.

Jima ogarnęło przerażenie. Odwrócił się gwałtownie. Szybkim krokiem, stukając obcasami, przemierzył kuchnię, lecz gdy znalazł się na dworze, zaczął iść powoli w kierunku koryta z wodą.

W ustach miał słony smak, serce biło boleśnie. Zdjął kapelusz i zanurzył głowę w wodzie. Potem przechylił się za koryto i zwymiotował. Słyszał, że Jelka chodzi po domu pojękując cicho. Jim wyprostował się, był słaby, oszołomiony.

Zmęczonym krokiem minął podwórze i wyszedł na pastwisko. Osiodłany kasztan przybiegł na jego gwizd. Jim automatycznie zaciągnął popręg, wsiadł na konia i ruszył drogą wiodącą w głąb doliny. Krótki czarny cień podróżował pod nim. Biały księżyc płynął wysoko po niebie. Niespokojne psy szczekały jednostajnie.

O świcie wózek zaprzężony w parę koni wtoczył się na podwórze ranczy siejąc popłoch wśród kur. Zastępca szeryfa i sędzia śledczy siedzieli na koźle. Jim Moore na wpół leżał w tyle wózka, oparty o własne siodło. Zmęczony kasztan biegł luzem za wózkiem. Zastępca szeryfa zakręcił korbę hamulca i owinął dokoła niej lejce. Przybysze wysiedli.

- Czy ja muszę wejść do domu? - spytał Jim. - Jestem tak zmęczony i zdenerwowany, że nie mogę teraz tego oglądać.

Sędzia śledczy trzymając palcami dolną wargę zastanawiał się przez chwilę.

- Chyba nie. Rozejrzymy się i zajmiemy wszystkim sami.

Jim skierował się wolnym krokiem w stronę koryta z wodą.

- Słuchajcie - zawołał - uporządkujcie tam trochę, dobrze? Wiecie, o co chodzi.

Dwaj mężczyźni weszli do domu. Po kilku minutach pojawili się znowu, niosąc sztywne ciało zawinięte w kołdrę. Włożyli je na wózek. Jim podszedł do nich.

- Czy muszę teraz jechać z wami?

- Gdzie jest pańska żona, Moore? - spytał zastępca szeryfa.

- Nie wiem - odpowiedział znużonym głosem. - Musi tu gdzieś być.

- Czy aby nie zabił pan jej także?

- Nie. Nie dotknąłem jej. Znajdę ją i przywiozę dziś po południu. O ile nie chcecie, abym z wami zaraz pojechał.

- Mamy pańskie zeznanie - powiedział sędzia śledczy. - I, na Boga, mamy przecież oczy, prawda, Bill? Oczywiście jest pan formalnie pod zarzutem morderstwa, ale sprawa będzie umorzona. Tak zawsze jest w naszych stronach. Niech pan nie będzie zbyt surowy dla żony, Moore!

- Nie skrzywdzę jej - powiedział Jim.

Stał i patrzył na odjeżdżający wózek. Bezmyślnie uderzał nogą w ziemię. Gorące czerwcowe słońce ukazało swoją tarczę nad wzgórzami i zabłysło złośliwie w oknie sypialni.

Jim wszedł wolno do domu. Wziął bat długości dziewięciu stóp z ołowianym ciężarkiem na końcu, używany do poskramiania byków. Minął podwórze i wszedł do stajni. Gdy wchodził po drabinie na górę, usłyszał jakby szczenięce skamlenie.

Po dłuższej chwili wyszedł ze stajni niosąc Jelkę przewieszoną przez ramię. Przy korycie posadził ją delikatnie na ziemi. We włosach Jelki gęsto tkwiły źdźbła siana. Bluzkę na plecach miała zalaną krwią.

Jim zmoczył chustkę w wodzie, zwilżył pogryzione z bólu usta Jelki, umył jej twarz, przygładził włosy. Smutne czarne oczy śledziły każdy jego ruch.

- Sprawiłeś mi ból - odezwała się Jelka - wielki ból.

Jim skinął głową z powagą.

- Tak wielki, jaki tylko mogłem sprawić, nie zabijając ciebie.

Gorące promienie słońca prażyły ziemię. Kilka much bzykało dokoła czując krew.

Jelka próbowała rozchylić spuchnięte wargi w uśmiechu.

- Czy jadłeś śniadanie?

- Nie, nic nie jadłem.

- No, to usmażę ci jajka. - Wstała z ziemi z bolesnym wysiłkiem.

- Pomogę ci - powiedział Jim. - Pomogę ci zdjąć bluzkę. Przywarła ci do pleców. Będzie bolało.

- Nie. Dam sobie radę sama.

Głos Jelki nabrał szczególnego brzmienia. Jej czarne oczy objęły męża czułym spojrzeniem. Po chwili odwróciła się i chwiejnym krokiem poszła do domu.

Jim czekał siedząc na brzegu koryta. Widział, jak dym prostym słupem zaczął wznosić się z komina ku niebu. Wkrótce Jelka zawołała przez drzwi kuchenne:

- Chodź, Jim! Śniadanie gotowe.

Cztery smażone jajka i cztery grube kawałki bekonu czekały na ogrzanym talerzu.

- Kawa będzie za chwilkę - powiedziała Jelka.

- A ty nie jesz?

- Nie. Teraz nie mogę. Za bardzo bolą mnie usta.

Jim zjadł jajka z apetytem, potem spojrzał na żonę. Gładko przyczesała swoje czarne włosy, włożyła czystą białą bluzkę.

- Jedziemy do miasta dziś po południu - oznajmił Jim. - Zamówię budulec. Zbudujemy nowy dom poniżej w kanionie.

Jelka spojrzała na zamknięte drzwi sypialni, potem na męża.

- Tak to będzie dobrze. - Po chwili dodała: - Czy będziesz mnie jeszcze bił za to?

- Nie, za to już więcej nie.

W oczach Jelki pojawił się uśmiech. Usiadła na krześle obok męża, a Jim wyciągnął rękę i pogładził ją po głowie i karku.

Tłumaczyła Eleonora Romanowicz

NAPAD

I

Było już ciemno w małym kalifornijskim miasteczku, gdy ci dwaj wysiedli z wagonu restauracyjnego i śmiało pomaszerowali bocznymi uliczkami. Powietrze było pełne słodkiego zapachu fermentujących owoców, dochodzącego z hal pakowniczych. Na rogach ulic niebieskie latarnie chwiały się wysoko na wietrze rzucając na ziemię ruchliwe cienie drutów telefonicznych. Stare drewniane budynki spoczywały w ciszy. W brudnych oknach odbijały się przygnębiające światła uliczne.

Mężczyźni nie różnili się wzrostem, jeden był jednak dużo starszy od drugiego; włosy mieli krótko przystrzyżone, ubrani byli w niebieskie bawełniane spodnie, starszy miał na sobie marynarską kurtkę, a młodszy - niebieski golf.

Gdy tak szli ciemną ulicą, kroki ich odbijały się głośnym echem od drewnianych budynków. Młodszy mężczyzna zaczął gwizdać „Przyjdź do mnie, moja melancholijna dziewczyno”! Nagle urwał. - Chciałbym, żeby ta cholerna piosenka przestała mi się plątać po głowie - powiedział. - Trzyma się mnie cały dzień. I to taki stary kawałek.

Starszy odwrócił się do niego. - Masz pietra, Rut. To widać. Masz cholernego pietra.

Przechodzili właśnie pod jednym z niebieskich świateł ulicznych. Twarz Ruta przybrała twardy wyraz, przymrużył oczy i gorzko wykrzywił usta. - Wcale się nie boję. - Wyszli ze światła. Twarz mu się odprężyła. - Ja jeszcze dobrze nie znam tej roboty, a ty, Dick, już dawno w tym siedzisz. Wiesz, czego można się spodziewać, a ja idę na ciemno.

- Najlepsza szkoła to praktyka - zacytował Dick sentencjonalnie. - Z książek niczego się nie nauczysz.

Przeszli tory kolejowe. W niewielkiej odległości połyskiwał zielonymi światłami semafor. - Ależ ciemno - odezwał się Rut. - Ciekaw jestem, czy później wzejdzie księżyc. Jak jest tak ciemno, to zwykle wschodzi. Przemówisz pierwszy, Dick?

- Nie, ty zacznij. Masz mniej doświadczenia niż ja. Posłucham najpierw, jak ty mówisz, i zorientuję się, czym trafić, żeby ich dobrze wzięło. Ułożyłeś sobie, co masz powiedzieć?

- Jasne. Mam każde słowo w głowie. Zresztą wszystko napisałem i nauczyłem się na pamięć. Faceci mi nieraz opowiadali, że wstają i nie mogą wykrztusić z siebie jednego słowa, a potem nagle rozwiązuje im się język i jadą jak złoto. Słowa wylewają się z nich jak woda z kranu. Gruby

Michał Sheane twierdzi, że u niego to tak zawsze. Ale ja sobie napisałem, bo wolę nie ryzykować.

Lokomotywa zaświstała żałośnie i po chwili minęła zakręt ciągnąc za sobą wielki ogon świateł. Wagony przeleciały z hukiem. Dick obrócił się, by się temu przyjrzeć. - Niewielu ludzi jedzie - powiedział z zadowoleniem. - Mówiłeś mi, zdaje się, że twój stary pracuje na kolei?

Rut nie chciał, by głos jego zabrzmiał goryczą. Tak jest. Pracuje jako hamulcowy. Wyrzucił mnie, kiedy się dowiedział, czym się zajmuję. Przestraszył się, że straci pracę. Nic nie rozumie. Tłumaczyłem mu, ale po prostu nie mógł zrozumieć. Wyrzucił mnie na zbity łeb. - W głosie Ruta brzmiała jego samotność. Nagle zdał sobie sprawę, jak się odsłonił ze swoją tęsknotą za domem. - Tak to właśnie z nimi jest - powiedział surowo. Poza swoją pracą niczego innego nie widzą. Nie widzą, co z nimi robią. Kurczowo trzymają się swych łańcuchów.

- Dobra - odrzekł Dick. - To dobrze brzmi. Czy to część twojego przemówienia?

- Nie, ale mogę to wsadzić, jeśli myślisz, że to dobre.

Było coraz mniej świateł ulicznych. Miasto się kończyło i zaczynały pola. Wzdłuż nie brukowanej drogi obsadzonej akacjami stało parę małych domków z zapuszczonymi ogródkami.

- O rany, ależ ciemno - zauważył ponownie Rut. - Ciekaw jestem, czy będzie awantura. Mamy dobrą noc, żeby zwiać, gdyby się coś przytrafiło.

Diok odchrząknął coś w kołnierz swojej kurtki. Przez chwilę szli w milczeniu.

- Próbowałbyś uciekać? - zapytał Rut.

- Nigdy! To wbrew poleceniom. Cokolwiek by się stało, musimy wytrwać. Jesteś jeszcze dzieciuch. Zdaje mi się, że ty byś zwiał, gdybym ci pozwolił.

Rut powiedział: - Wydaje ci się, żeś wielki bohater, bo już wysyłano cię parę razy. Jak się ciebie słucha, toś straszny pistolet.

- W każdym razie obeschło mi już mleko pod nosem - burknął Dick.

Rut maszerował z pochyloną głową. - Dick, jesteś pewien, że nie zwiejesz? - Zapytał miękko. - Jesteś pewien, że będziesz tam spokojnie stał i nie nawalisz?

- Oczywiście, że tak. Robiłem to już przedtem. Takie są polecenia, no nie? Zresztą to robi dobre wrażenie. - Popatrzył badawczo na Ruta. - Dlaczego się pytasz, mały? Boisz się, że nawalisz? Jeśli masz pietra, to w ogóle nie powinieneś tu być.

Rut wstrząsnął się. - Słuchaj, Dick, ty jesteś fajny gość, nie powtórz nikomu, co ci teraz mówię. Nigdy mnie nie wypróbowano. Skąd mam wiedzieć, co zrobię, gdy ktoś wyrżnie mnie w twarz pałą. Czy ktokolwiek może za siebie ręczyć? Myślę, że nie nawalę. Będę się starał nie nawalić.

- No dobra, mały. Zostawmy to. Ale spróbuj tylko zwiać, a zamelduję o tobie. U nas nie ma miejsca dla tchórzliwych gówniarzy. Pamiętaj o tym, mały.

- Odwal się z tym „małym”. Po co ta drętwa mowa!

Akacje rosły coraz gęściej. Wiatr szeleścił łagodnie w liściach. W jakimś podwórzu zaczął na nich szczekać pies. Na ziemię opadała lekka mgła przysłaniająca gwiazdy. - Wszystko? - zapytał Dick. - Masz lampy i literaturę? Miałeś się tym zająć.

- Przygotowałem wszystko po południu - odpowiedział Rut. - Jeszcze nie wywiesiłem ogłoszeń, ale są tam w skrzynce.

- Czy jest nafta w lampach?

- Było dość. Słuchaj, Dick, a może jakiś skurwysyn już sypnął?

- Na pewno. Zawsze jakiś kapuś się znajdzie.

- Nie słyszałeś, żeby przygotowywali jakąś hecę, co?

- W jaki sposób, do cholery, mógłbym słyszeć. Czy wydaje ci się, że przychodzą do mnie i mówią, że mają zamiar rozwalić mi łeb? Weź się do kupy, Rut. Spodnie ci się trzęsą ze strachu. I zamknij dziób, bo i mnie denerwujesz.

II

Podeszli do niskiego kwadratowego budynku, który w mroku rysował się ciemną, ciężką bryłą. Kroki ich zabrzmiały głośno na drewnianym chodniku. - Jeszcze nikogo nie ma - powiedział Dick. - Otwórzmy tę budę i zapalmy światło. Stali przed opuszczonym budynkiem sklepowym. Stare szyby wystawowe były całkowicie pokryte brudem. Z jednej strony do szkła była przyklejona reklama papierosów *Lucky Strike,* a z drugiej stała jak duch kobieta z tektury zachwalająca Coca-Colę. Dick otworzył podwójne drzwi i wszedł do środka. Potarł zapałkę i zapalił naftową lampę, założył z powrotem szkiełko i ustawił lampę na odwróconej do góry dnem skrzynce od jabłek. - Ruszaj się, Rut, musimy wszystko przygotować.

Ściany budynku były pomazane smugami wapna. Kopnięta w kąt leżała kupa zakurzonych gazet. Obydwa tylne okna przysłaniała pajęczyna. Poza trzema skrzynkami od jabłek w sklepie nie było absolutnie nic.

Rut podszedł do jednej ze skrzynek i wyjął wielki plakat z podobizną mężczyzny wykonaną jaskrawą czerwienią i czernią i przybił go do pobielanej ściany oświetlonej przez lampę. Następnie obok niego przybił drugi plakat z wielkim czerwonym emblematem na białym tle. Na końcu przewrócił do góry dnem drugą skrzynkę i ułożył na niej stos ulotek i niewielkich broszurek. Kroki jego dudniły po drewnianej podłodze. - Zapal drugą lampę, Dick! Cholernie tutaj ciemno.

- Boisz się także ciemności, mały?

- Nie. Ale niedługo już przyjdą ludzie. Trzeba, żeby było więcej światła. Która to jest godzina?

Dick spojrzał na zegarek. - Za kwadrans ósma. Pierwsi faceci powinni się już niedługo pojawić. - Wsadził ręce w boczne kieszenie kurtki i stanął niedbale obok skrzynki z broszurami. Nie było na czym usiąść. Czerwono-czarny portret patrzył surowo na izbę. Rut oparł się o ścianę.

Światło jednej z lamp pożółkło; płomyk jej zaczął powoli gasnąć. Dick podszedł do lampy. - Mówiłeś przecież, że jest dość nafty. A ta się już wypaliła.

- Wydawało mi się, że wystarczy. Spojrzyj no, ta druga jest prawie pełna. Możemy z niej trochę odlać.

- Jak chcesz to zrobić? Żeby przelać naftę, trzeba obydwie zgasić. Masz zapałki?

Rut przeszukał kieszenie. - Tylko dwie - powiedział.

- No widzisz, teraz zebranie odbędzie się tylko przy jednej lampie. Powinienem był sam sprawdzić wszystko po południu. Byłem niestety zajęty w mieście. Wydawało mi się, że można na tobie polegać.

- Możebyśmy odlali trochę nafty do bańki, a potem przelali ją do drugiej lampy?

- Tak, i podpalili tę budę! Fajny z ciebie pomocnik.

Rut wrócił pod ścianę. - Mogliby już przyjść. Która to godzina, Dick?

- Pięć po ósmej.

- Dlaczego ich jeszcze nie ma? Na co oni czekają? Czy powiedziałeś im, że o ósmej?

- Zamknij dziób, mały, zaczynasz mnie wyprowadzać z równowagi. Nie mam pojęcia, dlaczego nie przychodzą. Może ich strach obleciał. A teraz przymknij się na chwilę. - Włożył ręce z powrotem do kieszeni kurtki. - Masz papierosa, Rut? - powiedział po chwili.

- Nie.

Było bardzo cicho. Z centrum miasteczka dochodziły odgłosy samochodów: słychać było warkot motorów i od czasu do czasu - klakson. W jednym z pobliskich domów zaszczekał znudzony pies. Świszczące porywy wiatru targały liśćmi akacji.

- Posłuchaj no, Dick. Czy słyszysz głosy? Zdaje się, że nadchodzą.

Obydwaj obrócili głowy i natężyli słuch.

- Nic nie słyszę. Coś ci się przywidziało.

Rut podszedł do jednego z brudnych okien i wyjrzał. Za chwilę wrócił i po drodze zatrzymał się przy stosie broszurek starannie go wyrównując. - Która godzina, Dick?

- Weź na wstrzymanie. Nie mam nerwów do ciebie. Do tej roboty trzeba mieć trochę ikry. Weź się, do cholery, w garść.

- Wiesz przecie, że mnie nigdy jeszcze nie wysyłano na robotę.

- Co do tego, to nie ma żadnej wątpliwości. Zachowujesz się tak, że od razu to widać.

Wiatr zadął silniej wśród akacji. Drzwi wejściowe skrzypnęły, jedna połowa wolno otworzyła się zgrzytając w zawiasach. Do środka wpadł podmuch wiatru rozrzucając stos zakurzonych gazet w kącie i wydymając plakat na pokój.

- Zamknij drzwi, Rut... Albo nie, niech będą otwarte. Będzie słychać lepiej, jak idą. - Spojrzał na zegarek. - Jest już prawie wpół do dziewiątej.

- Myślisz, że przyjdą? A jeśli nie przyjdą, to ile czasu mamy tu czekać?

Starszy mężczyzna wpatrywał się w otwarte drzwi. - Nie ruszymy stąd w żadnym wypadku wcześniej niż przed wpół do dziewiątej. Otrzymaliśmy polecenie, aby odbyć to zebranie.

Teraz, przez otwarte drzwi, wyraźniej nadchodziły dźwięki nocy: taniec suchych liści akacjowych na drodze i wolne, nie milknące szczekanie psa. W przyćmionym świetle czerwono-czarny portret wisiał groźnie na ścianie. Dolną część wiatr wydymał na izbę. Dick wpatrywał się weń przez chwilę. - Słuchaj, mały - powiedział spokojnie - wiem, że się boisz. Kiedykolwiek obleci cię strach, popatrz na niego. - Wskazał kciukiem na portret. - On się nie bał. Pamiętaj, czego dokonał.

Rut przypatrywał się portretowi. - Myślisz, że on się nigdy nie bał?

Dick ostro go złajał: - Jeśli się bał, to nikt nigdy o tym się nie dowiedział. Niech to będzie lekcja dla ciebie, żebyś nie wywnętrzał się przed ludźmi i nie opowiadał, jak się czujesz.

- Jesteś równy chłop, Dick. Nie mam pojęcia, co zrobię, gdy mnie wyślą kiedy samego bez ciebie.

- Wszystko będzie w porządku, mały. Będą z ciebie ludzie, to widać. Na razie jesteś po prostu nie ostrzelany.

Rut zerknął szybko na drzwi. - Słyszysz? Ktoś nadchodzi.

- Daj spokój. Kiedy przyjdą, to będą.

- Hm... zamknij drzwi. Trochę jest zimnawo. Słuchaj! Ktoś naprawdę nadchodzi.

Prędkie kroki na drodze zamieniły się w bieg i po chwili było je już słychać na drewnianym chodniku przed domem. Zgoniony i ciężko dyszący człowiek, który wpadł do izby, miał na sobie kombinezon i myckę malarza pokojowego. - Zwiewajcie - powiedział. - Nadchodzi tu banda, żaden z chłopaków nie przyjdzie na zebranie. Puścili was kantem, ale ja nie jestem taki. Prędzej! Bierzcie swoje manatki i zmykajcie. Banda już nadchodzi.

Twarz Ruta była blada i ścięta. Spojrzał nerwowo na Dicka. Ten wstrząsnął się, wsadził obydwie ręce w kieszenie kurtki i opuścił ramiona. - Dziękuję - rzekł - dziękuję, żeś nam powiedział. A teraz sam zmykaj. My już sobie poradzimy.

- Zostawili was na lodzie.

Dick kiwnął głową. - Co zrobić, nie potrafią patrzyć w przyszłość. Nie widzą dalej swego nosa. No, zmykaj stąd, bo cię złapią.

- Więc co, nie idziecie? Chodźcie, pomogę wam nieść rzeczy.

- Zostaniemy - odparł drewnianym głosem Dick. - Mamy rozkaz zostać. Musimy tu być.

Przybysz ruszył w stronę drzwi. Odwrócił się. - Czy chcecie, żebym z wami został?

- Nie. Nie ma potrzeby. Jesteś równy chłop. Przydasz się nam może innym razem.

- No, zrobiłem, co mogłem.

III

Dick i Rut słyszeli, jak szedł po drewnianym chodniku, by za chwilę zniknąć w ciemności. Noc zaczęła znów przemawiać swymi głosami: martwe liście szeleściły po ziemi, a z centrum miasteczka dochodził warkot motorów samochodowych.

Rut spojrzał na Dicka. Jego zaciśnięte pięści wypychały kieszenie kurtki. Mięśnie twarzy miał naprężone, lecz uśmiechał się do chłopaka. Plakaty odfrunęły od ściany i po chwili wróciły na swoje miejsce.

- Masz stracha, mały. Co?

Rut nastroszył się, żeby zaprzeczyć, ale nagle zmienił zamiar. - Tak, boję się. Może ja się do tego nie nadaję?

- To się trzymaj! - huknął Dick. - Trzymaj się!

Zacytował: - „Ludzie małego ducha muszą mieć przykład wytrwałości. Masom trzeba ukazywać niesprawiedliwość". Tak to brzmi, Rut, takie są polecenia. - Zamilkł. Pies z sąsiedztwa zaczął szybciej ujadać.

- To chyba oni - powiedział Rut. - Czy myślisz, że nas zabiją?

- Nie, nie za każdym razem zabijają...

- Ale zleją i skopią nas, co? Zmasakrują nam twarze pałkami i połamią nam nosy. Grubemu Michałowi złamali szczękę w trzech miejscach.

- Trzymaj się, mały! Trzymaj się! Słuchaj, jeśli ktoś ci dowali, to znaczy, że nie on bije, tylko System. I nie w ciebie uderza, lecz w Zasadę. Zapamiętasz to sobie?

- Nie mam zamiaru uciekać, Dick. Słowo honoru, że nie. Ale jeśli zacznę uciekać, to powstrzymaj mnie, dobrze?

Dick podszedł i położył mu rękę na ramieniu. - Wszystko będzie dobrze. Jesteś z tych, któ-

rzy nie nawalają. Znam się na tym.

- Słuchaj, czy nie trzeba schować literatury, bo mogą ją całą spalić?

- Nie. Ktoś może sobie wsadzić jakąś książkę do kieszeni i przeczytają ją później. I z tego może być pożytek. Zostaw książki na skrzynce. I zamknij się! Od gadania jest człowiekowi tylko gorzej.

Pies znowu wrócił do swego powolnego, ospałego szczekania. Podmuch wiatru wmiótł garść suchych liści w otwarte drzwi. Plakat z portretem wydął się i odczepił jedną stroną od ściany. Rut podszedł i przybił go z powrotem. Gdzieś w miasteczku samochód przyhamował z piskiem hamulców.

- Słyszysz coś, Dick? Czy już idą?

- Nie.

- Wiesz, Gruby Michał leżał dwa dni, zanim ktoś się nim zajął.

Starszy mężczyzna odwrócił się gniewnie do niego dobywając z kieszeni kurtki zaciśniętą pięść. Oczy mu się zwęziły, gdy patrzył na chłopaka. Podszedł blisko do niego i położył mu rękę na ramionach. - Uważaj dobrze, mały - powiedział. - Ja tam się nie znam na wielu sprawach, ale przez ten młynek już przeszedłem. I mogę ci z całą pewnością powiedzieć, że kiedy to nadejdzie, to nawet nie poczujesz. Nie wiem dlaczego, ale nie poczujesz. Nawet jeśli cię zabiją, też nie poczujesz.

Opuścił ramię i zbliżył się do drzwi. Wyjrzał na zewnątrz i nastawił ucho na prawo i na lewo, po czym wrócił do izby.,

- Słychać coś?

- Nie. Absolutnie nic.

- Dlaczego nie przychodzą?

- Skąd ja mam wiedzieć?

Rut głośno przełknął ślinę. - Może wcale nie przyjdą. Może to było wszystko bujda, co ten facet nam powiedział. Po prostu głupi kawał?

- Może.

- To co, mamy tu czekać całą noc, żeby nam porozbijali łby?

Dick powtórzył za nim przedrzeźniając: - Tak, będziemy czekali całą noc, żeby nam porozbijali łby.

Wiatr wionął ostatnim ostrym podmuchem i ucichł zupełnie. Pies przestał szczekać. Jakiś pociąg zadudnił przy przejeździe i hucząc przeleciał dalej zostawiając za sobą noc cichszą niż poprzednio. W sąsiednim domu zadzwonił budzik. Dick odezwał się: - Ktoś wstaje wcześnie do pracy. Pewnie nocny stróż. - W ciszy głos jego zabrzmiał zbyt głośno. Drzwi zamknęły się wolno, ze skrzypieniem. - Która to jest godzina, Dick? - Kwadrans po dziewiątej.

- Mój Boże! Nie później? A ja myślałem, że to już gdzieś nad ranem... Nie chciałbyś, Dick, żeby już przyszli i żeby to wszystko było poza nami? Posłuchaj, zdaje mi się, że słyszę głosy.

Stali naprężeni, wsłuchując się, z głowami pochylonymi do przodu. - Słyszysz głosy, Dick?

- Zdaje się, że tak. Muszą do siebie cicho gadać.

Pies znów zaczął szczekać, ale głośno tym razem. Można było dosłyszeć cichy szmer głosów. - Spójrz no, Dick, wydaje mi się, że widziałem jakąś twarz w tylnym oknie.

Starszy mężczyzna chrząknął drwiąco. - To po to, abyśmy nie mogli zwiać. Otoczyli całą budę. Trzymaj się, mały. Już nadchodzą. Pamiętaj, że to nie oni, ale System.

Rozległ się hałas szybkich kroków. Drzwi rozwarły się z trzaskiem. Tłum ludzi w roboczych ubraniach i ciemnych kapeluszach wdarł się do środka. W dłoniach mieli kije i pałki. Dick i Rut stali wyprostowani, z wysuniętymi podbródkami i z opuszczonymi, prawie przymkniętymi oczami. Wdarłszy się do środka napastnicy poczuli się nieswojo. Spoglądając spode łba otoczyli Dicka i Ruta półkolem czekając na tego, który zacznie pierwszy. Młody Rut zerknął z ukosa na Dicka i zobaczył, że ten przygląda mu się zimno, krytycznie, jakby oceniając jego zachowanie. Rut schował swe drżące ręce do kieszeni. Zmusił się, aby wystąpić naprzód. Ze strachu głos mu zabrzmiał piskliwie. - Towarzysze - zawołał - jesteście ludźmi, tak jak i my. Jesteśmy wszyscy braćmi...

Uderzenie pałki, które otrzymał w bok głowy, powaliło go na kolana. Podparł się rękami.

Tłum jeszcze się nie ruszał - wpatrywał się w Dicka i Ruta. Rut powoli zaczął się podnosić. Z rozciętego ucha sączył mu się po karku czerwony strumyczek. Jedną stronę twarzy miał nabrzmiałą i purpurową. Wreszcie wyprostował się zupełnie. Oddech wskazywał na jego wielkie podniecenie, lecz ręce miał teraz spokojne, a głos pewny i silny. Oczy paliły mu się ogniem uniesienia. - Czyż nie widzicie? - zawołał. - To wszystko dla was. Robimy to dla was. Wszystko dla was. Nie zdajecie sobie sprawy z tego, co czynicie.

- Zabić czerwone ścierwo!

Ktoś zaczął histerycznie chichotać. I wtedy fala runęła. Padając Rut kątem oka dostrzegł twarz Dicka ze ściągniętym twardym uśmiechem.

IV

Parę razy wypływał na powierzchnię, ale jakoś nie mógł osiągnąć świadomości. W końcu otworzył oczy i zaczął rozpoznawać rzeczy. Twarz i głowę miał gęsto owiniętą bandażem. Między

nabrzmiałymi powiekami widział tylko linię światła. Leżał przez chwilę wracając powoli do przytomności, po czym usłyszał blisko siebie głos Dicka.

- Zbudziłeś się, mały?

Rut spróbował coś powiedzieć, lecz głos mu zaskrzeczał okropnie. - Chyba tak.

- No, ale sobie użyli na twojej głowie. Wydawało mi się, że już wysiadłeś. Miałeś rację co do nosa. Nie będzie wyglądał szczególnie pięknie.

- A co tobie zrobili, Dick?

- No, złamali mi rękę i parę żeber. Musisz się nauczyć odwracać twarz do ziemi. To chroni oczy. - Przerwał i ostrożnie wciągnął oddech. - Oddychanie boli, kiedy się ma złamane żebra. Mamy i tak szczęście, że gliny nas znalazły i zabrały.

- Czy jesteśmy w więzieniu, Dick?

- Tak. W szpitalu więziennym.

- Jaki paragraf nam przyfastrygowali? Usłyszał, jak Dick próbując się zaśmiać jęknął z bólu:

- „Podburzanie do rozruchów". Dostaniemy najprawdopodobniej sześć miesięcy. Literatura wpadła glinom w łapy.

- Dick, ale nie powiesz im, że jestem niepełnoletni?

- Nie. Nie powiem. Dość teraz, zamknij się. Głos masz jak żaba. Nie przejmuj się.

Rut zamilkł i leżał zalany falą tępego bólu. Lecz za chwilę znów się odezwał. - Wiesz, Dick, że to nie bolało. Śmieszne uczucie. Czułem się pierwszorzędnie - jakby mnie coś napełniło.

- Byłeś dobry, mały. W swojej karierze nie widziałem lepszych. Powiem o tym w komitecie. Szkoda gadać, byłeś dobry.

Widać było, jak Rut się zmaga, żeby coś sobie w głowie ułożyć. - Kiedy mnie lali, to chciałem im powiedzieć, że nic sobie z tego nie robię.

- No widzisz, mały. Mówiłem ci. To nie oni - to System. Nie ma ich za co nienawidzić. Nie potrafią inaczej.

Głos Ruta był senny. Ogarniał go znowu ból. - Pamiętasz, jak to jest w Biblii, Dick? To brzmi jakoś tak: „Wybacz im, bo nie wiedzą, co czynią".

Odpowiedź Dicka zabrzmiała surowo. - Daj sobie, mały, spokój z tą religią. - Zacytował: - „Religia to opium dla ludu".

- Wiem dobrze - odpowiedział Rut. - Ale w tym nie ma żadnej religii. Po prostu... po prostu to chciałem powiedzieć. Bo tak jakoś czułem.

Tłumaczył Krzysztof Klinger

GORSET

Jednym, z najbardziej szanowanych farmerów w okręgu Monterey był Piotr Randall. Kiedyś, zanim jeszcze wygłosił krótkie przemówienie na zebraniu masońskim, brat, który go tam wprowadził, postawił go za wzór do naśladowania dla młodych masonów Kalifornii. Piotr zbliżał się do pięćdziesiątki; odznaczał się poważnym i powściągliwym sposobem bycia i nosił starannie pielęgnowaną brodę. W każdym otoczeniu cieszył się też autorytetem należnym człowiekowi z brodą. Oczy Piotra były również poważne; niebieskie i tak poważne, że aż prawie smutne. Ludzie wiedzieli, że drzemie w nim siła - lecz była to siła uwięziona. Niekiedy - bez wyraźnego powodu - oczy Piotra stawały się posępne i złe jak oczy złego psa; lecz spojrzenie to wkrótce mijało, a powściągliwość i prawość wracały na jego oblicze. Był wysoki i rosły. Ramiona trzymał ściągnięte w tył, jakby związane, a brzuch wciągał po żołniersku. Ponieważ farmerzy to ludzie zazwyczaj niezgrabni, Piotr wzbudzał szacunek już choćby dzięki swej postawie.

Co do jego żony, Emmy, ludzie byli na ogół zgodnego zdania: że trudno zrozumieć, jak taka drobna (skóra i kości!) kobieta może w ogóle żyć, tym bardziej, że stale chorowała. Ważyła osiemdziesiąt siedem funtów. Licząc czterdzieści pięć lat miała twarz pobrużdżoną i ciemną jak u bardzo starej kobiety, choć jej czarne oczy gorzały pragnieniem życia.

Była kobietą dumną i skarżyła się bardzo niewiele. Jej ojciec był masonem trzydziestego trzeciego stopnia i Czcigodnym Mistrzem Wielkiej Loży Kalifornii. Zanim umarł, położył wiele starań około masońskiej kariery Piotra.

Raz do roku Piotr wyjeżdżał na tydzień zostawiając żonę samą na farmie. Sąsiedzi, którzy ją wówczas odwiedzali, słyszeli niezmienne wyjaśnienie: „Wyjechał za interesami".

Za każdym razem, gdy Piotr powracał z podróży za interesami, Emma zapadała na zdrowiu na miesiąc lub dwa. Było to dla Piotra uciążliwe, gdyż zwykle Emma sama pracowała w domu i nie chciała przyjąć dziewczyny do pomocy. Gdy chorowała, praca domowa spadała na barki Piotra.

Folwark Randallow ciągnął się poprzez rzekę Salinas aż do samych wzgórz. Był idealnym połączeniem niziny i płaskowyżu. Czterdzieści pięć akrów bogatej gleby równinnej, w dawnych czasach naniesionej tu przez rzekę, rozciągającej się płasko jak stół, osiemdziesiąt akrów pięknej łąki na płaskowyżu i sad. Biały domek folwarczny był tak schludny i skromny jak jego właściciele. Podwórko otaczał parkan, a w ogrodzie Piotr - pod kierunkiem Emmy - hodował dalie i nieśmiertelniki, astry i goździki.

Z frontowego ganku można było patrzeć w dół, poprzez płaskie pola ku rzece o brzegach porosłych wierzbą i topolami i poprzez rzekę na pola buraczane i dalej, na cebulastą kopułę gmachu sądu w Salinas. Po południu Emma często siadała w bujającym fotelu na frontowym ganku, dopóki wiatr nie zaczął jej dokuczać. Bez przerwy robiła na drutach, od czasu do czasu podnosząc wzrok, aby widzieć Piotra pracującego w polu, w sadzie lub na stoku pod domem.

Hipoteka farmy Randallow nie była obciążona bardziej niż hipoteka jakiejkolwiek innej farmy w dolinie. Uprawy dobierane trafnie i troskliwie doglądane przynosiły zysk umożliwiający dostatnie życie i co roku pozostawiały kilkaset dolarów na spłacenie zainwestowanego kapitału. Nic dziwnego, że Piotr Randall cieszył się szacunkiem sąsiadów, a z każdym, rzadko przezeń wymawianym słowem liczono się nawet wówczas, gdy odnosiło się ono do pogody lub do zwykłych codziennych spraw. Niechby Piotr powiedział: „W sobotę mam zamiar zabić świnię", a prawie każdy, kto z nim rozmawiał, szedł do domu i zabijał świnię w sobotę. Nikt nie wiedział dlaczego, ale skoro Piotr Randall miał zamiar zabić świnię, wydawało się, że jest to słuszne, pewne i rozsądne.

Piotr i Emma byli małżeństwem już dwadzieścia jeden lat. W tym okresie zdobyli porządne meble, pewną ilość oprawionych obrazów, wazy wszelkiego kształtu i książki o solidnym wyglądzie. Emma nie miała dzieci, ściany nie były więc podrapane, pocięte scyzorykiem ani porysowane kredą. Wycieraczki do butów i grube filbrowe maty na przednim i tylnym ganku nie dopuszczały brudu do wnętrza domu.

Kiedy Emma nie chorowała, starała się o utrzymanie porządku w domu. Oliwiła zawiasy przy drzwiach i szafach, dokręcała wszystkie śrubki. Meble i sprzęty z drzewa były raz do roku świeżo lakierowane. Reperacji dokonywano zwykle po powrocie Piotra z jego dorocznej podróży za interesami.

Ilekroć po farmach rozchodziła się wieść, że Emma znów choruje, sąsiedzi wypatrywali doktora, gdy przejeżdżał drogą nadrzeczną.

- Och, sądzę, że wszystko będzie dobrze - odpowiadał lekarz na ich pytania. - Musi tylko parę tygodni poleżeć w łóżku.

Dobrzy sąsiedzi znosili na farmę Randallów pasztety i placki, na palcach wślizgiwali się do pokoju, gdzie na ogromnym łóżku z włoskiego orzecha leżał maleńki, wychudły cień kobiety. Chora patrzyła na nich swymi żywymi, małymi i ciemnymi oczyma.

- Chcesz może, droga, żeby rozsunąć nieco firanki? - pytali.

- Nie, dziękuję, światło razi mnie w oczy.

- Czy możemy dla ciebie coś zrobić?

- Nie, dziękuję, Piotr robi dla mnie wszystko.

- Ale pamiętaj, gdybyś czego potrzebowała...

Emma była już taka nieprzystępna. Gdy chorowała, nie było niczego, co mógłbyś dla niej uczynić, poza pieczeniem pasztetów i placków dla Piotra. Piotr siedział w kuchni, ubrany w czysty, schludny fartuch. Nalewał gorącą wodę do grzałki albo robił ser śmietankowy.

Tak też pewnej jesieni, gdy dowiedziano się, że Emma znów się położyła, żony farmerów napiekły różnych rzeczy dla Piotra i zaczęły przygotowywać się do zwykłych odwiedzin.

Najbliższa sąsiadka, pani Chappell, stała na drodze nad rzeką, gdy przejeżdżał lekarz.

- Jak się miewa Emma Randall, doktorze?

- Obawiam się, że niedobrze, pani Chappell.

Sądzę, że jest poważnie chora.

Ponieważ dla doktora Marna każdy, kto nie był jeszcze trupem, rokował nadzieję wyzdrowienia, po farmach uderzyła wieść, że Emma Randall umiera.

Chorowała długo i strasznie. Piotr sam dawał jej zastrzyki i przynosił basen. Propozycje doktora, aby przyjąć pielęgniarkę trafiały jedynie na silny, stanowczy sprzeciw w oczach pacjentki; a choć tak ciężko była chora, stosowano się do jej życzeń. Piotr sam karmił ją, mył i słał wielkie łóżko z włoskiego orzecha. Firanki w sypialni były stale zapuszczone.

Po dwóch miesiącach ciemne, przenikliwe, ptasie oczy zasnuły się mgłą i chora straciła przytomność. Dopiero wówczas przyszła do domu pielęgniarka. Piotr sam był wyczerpany i chory, bliski załamania się. Sąsiedzi przynosili mu placki i pasztety, a gdy zjawiali się znowu, znajdowali je w kuchni nie tknięte.

Tego popołudnia, gdy Emma umarła, pani Chappell była w domu wraz z Piotrem. Piotr dostał ataku histerii. Pani Chappell zatelefonowała po lekarza, a potem wezwała na pomoc męża, bo lament Piotra bijącego się pięściami po zarośniętych policzkach sprawiał wrażenie obłędu. Ed Chappell zawstydził się, gdy to ujrzał.

Broda Piotra była mokra od łez. Cały dom rozbrzmiewał jego głośnym łkaniem. Raz po raz Piotr siadał na łóżku i nakrywał głowę poduszką, to znów z wyciem rzucał się po sypialni. Kiedy Ed Chappell z zakłopotaniem położył mu dłoń na ramieniu i bezradnym głosem powiedział: - Dajże spokój Piotrze, daj spokój - Piotr strząsnął jego rękę.

Doktor przyjechał i podpisał świadectwo zgonu. Przedsiębiorcy pogrzebowi mieli z Piotrem ciężką przeprawę. Był na pół obłąkany. Bił ich, gdy próbowali zbliżyć się do ciała. Dopiero gdy Ed Chappell i jeden z przedsiębiorców przytrzymali go, a lekarz dał mu zastrzyk, mogli zabrać Emmę.

Morfina nie uśpiła Piotra. Zgarbiony siedział w kącie oddychając ciężko, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- Kto z nim zostanie? - spytał lekarz. - Panna Jack? - zwrócił się do pielęgniarki.

- Sama nie dałabym sobie rady, doktorze.

- Może pan Chappell?

- Oczywiście, zostanę.

- Dobrze, proszę spojrzeć: tu są potrójne dawki bromu. Proszę mu dać jedną z nich, gdyby znów zaszła potrzeba. A gdyby nie podziałała, tu jest *sodium amytal*. Jedna z tych pastylek go uspokoi.

Zanim odeszli, przeprowadzili osłupiałego Piotra do saloniku i ułożyli go wygodnie na sofie. Ed Chappell obserwując go usiadł w fotelu. Obok na stole stała szklanka wody i brom.

Mały salonik był czysty, bez śladu kurzu. Dopiero tego rana Piotr wytarł podłogę wilgotną gazetą. Ed rozniecił ogień na kominku i po chwili dorzucił kilka kawałków dębowego drzewa. Zmierzch zapadł wcześnie. Za każdym podmuchem wiatru o szyby uderzał lekki deszcz.

Ed przygotował naftowe lampy i nisko przykręcił płomień. Na kominku żar syczał i trzaskał, języki ognia lizały dębowe polana. Ed siedział długo patrząc na Piotra bezwładnie leżącego na kanapie. Wreszcie zapadł w sen.

Gdy się obudził, było około dziesiątej. Wstał i spojrzał na sofę. Piotr siedział wlepiając w niego wzrok. Ed wyciągnął rękę po flaszeczkę z bromem, ale Piotr potrząsnął głową.

- Nie dawaj mi niczego, Ed, nie trzeba. Zdaje się, że doktor porządnie mnie ogłuszył, co? Teraz czuję się całkiem dobrze, tylko mi szumi we łbie.

- Gdybyś wziął jedną dawkę, mógłbyś usnąć.

- Nie chcę spać. - Przygładził potarganą brodę i wstał. - Wyjdę i umyję twarz, to mi dobrze zrobi.

Ed słyszał, jak Piotr odkręca kran w kuchni. Za chwilę wrócił wycierając się ręcznikiem. Uśmiechał się zagadkowo. Tego tajemniczego, dziwnego uśmiechu Ed nie zauważył u niego nigdy przedtem.

- Zdaje się, że wariowałem trochę, jak umarła? - zapytał Piotr.

- No, tak, trochę.

- Miałem wrażenie, jakby coś we mnie pękło - wyjaśnił Piotr. - Coś jak zużyty rzemień. To mnie całkiem wytrąciło z równowagi. Ale teraz czuję się zupełnie dobrze.

Ed spojrzał na podłogę - zobaczył małego brązowego pająka. Wyciągnął nogę i rozdeptał go.

Nagle Piotr spytał:

- Czy ty wierzysz w życie pozagrobowe?

Ed Chappell poruszył się niespokojnie. Nie lubił mówić o tych rzeczach, gdyż mówić o nich, znaczyło przywoływać je na myśl i nabijać sobie nimi głowę.

- No, tak. Sądzę... jeśli ci o to chodzi... że tak.

- Czy wierzysz, że ktoś, kto... odszedł... może spoglądać z góry i patrzeć na to, co my tu robimy?

- Och, nie wiem... tak dalece... nie wiem. Piotr mówił dalej, jakby sam do siebie:

- Nawet, gdyby mogła mnie widzieć, a ja nie robiłbym tego, czego by chciała, powinna być zadowolona, ponieważ robiłem to, gdy była tutaj. Powinno ją to cieszyć, że uczyniła ze mnie dobrego człowieka. Gdybym stał się złym człowiekiem, teraz, kiedy jej tu nie ma, byłby to dowód, że to ona uczyniła mnie dobrym, prawda? Byłem dobrym człowiekiem, prawda, Ed?

- Jak to rozumiesz: „byłem”?

- Tak, byłem dobry, z wyjątkiem jednego tygodnia w roku. Nie wiem, co teraz zrobię... - Twarz Piotra przybrała zły wyraz. - Z wyjątkiem jednej rzeczy...

Wstał i zdjął z siebie marynarkę i koszulę. Pod bielizną ukazał się płócienny gorset, który ściągał mu w tył ramiona. Odpiął haczyki gorsetu i odrzucił go. Potem opuścił spodnie, odsłaniając szeroki gumowy pas. Ściągnął go przez nogi, a zanim ubrał się z powrotem, szeroko podrapał się po brzuchu. Znów uśmiechnął się do Eda dziwnym uśmiechem.

- Nie wiem, jak potrafiła sprawić, że byłem jej uległy, ale udało się jej to. Nie wyglądało na to, że mną komenderuje, ale robiła ze mną, co chciała. Wiesz co, nie wierzę, żeby istniało życie pozagrobowe. Gdy żyła, nawet wtedy gdy chorowała, musiałem robić to, na co miała ochotę, ale w tej samej minucie, w której umarła, spadło to ze mnie jak... jak ten gorset. Nie mogłem tego wytrzymać. Wszystko się skończyło. Będę musiał przyzwyczaić się chodzić bez tego gorsetu.

Wyciągnął palec w kierunku Eda:

- Mój brzuch będzie sterczeć - powiedział stanowczo. - Niech sobie sterczy. Mam przecież pięćdziesiąt lat.

Ed był zgorszony. Chciał odejść. To było nieprzyzwoite.

- Jednak, gdybyś wziął dawkę bromu, usnąłbyś - powiedział niepewnie.

Piotr nie włożył marynarki. Siedział na sofie w rozchełstanej koszuli.

- Nie chcę spać. Chcę mówić. Przypuszczam, że będę musiał włożyć ten pas i gorset na pogrzeb, ale potem - spalę to. Słuchaj, mam flaszkę whisky w stodole. Pójdę i przyniosę.

- O, nie - szybko zaprotestował Ed. - Nie teraz. Nie mógłbym pić w takiej chwili. Piotr wstał.

- No, ja mogę. A ty siedź i patrz na mnie, jak chcesz. Mówię ci, wszystko się skończyło. - Wyszedł zostawiając Eda przygnębionego i mocno zgorszonego.

Wrócił po krótkiej chwili. Niosąc butelkę zaczął mówić już w progu:

- Jedną rzecz tylko miałem w życiu: te wyjazdy. Emma była mądrą kobietą. Wiedziała, że gdybym nie wyjechał raz w roku, oszalałbym. O Boże, jakże ona działała na moje sumienie po po-

wrocie!

Zniżył głos do poufnego szeptu:

- Czy wiesz, co robiłem podczas tych wyjazdów?

Źrenice Eda rozszerzyły się. Oto był człowiek, którego nie znał i który zaczynał go fascynować. Wziął podaną mu szklankę whisky.

- No, co robiłeś?

Piotr przełknął alkohol, zakaszlał i obtarł usta dłonią.

- Upijałem się - odparł. - Chodziłem do domów publicznych w San Francisco. Przez cały tydzień byłem pijany i każdego wieczora byłem w domu publicznym. - Znów nalał sobie pełną szklankę. - Jestem pewien, że Emma o tym wiedziała, ale nie mówiła nigdy ani słowa. Dostałbym bzika, gdybym nie mógł wyjeżdżać.

Ed Chappell pił whisky małymi łykami.

- Ona zawsze mówiła, że wyjeżdżasz w interesach.

Piotr obejrzał swą szklankę, wypił do dna i napełnił ją znowu. Oczy zaczęły mu błyszczeć.

- Skończ whisky, Ed. Wiem, sądzisz, że na to za wcześnie. Ale oprócz ciebie i mnie nikt o tym nie będzie wiedział. Podnieć ogień. Nie jestem smutny.

Chappell podszedł do kominka i rozgarnął płonące drzewo, aż chmara iskier jak połyskliwe ptaki wzbiła się w górę. Piotr napełnił szklanki i wrócił na kanapę. Gdy Ed usiadł znów w fotelu, pociągnął ze szklanki. Udawał, że nie widzi, jak Piotr napełnia ją znowu. Policzki jego pałały. Nie wydawało się to już teraz takie straszne - być pijanym. Popołudnie i śmierć cofnęły się w nieskończenie daleką przeszłość.

- Chcesz placka? - zapytał Piotr. - W spiżarni jest ich pół tuzina.

- Nie, chyba nie.

- Wiesz - zwierzał się Piotr - zdaje mi się, że już nigdy nie potrafię jeść ciasta. Od dziesięciu lat, ile razy Emma chorowała, ludzie przysyłali mi placki. Oczywiście, to było pięknie z ich strony, ale teraz... placki oznaczają dla mnie chorobę. Pij.

Nagle - w pokoju coś się stało. Obydwaj mężczyźni unieśli głowy próbując odgadnąć, co to takiego. Pokój był jakby inny niż jeszcze przed chwilą. Wreszcie Piotr uśmiechnął się nieśmiało:

- To stanął ten zegar na kominku. Chyba już nigdy więcej go nie nakręcę. Kupię sobie mały wesoły budzik, który szybko tyka. To: tak-tak, tak-tak - jest zbyt żałobne...

Przełknął whisky.

- Powiesz pewnie ludziom, że zwariowałem, co? Ed spojrzał znad szklanki, uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Nie, nie powiem. Dobrze rozumiem teraz, co czujesz. Nie wiedziałem o tym gorsecie i pa-

sie.

- Mężczyzna powinien trzymać się prosto - rzekł Piotr. - A ja jestem z natury cherlakiem.

Potem wybuchnął:

- Jestem z natury głupcem! Od dwudziestu lat udawałem mądrego, dobrego człowieka - z wyjątkiem tego jednego tygodnia w roku - mówił podniesionym głosem. - Byłem w kręgu małych spraw. Rozmieniałem swoje życie na drobne! Ech, pozwól, naleję ci. Mam jeszcze jedną butelkę w stodole. Schowałem ją głęboko pod stosem worków.

Ed nadstawił szklankę. Piotr mówił dalej:

- Myślałem sobie, jakby to było pięknie obsiać całe pole nad rzeką cukrowym grochem. Pomyśl, jakby to było: siedzieć na frontowym ganku i patrzeć na te akry niebieskie i różowe... A gdy powieje nad nimi wiatr, wdychać ten zapach. Silny zapach, który może cię prawie odurzyć.

- Wielu ludzi zbankrutowało na cukrowym grochu. Oczywiście, możesz dużo zarobić, ale zbyt wiele rzeczy może się przytrafić twoim zbiorom.

- Nie dam się, do diabła! - krzyknął Piotr. Chcę wiele... wszystkiego. Chcę czterdziestu akrów barwy i woni! Chcę tłustych kobiet o piersiach wielkich jak poduszki! Pragnę - mówię ci - pragnę wszystkiego, bardzo wiele wszystkiego!

Twarz Eda spoważniała, gdy tamten krzyczał.

- Gdybyś jednak wziął trochę bromu, mógłbyś zasnąć na chwilę.

Piotr jakby się zawstydził.

- Czuję się dobrze. Nie myślałem, że będę tak krzyczał. Ale nie pierwszy raz myślę o tych rzeczach. Myślałem o nich od lat, tak jak dziecko myśli o wakacjach. Zawsze się bałem, że będę już za stary. Albo że umrę pierwszy i stracę wszystko. Ale mam tylko pięćdziesiąt lat i jestem jeszcze dość krzepki. Mówiłem Emmie o cukrowym grochu, ale nie chciała na to pozwolić. Nie rozumiem, jak mogła mnie tak opętać - mówił ze zdumieniem. - Nie pamiętam. Miała na to swój sposób. Ale odeszła. Czuję, że zniknęła, tak jak zniknął ten gorset. Będę teraz flejtuchem, Ed. Będę miał brud w domu. Wezmę sobie dużą, tłustą gospodynię... jakąś z San Francisco. Będę miał zawsze pod ręką butelkę brandy.

Ed Chappell wstał i przeciągnął się.

- Pójdę sobie teraz, jeśli się dobrze czujesz. Prześpię się trochę. Nakręć lepiej ten zegar, Piotrze. Zegar, który nie chodzi, psuje się.

Nazajutrz po pogrzebie Piotr Randall zabrał się do pracy na farmie. Chappellowie mieszkający tuż obok widzieli światło w jego kuchni na długo przed świtem i obserwowali go, jak szedł z latarnią do stodoły na pół godziny przedtem, nim oni wstali z łóżek.

W ciągu trzech dni Piotr oporządził sad. Pracował od świtu aż do chwili, gdy nie mógł już

dostrzec gałązek na tle ciemnego nieba. Potem zaczął uprawiać wielki szmat pola nad rzeką. Orał, walcował i bronował. Pewnego razu przybyli dwaj obcy ludzie w wysokich butach i bryczesach i oglądali jego ziemię. Dotykali jej palcami, kopali głęboko motyką, a odjeżdżając zabrali jej trochę ze sobą w małych papierowych torebkach.

Zwykle przed okresem zasiewów farmerzy odwiedzali się nawzajem. Przysiadali wówczas na zgiętych kolanach, brali w garść ziemię i obracali w palcach małe jej grudki. Mówili o zbiorach i o cenach, wspominali lata, gdy dobrze zarabiało się na bobie, i inne, gdy groch przynosił tak mało, że ledwie można było pokryć cenę zasiewu. Po mnóstwie takich rozmów zdarzało się zwykle, że farmerzy siali te same rośliny. Byli wśród nich tacy, których zdanie wiele znaczyło. Jeśli Piotr Randall i Clark de Witt mówili, że zasadzą bób i posieją jęczmień, większość tegorocznych zbiorów składała się z bobu i jęczmienia, gdyż poza tym, że ludzie ci byli szanowani i szczęściło się im, przypuszczano, że plany ich muszą opierać się na czymś więcej niż zwykłym przewidywaniu. Ogólnie wierzono (choć nie mówiono o tym nigdy), że Piotr Randall i Clark de Witt posiadają jakieś niezwykłe umiejętności i specjalną, proroczą wiedzę.

Gdy rozpoczęły się zwykłe wizyty, przekonano się, że w Piotrze Randallu zaszła jakaś zmiana. Siedział na swym pługu i rozmawiał dość życzliwie. Twierdził, że nie zdecydował się jeszcze, co będzie siał, ale mówił to w sposób tak chytry, że było jasne, iż nie chce się przyznać. Kiedy nie odpowiedział na kilka pytań, przestano go odwiedzać i farmerzy udali się do Clarka de Witta. Clark miał zamiar siać jęczmień. Do tej decyzji zastosowała się większość jego sąsiadów.

A jednak - mimo że ustały pytania - nie minęła ciekawość. Ludzie przejeżdżając koło czterdziestu pięciu akrów Randalla bacznie obserwowali pole pragnąc z rodzaju uprawy odgadnąć rodzaj zasiewu. Ale gdy Piotr jeździł po polu z siewnikiem, nikt się nie zbliżał. Piotr dał do zrozumienia, że zasiew jest tajemnicą.

Ed Chappell także nie mówił na temat Piotra. Czuł pewien wstyd, gdy myślał o tamtej nocy wstyd za Piotra, że się tak załamał, i za siebie, że siedział tam i słuchał jego słów. Usilnie obserwował Piotra, żeby dowiedzieć się, czy żywi on istotnie złe zamiary, czy też cała tamta rozmowa była wynikiem rozpaczy i histerii. Zauważył, że ramiona Piotra nie są już tak proste, a jego brzuch trochę sterczy. Ed odwiedził go w domu i uspokoił się, gdy nie znalazł brudu na podłodze i gdy usłyszał tykanie zegara na kominku.

Pani Chappell często wspominała tamto popołudnie. - Można by pomyśleć, że stracił zmysły - tak bardzo rozpaczał. Po prostu wył. Ed został przy nim na część nocy, dopóki się nie uspokoił. Musiał mu dać whisky, żeby usnął. Ale - mówiła stanowczym tonem - ciężka praca to lekarstwo na ból. Piotr Randall codziennie wstaje o trzeciej nad ranem. Z mojej sypialni widać światło w jego kuchni.

Wierzbowe bazie zakwitły srebrnymi pączkami i po brzegach szosy ukazały się drobne chwasty. Rzeka Salinas od miesiąca wezbrała tocząc zmąconą wodę, a potem znów opadła tworząc zielone rozlewiska. Piotr Randall pięknie uprawił swe pole. Było gładkie i czarne; żadna grudka ziemi nie była większa niż mały okrągły kamyk. Gdy padał deszcz, pole wyglądało jak purpurowe.

A potem nikłe, drobne nitki zieleni zaczęły kiełkować z czarnej gleby. Gdy zapadł zmierzch, jeden z sąsiadów przeczołgał się pod płotem i zerwał wątłą roślinkę. - Jakieś strączkowe - powiedział do przyjaciół. - Zdaje się, że to polny groch. Dlaczego się z tym tak ukrywał? Pytałem go wprost, co ma zamiar zasadzić, to mi nie chciał powiedzieć.

Wśród farm pobiegła plotka: „Cukrowy groch. Do diabła! Całe czterdzieści pięć akrów cukrowego grochu!" - Ludzie pytali Clarka de Witta o zdanie.

Zdanie Clarka brzmiało: - Ponieważ za funt cukrowego grochu można otrzymać dwadzieścia do sześćdziesięciu centów, ludzie przypuszczają, że da się na tym wzbogacić. Ale to najniepewniejsza roślina pod słońcem. Może się udać, jeśli nie zniszczą jej robaki. Ale potem przyjdą gorące dni, zwarzą strąki i zasiew legnie na ziemi. Albo lekki deszcz może wszystko zepsuć. Można zaryzykować i poświęcić pod to kilka akrów, ale nie całe pole. Od kiedy Emma umarła, Piotrowi pomieszało się w głowie.

Zdanie to rozeszło się szeroko. Każdy powtarzał je jako własne. Dwóch sąsiadów często mówiło je sobie nawzajem, a każdy z nich powtarzał jego połowę. Piotr Randall - gdy mówiło mu to zbyt wielu - wpadł w złość. Pewnego dnia krzyknął:

- Do licha, czyja jest ta ziemia? Jeśli chcę na czymś stracić, mam do tego swoje psie prawo, nie?!

Te słowa zmieniły ogólne mniemanie. Ludzie pamiętali, że Piotr był dobrym farmerem. Być może, miał jakąś specjalną myśl. Czemużby na przykład ci dwaj ludzie w wysokich butach nie mogli być - gleboznawcami? Wielu farmerów pragnęło mieć teraz kilka akrów pachnącego grochu.

Pragnęli tego szczególnie, gdy się rozwinęły łodygi, gdy splątały się i ocieniły czarną ziemię, gdy zaczęły się rozwijać pączki i gdy stało się jasne, że plon będzie bogaty. Potem zjawiły się kwiaty: czterdzieści pięć akrów barw, czterdzieści pięć akrów woni. Mówiono, że zapach docierał do Salinas oddalonego o cztery mile. Autobusy przywoziły dzieci szkolne, żeby obejrzały pole. Grupa mężczyzn z towarzystwa handlu nasionami spędziła cały dzień na przypatrywaniu się grochowi i badaniu gleby.

Każdego popołudnia Piotr Randall siadał na ganku w bujającym fotelu. Patrzył na wielkie czworoboki różowe i niebieskie i na wariackie pasma pomieszanych kolorów. Gdy nadbiegał popołudniowy wiatr, Piotr oddychał głęboko. Niebieską koszulę miał rozpiętą pod szyją, jak gdyby chciał, żeby mu skóra przesiąkła tym zapachem.

Ludzie znów pytali o zdanie Clarka de Witta. Clark mówił: - Istnieje około dziesięciu ewentualności mogących zniszczyć ten zasiew. A on cieszy się ze swego pachnącego grochu! - Ale ludzie wiedzieli, że Clark był zirytowany i trochę zazdrosny. Patrzyli ponad kolorowym polem na Piotra siedzącego na ganku swego domu i czuli dlań znowu podziw i szacunek.

Pewnego popołudnia wstąpił do niego Ed Chappell.

- A więc masz urodzaj...

- Na to wygląda - odparł Piotr.

- Obejrzałem sobie. Strąki ładnie się wiążą. Piotr westchnął..

- Niedługo przekwitnie - rzekł. - Nie znoszę widoku opadających płatków.

- No, ja bym się cieszył widząc, jak okwitły. Jeśli nic nie zajdzie, zarobisz mnóstwo pieniędzy.

Piotr wyjął chustkę, wysiąkał nos i potarł go z boków, żeby usunąć swędzenie.

- Będzie mi przykro, jak minie zapach - rzekł.

Potem Ed wspomniał o nocy, w której umarła Emma. Tajemniczo zmrużył jedno oko.

- Znalazłeś kogoś do prowadzenia domu?

- Nie szukałem - odparł Piotr. - Nie miałem czasu.

Wokół jego oczu ukazały się zmarszczki strapienia. „Ale któż by się nie trapił - myślał Ed - skoro jeden przelotny deszcz może zrujnować pracę całego roku.”

Gdyby ten rok i ta pogoda zostały stworzone specjalnie po to, aby udał się cukrowy groch - nie mogłyby być lepsze. Rankiem, gdy obrywano strąki, mgła leżała nisko przy ziemi. Gdy wielkie ich stosy zostały złożone bezpiecznie na rozpostartym płótnie, świeciło gorące słońce skręcając strąki przed młocką. Sąsiedzi patrzyli na długie bawełniane worki pełne okrągłych ziaren, a po powrocie do domu próbowali obliczyć, ile Piotr zarobi na swoich niesłychanych zbiorach. Clark de Witt stracił wiele z zaufania, którym go darzono. Ludzie postanowili dowiedzieć się, co Piotr ma zamiar uprawiać na przyszły rok, aby go naśladować. Bo skąd on mógł wiedzieć na przykład, że ten rok będzie tak pomyślny dla cukrowego grochu? On musi posiadać coś w rodzaju specjalnej wiedzy!

Gdy ktoś z górnej doliny Salinas przyjeżdża do San Francisco za interesami czy na urlop, wynajmuje zwykle pokój w hotelu „Ramona”. Jest to miłe o tyle, że w hallu łatwo spotkać kogoś z rodzinnych stron. Można wówczas usiąść razem w miękkich fotelach i rozmawiać o dolinie Salinas.

Ed Chappell przybył do San Francisco, aby spotkać się tu z kuzynem swej żony, który miał przyjechać z Ohio. Pociągu oczekiwano dopiero nazajutrz rano. W hallu „Ramony” Ed rozglądał się za kimś z Salinas, ale w miękkich fotelach siedzieli sami obcy. Wyszedł i wstąpił do kina. Gdy wrócił, znów patrzył, czy nie ujrzy kogoś znajomego, ale byli tam ciągle sami obcy. Przez chwilę

miał zamiar przejrzeć rejestr gości, ale było już bardzo późno. Usiadł, aby skończyć cygaro przed położeniem się do łóżka.

W pewnej chwili przy drzwiach powstało zamieszanie. Ed zauważył, jak portier skinął ręką. Wybiegł chłopiec hotelowy. Ed odwrócił się w fotelu, aby zobaczyć, co się stało. Na zewnątrz pomagano komuś wysiąść z taksówki. Chłopiec „odebrał" jakiegoś mężczyznę z rąk szofera i wprowadził go przez drzwi. Mężczyzną tym był Piotr Randall. Miał szklane oczy, a usta otwarte i wilgotne. Ed skoczył i podbiegł ku niemu.

- Piotr!

Piotr bezradnie szturchał chłopca:

- Puść mnie. Czuję się dobrze. Puść mnie, dostaniesz dobry napiwek.

Ed zawołał znowu:

- Piotrze!

Szklane oczy zwróciły się ku niemu, a potem Piotr padł mu w ramiona.

- Mój stary przyjacielu - krzyczał. - Ed Chappell, mój stary, dobry przyjacielu! Co ty tu robisz? Chodź do mnie na górę, napijesz się ze mną!

Ed pomógł mu utrzymać się na nogach.

- Chętnie - powiedział. - Z przyjemnością łyknę troszkę na noc.

- Łykniemy na noc, do diabła! Wyjdziemy sobie i pójdziemy zobaczyć jakąś rewię albo coś w tym rodzaju...

Ed pomógł mu dostać się do windy i dostawił go do jego pokoju. Piotr ciężko padł na łóżko i z trudem przybrał pozycję siedzącą.

- W łazience jest flaszka whisky. Przynieś i daj mi się też napić.

Ed przyniósł butelkę i szklanki.

- Co ty wyrabiasz, Piotrze, święcisz swoje zbiory? Musiałeś zarobić mnóstwo forsy!

Piotr otworzył dłoń i z przejęciem uderzał w nią palcem.

- No tak, zarobiłem forsę... ale to nie było nic lepszego niż hazard. To był zwykły, czysty hazard.

- Ale zarobiłeś.

Piotr nachmurzył się i zamyślił. - Mogłem stracić portki - odparł. - Gryzło mnie to w każdej chwili, przez cały rok. To był po prostu hazard.

- No, w każdym razie wygrałeś. Piotr zmienił temat.

- Było mi niedobrze - rzekł. - W taksówce było mi niedobrze. Wracam właśnie z lokalu przy Avenue Van Ness - wyjaśnił, jakby się usprawiedliwiając. - Musiałem tu przyjechać. Zbzikowałbym, gdybym nie przyjechał i nie wyrzucił goryczy z organizmu.

Ed spojrzał na niego z zaciekawieniem. Głowa Piotra zwisała luźno między ramionami. Brodę miał potarganą i skołtunioną.

- Piotrze - zaczął - tej nocy, której Emma... odeszła, mówiłeś, że chcesz... zmienić tryb życia.

Piotr powoli podniósł chwiejną głowę. Wpatrywał się w Eda Chappella sowim wzrokiem.

- Ona nie umarła całkiem - wymamrotał. - Ona mi nie pozwala. Dokuczała mi przez cały rok z powodu tego grochu. - W jego oczach zabłysło zdumienie. - Nie wiem, jak ona to robi. - Zmarszczył się. Wyciągnął dłoń i znów uderzał w nią palcem. - Ale ty pamiętaj, Edzie Chappell: Nie chcę nosić tego gorsetu i nigdy, psiakrew, nie będę go nosił! Zapamiętaj to sobie.

Znów opuścił głowę. Ale niemal w tej samej chwili podniósł wzrok: - Upiłem się - powiedział poważnie. - Byłem w domu publicznym. - Nachylił się poufale do Eda. Mówił teraz ciężkim szeptem.

- Ale to jest w porządku. Dam sobie z tym radę. A wiesz, co zrobię, jak wrócę? Założę elektryczne światło. Emma zawsze chciała mieć elektryczne światło.

Bezwładnie opadł na łóżko.

Ed Chappell ułożył go wygodnie i rozebrał. Potem przeszedł do swego pokoju.

Tłumaczył Juliusz Kydryński

KASZTANEK

I

PODARUNEK

O świcie Billy Buck wyszedł z baraku; chwilę stał na progu patrząc w niebo. Billy był mężczyzną krępym, szerokim w barach, nogi miał pałąkowate, wąsy focze, łapy ciężkie, pełne gruzłów i odcisków. Wodnistoszare oczy patrzyły marząco albo raczej w zamyśleniu, spod kapelusza o szerokim rondzie wychodziły włosy strąkowate, zmierzwione, wyblakłe. Billy odpiął pasek, upchnął koszulę za niebieskie bawełniane spodnie, zacisnął pasek, na którym wytarte linie przy każdej dziurce mówiły o latach i coraz większej tuszy Billa. Kiedy już przyjrzał się pogodzie, wysiąkał nos zatykając kciukiem jedną dziurkę a drugą dmuchając ostro w ziemię. Potem zatarł ręce i poszedł do stajni. Ledwo wyczesał i wyszczotkował dwa wierzchowe konie, cały czas rozmawiając z nimi cicho, kiedy na ranczy rozległo się bicie w żelazny triangel zawieszony koło wejścia. Billy złożył razem zgrzebło i szczotkę, umieścił je na półce i poszedł na śniadanie. Każdy jego ruch był celowy, a krok jak odmierzony. Stanął koło schodów, nim jeszcze pani Tiflin przestała bić w żelazny triangel. Skinęła mu siwą głową i wróciła do kuchni. Billy Buck usiadł na schodach, ponieważ był tylko zwyczajnym parobkiem i nie wypadało, żeby wszedł pierwszy do jadalni. Słyszał wyraźnie, jak w domu pan Tiflin przytupuje nakładając buty.

Dźwięk żelaznego triangla obudził także chłopca, Jody'ego. Jody był mały, miał dopiero dziesięć lat, czuprynę koloru spalonej słońcem, zakurzonej trawy, szare płochliwe oczy i usta, które stale się poruszały i niemo wypowiadały chłopięce myśli.

Bicie w żelazny triangel wyrwało go ze snu. Nie przyszło mu nawet na myśl opierać się jego ostrej nucie. Nigdy się nie opierał i nie słyszał o nikim, kto by to zrobił. Odsunął splątaną grzywę znad oczu, szybko zrzucił nocną koszulę i w mgnieniu oka wciągnął na siebie niebieską bawełnianą koszulę a na to kombinezon. Było lato, więc Jody chodził boso. W kuchni poczekał chwilę, aż matka odejdzie od zlewu i wróci do pieca, umył się i palcami przeczesał zmoczone włosy. Gdy odchodził od zlewu, matka obrzuciła go uważnym, surowym spojrzeniem. Nieśmiało odwrócił oczy.

- Niedługo będę musiała cię ostrzyc - zauważyła. - Śniadanie na stole. Idź już, żeby Billy mógł wejść.

Jody usiadł przy długim stole nakrytym białą ceratą, w paru miejscach przetartą. Na półmisku w równiutkim rzędzie leżały smażone jaja. Jody nałożył sobie na talerz trzy jajka i trzy grube kawałki chrupkiego boczku. Na jednym żółtku była czerwona plamka. Usunął ją skwapliwie.

Billy Buck się odezwał: - To nic złego. To tylko znak pozostawiony przez koguta.

Wszedł ojciec, barczysty, wysoki i surowy mężczyzna. Po krokach Jody poznał, że ojciec włożył długie buty do konnej jazdy, ale dla pewności zerknął jeszcze pod stół. Ojciec zgasił wiszącą nisko lampę naftową, gdyż przez okna sączyło się już dość dziennego światła.

Jody nie spytał, gdzie ojciec i Billy Buck jadą rano, choć miał straszną ochotę jechać z nimi. Ojciec był bardzo surowy. Jody słuchał go na ślepo i nie zadawał nigdy pytań. Carl Tiflin usiadł i sięgnął po półmisek z jajkami.

- Krowy spędzone, Billy? - spytał.

- W dolnym korralu - odparł Billy. - Mógłbym je sam pognać.

- Oczywiście, Billy, ale człowiek potrzebuje towarzystwa. Poza tym człowiekowi wysycha w gardle... - Carl Tiflin był tego ranka w jowialnym nastroju.

Matka Jody'ego wystawiła głowę z kuchni. - Kiedy wrócisz, Carl?

- Nie wiem. W Salinas muszę się z kimś zobaczyć. O zmroku pewno.

Jajka i chleb zniknęły szybko. Jody wyszedł za obu mężczyznami. Patrzył, jak wsiadają na konie, wyganiają sześć starych mlecznych krów z korralu i gonią je przez wzgórze do Salinas. Krowy mieli sprzedać rzeźnikowi.

Kiedy zniknęli mu z oczu, poszedł na pagórek. Dokoła domu latały truchtem psy prężąc grzbiety i w zachwycie szczerząc zęby. Jody poklepał je po głowach - Doubletree Mutt z długim grubym ogonem i żółtymi ślepiami; Smasher, owczarek, który zagryzł kojota i stracił przy tym ucho. Drugie jego ucho sterczało wyżej, niż powinno sterczeć ucho porządnego owczarka. Billy Buck mówił, że tak powinno być. Po gorącym choć szybkim powitaniu psy fachowo zaczęły węszyć z nosami przy samej ziemi i pognały przed siebie oglądając się od czasu do czasu, aby sprawdzić, czy chłopiec idzie za nimi. Minęli kurniki i zobaczyli, że z kurami pożywia się przepiórka. Smasher przegonił trochę kury, żeby nie wyjść z wprawy tak na wszelki wypadek, gdyby musiał kiedyś zaganiać owce. Jody poszedł dalej zielonym polem, gdzie zielona kukurydza kołysała mu się nad głową. Dynie były jeszcze zielone i malutkie. Zatrzymał się na skraju zarośli bożydrzewiu, gdzie zimna woda górskiego strumienia tryskała z żelaznej rury do okrągłej drewnianej balii. Schylił się i pił, ustami prawie dotykając zzieleniałego mchatego drzewa, bo tam woda smakowała najlepiej. Potem spojrzał za siebie na ranczę - na niski bielony dom opasany punkcikami czerwonych pelargonii, na wysoki cyprys i stojący pod nim długi barak, gdzie samotnie mieszkał Billy Buck. Koło cyprysu stał wielki czarny kocioł. Tam oprawiano świnie. Zza łańcucha wzgórz wyjrzało słońce, palącą oczy bielą odbiło się od domu i stajni, mokrej trawie nadało delikatny połysk. Za Jodym, w bożydrzewiu, ptaki ćwierkały zacietrzewione szeleszcząc wśród suchych liści i skacząc po ziemi, a na zboczach wzgórza donośnie popiskiwały wiewiórki. Jody przyglądał się zabudowaniom ranczy; w powietrzu czaiła się niepewność, zapowiedź jakiejś zmiany, utraty i zyskania cze-

goś. Nad wzgórzem dwa wielkie czarne sępy płynęły nisko nad własnymi cieniami, które milcząco przemykały po trawie Pewno jakieś zwierzę padło w okolicy. Może krowa albo może tylko królik. Sępom nic nie umykało. Jody ich nienawidził, jak nienawidzić ich musiało wszystko, co uczciwe. Ale zabijać sępów nie wolno - oczyszczają ziemię z padliny.

Po chwili chłopiec Jody zbiegł z pagórka. Psy dawno już zrezygnowały z jego towarzystwa i biegły w krzaki za swoimi sprawami. Jody wracał przez ogród warzywny, po drodze piętą roztrzaskał melon, ale nie sprawiło mu to przyjemności, wprost przeciwnie. Nie powinien był tego zrobić, zasypał więc szybko resztki melona ziemią.

W domu matka obejrzała dokładnie jego spierzchnięte ręce, sprawdziła czystość dłoni i paznokci. Niewiele pomagała ta kontrola przed wyjściem do szkoły, bo po drodze wydarzyć się mogło wiele różnych rzeczy. Matka westchnęła oglądając popękaną skórę palców, podała mu książki i śniadanie i wyprawiła do odległej o milę szkoły. Zauważyła jeszcze, że Jody tego ranka więcej poruszał ustami niż zwykle.

Jody poszedł. Napchał sobie kieszenie małymi kawałkami białego kwarcu, jaki leżał dokoła, miał więc czym rzucać od czasu do czasu w jakiegoś ptaka albo królika, który zbyt długo marudził na drodze. Na skrzyżowaniu za mostem spotkał dwóch przyjaciół i cała trójka pomaszerowała dalej razem, a właściwie podskakiwała i robiła masę niemądrych rzeczy. Szkołę otwarto przed dwoma tygodniami. Wśród uczniów panował jeszcze nieposkromiony duch buntu.

Dopiero o czwartej po południu Jody stanął na ostatnim wzgórzu i spojrzał na ranczę. Spojrzał na biały budynek, na korral, ale korral był pusty, ojciec więc jeszcze nie wrócił. Jody wolno powlókł się do popołudniowych zajęć. Na ganku siedziała matka cerując skarpetki.

- W kuchni zostawiłam ci dwa pączki - powiedziała. Jody pomknął do kuchni i po chwili wrócił z ustami wypchanymi i jednym pączkiem w ręku. Matka spytała, czego nauczył się tego dnia w szkole, ale niezbyt słuchała zniekształconych pączkiem wyjaśnień. Przerwała: - Jody, żebyś dziś wieczorem napełnił całą skrzynkę drzewem. Wczoraj poukładałeś drewna na krzyż i pół skrzynki było puste. Układaj drzewo równo. I, Jody, kury gubią jajka albo psy je zjadają. Rozejrzyj się dokoła w ogrodzie warzywnym, na pewno coś znajdziesz.

Jody z ustami jeszcze zapchanymi poszedł do roboty. Sypiąc kurom ziarno zobaczył, że przepiórka także się zjawiła. Ojciec bardzo był dumny, że do kurnika przychodziły przepiórki. Zabraniał też strzelać w pobliżu domu, by ich nie wystraszyć.

Kiedy skrzynia była pełna drzewa, Jody wziął swoją strzelbę i poszedł do źródełka przy bożydrzewiu. Napił się wody i zaczął celować w rozmaite rzeczy - w kamienie, w ptaki na dachu, w kocioł pod cyprysem. Ale nie strzelał, bo nie miał nabojów i miał je dopiero dostać, gdy skończy dwanaście lat. A gdyby ojciec zobaczył go mierzącego ze strzelby w stronę domu, nie byłoby nabo-

jów jeszcze przez jeden rok. Pamiętając o tym Jody przestał celować w dół wzgórza. Dwa lata czekania na naboje to i tak bardzo długo. Prawie wszystkie prezenty ojca miały jakieś zastrzeżenie, które pozbawiało je praktycznej wartości. Twarda ręka ojca, twarda szkoła.

Z kolacją czekano na powrót ojca. Kiedy wreszcie wrócił z Billy Buckiem o zmroku, oddechy obu cudownie pachniały koniakiem. Jody się cieszył skrycie, bo kiedy ojciec pachniał koniakiem, stawał się rozmowny, a czasami to nawet opowiadał o różnych takich rzeczach, które robił w dawnych czasach, kiedy był chłopcem.

Po kolacji Jody usiadł przy ogniu i jego płochliwe szare oczy uciekały w kąty pokoju. Chłopiec czekał, aż ojciec powie, co ma do powiedzenia, bo widać było, że zdarzyło się coś nowego. Ale się rozczarował. Ojciec surowo wskazał na niego palcem.

- Idź spać Jody. Będziesz mi potrzebny rano. To nie tak znowu źle. Jody chętnie pomagał na ranczo, byle tylko nie robić jednej i tej samej rzeczy, którą codziennie w kółko się powtarza. Utkwił wzrok w ziemi, usta ułożyły mu się w pytanie, nim jeszcze je wypowiedział.

- A co będziemy robili rano? Zabijali świnię?

- Nie bądź taki ciekawy. Idź spać.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, usłyszał jeszcze rozbawione chrząknięcia ojca i Billy Bucka i wiedział, że to jakaś tajemnicza sprawa. A później, leżąc w łóżku, próbował ze szmeru rozmowy wyłowić jakieś słowa i usłyszał protestujący głos ojca: - Ależ, Ruth, bardzo mało za niego zapłaciłem.

Jody słyszał jeszcze sowy polujące na myszy w stajni i skrobanie gałęzi drzewa owocowego o ścianę domu. Krowa muczała, kiedy zasnął.

Rano, obudzony dźwiękiem żelaznego triangla Jody ubrał się jeszcze szybciej niż zwykle. Gdy w kuchni mył twarz i zaczesywał włosy, matka odezwała się trochę zła: - Nie wychodź, póki nie zjesz porządnego śniadania!

Poszedł do jadalni i usiadł przy długim białym stole. Z półmiska wziął gorący pyszny placek, na to ułożył dwa smażone jajka i przykrył drugim plackiem, a potem przydusił wszystko widelcem.

Wszedł ojciec i Billy Buck. Z odgłosu ich kroków Jody poznał, że mają na nogach buty o płaskich obcasach, ale dla pewności zajrzał pod stół. Carl Tiflin zgasił lampę naftową, bo pojawił się już dzień. Ojciec wyglądał dzisiaj bardziej surowo niż zwykle i bardziej niedostępnie, a Billy Buck nawet nie spojrzał na Jodyego. Unikał pytających oczu chłopca i pilnie moczył kawałek chleba w kawie.

Carl Tiflin burknął: - Pójdziesz z nami po śniadaniu. - Jody'emu źle szło z jedzeniem, ponieważ miał wrażenie, że zbliża się koniec świata. Kiedy Billy wysiorbał rozlaną na spodek kawę i

otarł ręce o spodnie, obaj mężczyźni wstali od stołu i razem wyszli w jasny poranek. Jody z szacunkiem trzymał się parę kroków za nimi starając się nie myśleć, co go czeka, i nie tracić spokoju.

Matka zawołała: - Carl, tylko niech się nie spóźni przez to do szkoły!

Minęli cyprys, minęli czarny żelazny kociołek, a więc nie chodziło o bicie świń. Słońce wypłynęło już na wzgórze i rzucało smugi czarnych cieni przed drzewa i budynki. Szli rżyskiem, żeby skrócić sobie drogę do stajni.

Ojciec otworzył wrota ze skobla i weszli. Ponieważ cały czas przedtem szli pod słońce, wnętrze stajni wydało im się bardzo mroczne. Było ciepło od siana i zwierząt. Ojciec podszedł do jednego z boksów. - Chodź tu! - zawołał na chłopca. Jody zaczynał już coś niecoś dostrzegać. Zajrzał do boksu i cofnął się szybko.

Z boksu patrzył na niego źrebak, kasztanek. Nastawiał nerwowo uszy, w oczach migały mu iskierki buntu. Sierść miał gęstą i wełnistą jak futro teriera, grzywę długą, splątaną. Jody poczuł ucisk w gardle i stracił nagle oddech.

- Trzeba go dobrze wyczesać zgrzebłem - powiedział ojciec - a jeśli kiedy się dowiem, że go źle karmisz albo że w boksie jest brudno, natychmiast go sprzedam.

Jody nie mógł dłużej wytrzymać wzroku kasztanka. Spuścił oczy i zaczął oglądać swoje dłonie. Spytał cicho: - To on jest mój? - ale mu nikt nie odpowiedział. Wyciągnął rękę do kasztanka. Źrebak potrząsnął głową, hałaśliwie pociągnął nosem, odsłonił wargi i silne zęby zwarł na palcach chłopca. Potem znowu parę razy potrząsnął głową jakby się śmiejąc rozbawiony. Jody oglądał skaleczony palec. - No, no! - powiedział z dumą. - Ale potrafi gryźć. - Obaj mężczyźni roześmieli się z ulgą. Carl Tiflin wyszedł ze stajni, gdyż chciał być sam, bo się czuł trochę zakłopotany, ale Billy Buck został. Z Billym łatwiej było mówić. Jody jeszcze raz spytał: - To on jest mój?

Billy odpowiedział sucho: - Oczywiście. To znaczy, jeśli będziesz się nim dobrze opiekował i dobrze go ujeździsz. Pokażę ci jak. To dopiero źrebak. Jeszcze go nie można dosiadać. Ale już niedługo.

Jody wyciągnął skaleczoną rękę i tym razem kasztanek pozwolił się pogłaskać po nosie. - Szkoda, że nie mam przy sobie marchewki. Gdzie go kupiliście, Billy?

- Na licytacji szeryfa - wyjaśnił Billy. - Cyrk w Salinas zrobił plajtę i mieli dużo długów. Szeryf sprzedawał wszystkie rzeczy.

Kasztanek wyciągnął łeb i strząsnął kosmyk z dzikich oczu.

Jody pogładził go jeszcze raz po nosie. Spytał cicho:

- A nie ma siodła?

Billy Buck roześmiał się. - Zapomniałem. Chodź!

W komórce z uprzężą wziął do ręki małe siodło z czerwonej skóry. - To cyrkowe siodło -

powiedział Billy Buck trochę lekceważąco. - Nie nadaje się na dłuższe jazdy, aleśmy je dostali tanio na licytacji.

Jody ledwo miał odwagę spojrzeć na siodło, nie potrafił dobyć głosu. Koniuszkami palców muskał błyszczącą czerwoną skórę i wreszcie po długiej chwili powiedział: - Ale będzie na nim ślicznie wyglądało. - Myślał o najładniejszych i najwspanialszych rzeczach, które znał. - Jeśli kasztanek nie ma imienia, to go nazwę chyba Góry Gabilańskie - zaproponował.

Billy Buck wiedział, co Jody przeżywa.

- Trochę za długie imię. Może tylko Gabilan? Gabilan znaczy sokół! świetne dla niego imię. - Billy był zadowolony. - Zbieraj włosy z jego ogona, to ci uplotę sznur. Będziesz miał czym wiązać Gabilana.

Jody chciał wrócić do boksu. - Mógłbym go zabrać do szkoły, pokazać chłopcom?

Ale Billy potrząsnął głową. - Nie, on jeszcze nie jest włożony nawet do prowadzenia. Mieliśmy z nim kłopot w drodze z Salinas. Trzeba go było prawie ciągnąć. Ale już lepiej idź do szkoły.

- Po południu sprowadzę chłopaków, żeby go zobaczyli - powiedział Jody.

Sześciu chłopców przyszło tego popołudnia. Zjawili się o pół godziny wcześniej niż zwykle, przybiegli zdyszani, spoceni, jak sportowcy pomagając sobie w biegu rękami. Nie zatrzymali się koło domu, ale skrótem przez rżysko popędzili do stajni. Stanęli trochę skrępowani przed kasztankiem, obrzucali Jody'ego wzrokiem, w którym krył się nowy zachwyt i szacunek. Do wczoraj Jody był zwykłym chłopcem w niebieskiej koszuli i kombinezonie, może trochę spokojniejszym niż większość z nich i trochę podejrzewanym o tchórzostwo. Teraz stał się kimś zupełnie innym. Tysiąc wieków istnienia człowieka wpoiło w nich podziw. Podziw pieszego dla jeźdźca. Instynktem wyczuwali, że człowiek na koniu jest duchowo i fizycznie silniejszy od człowieka stojącego na ziemi. Cudowne zdarzenie wyniosło Jody'ego ponad nich. Gabilan wystawił łeb z boksu i obwąchiwał chłopców.

- Dlaczego na niego nie wsiądziesz? - krzyknęli. - Dlaczego nie ozdobisz mu ogona wstążeczkami jak na jarmark? Kiedy na nim pojedziesz?

Odwaga Jody'ego rosła. Także czuł swą wyższość jeźdźca. - Jeszcze nie jest dość duży - odparł. - Jeszcze długo nie można na niego siadać. Będę go uczył na długiej ląży. Billy Buck pokaże mi jak.

- A nie możemy go chociaż troszkę poprowadzić?

- On nie jest jeszcze włożony do prowadzenia - odparł Jody. Zresztą chciał być zupełnie sam, kiedy po raz pierwszy wyprowadzi kasztanka. - Chodźcie, pokażę wam siodło.

Oniemieli na widok siodła z czerwonej skóry i gapili się z szeroko otwartymi ustami.

- Nie bardzo nadaje się na dłuższe jazdy - tłumaczył Jody. - Ale będzie ślicznie wyglądało

na kasztanku. Zresztą mogę jeździć na oklep.

- Jadąc na oklep trudno prowadzić krowy.

- Może na co dzień dostanę inne siodło. Ojciec na pewno będzie chciał, żebym mu pomagał przy krowach.

Dał im pomacać czerwone siodło, pokazał mosiężny łańcuszek przy podpince i wielkie mosiężne guzy w miejscu, gdzie krzyżowały się paski ogłowia. Wszystko to było wspaniałe, po prostu wspaniałe. Chłopcy musieli jednak wracać do domów. Każdy z nich szukał gorączkowo w pamięci przedmiotu spośród swoich skarbów, którym by mógł przekupić Jody'ego za jedną jazdę na kasztanku, gdy już będzie można na nim jeździć.

Jody był zadowolony, kiedy sobie poszli. Z półki wziął zgrzebło i szczotkę, otworzył boks i ostrożnie wśliznął się do środka. Oczy kasztanka zabłysły; kręcił się i wiercił szukając pozycji, z której łatwiej mu będzie wierzgnąć. Ale Jody poklepał go po łopatce i pogłaskał wysoko sklepioną szyję, tak jak zawsze robił Billy, i grubym głosem powiedział: - Spokojnie, stary! - Kasztanek powoli się uspokajał. Jody czesał go i szczotkował, aż na ziemi leżało sporo wyczesanych włosów, a skóra źrebaka nabrała głębokiego czerwonawego połysku. Ile razy pomyślał, że już dosyć, wkradały się wątpliwości. Na pewno można to zrobić lepiej. Grzywę zaplótł w dziesiątek małych warkoczyków, zaplótł także kosmyk, ale potem wszystko rozwiązał i zaczesał na prosto.

Jody nie słyszał wejścia matki do stajni. Szła tutaj bardzo zła, ale kiedy spojrzała na kasztanka i na Jody'ego, który go oporządzał, zrodziła się w niej jakaś dziwna duma. - Nie przyniosłeś drzewa, Jody - powiedziała z łagodną wymówką. -Już niedługo się ściemni, a nie mamy w domu ani kawałka drzewa. I kury są głodne.

Jody szybko odłożył zgrzebło i szczotkę. - Zapomniałem mamo.

- Od jutra najpierw wykonuj swoje obowiązki domowe. Wtedy nie zapomnisz. Jestem pewna, że jeśli cię teraz nie będę pilnowała, zaczniesz zapominać o wielu rzeczach.

- Czy mogę wziąć z ogrodu parę marchewek dla Gabilana, mamo?

Chwilę się zastanawiała. - Możesz, ale wybieraj przerosłe.

- Od marchewki błyszczy się skóra - wyjaśnił i znowu matkę ogarnęła duma.

Od chwili nabycia kasztanka Jody nigdy nie czekał na bicie w żelazny triangel. Budził się jeszcze przed matką, szybko ubierał i cichutko wychodził z domu. Przemykał się koło śpiących kamieni i cyprysu śpiącego w szarym cichym przedświcie. Ziemia, domy i drzewa były jeszcze srebrnoszare i czarne jak negatyw fotograficzny. W gałęziach, wysoko, by nie dosięgły ich kojoty, gulgotały sennie indyki. Pola pokryte były podobnym do szronu nalotem, na którym wyraźnie odcinały się ślady królików i myszy. Psy wychodziły z bud ociężale na sztywnych od snu łapach, obnażały kły i tłumiły warczenie. Potem trafiały na ślad Jody'ego, sztywne ogony podnosiły do góry i

wymachiwały poranne powitanie. - Doubletree Mutt ze swoim wielkim grubym ogonem i Smasher, początkujący owczarek - a potem wracały leniwie na wygrzane legowiska.

Poranne wizyty u Gabilana były dla Jody'ego najcudowniejszymi przeżyciami, jakby przedłużeniem snu pełnego marzeń. W drodze do stajni torturowała go myśl, że nie zastanie kasztanka w boksie, że go tam nigdy nie było. W pierwszych dniach przeżywał i inne samemu sobie zadawane rozkoszne męki: może szczury porobiły dziury w czerwonym siodle, a myszy ponadgryzały Gabilanowi ogon, z którego zostały tylko żałosne kosmyki. Ostatni kawałek drogi przeważnie biegł. Otwierał z zardzewiałego skobla wrota stajni i wchodził do środka. Bez względu na to, jak szybko wchodził, Gabilan zawsze już na niego patrzył ze swojego boksu i postękiwał, i grzebał kopytem, a w jego oczach zapalały się iskierki czerwone jak żużle z dębowego drzewa.

Czasami - jeśli akurat potrzebne były konie do pracy w polu - Jody zastawał już w stajni Billy Bucka. Billy przerywał oporządzanie albo siodłanie i stawał z Jodym, i obaj długo przyglądali się Gabilanowi. Billy opowiadał Jody'emu o koniach: mówił mu, że konie strasznie się boją o swoje kopyta, tak że trzeba im podnosić nogi i klepać kopyta i pęciny, żeby się nie bolały. I mówił, że konie uwielbiają rozmowę: Jody zawsze powinien rozmawiać z kasztankiem i zawsze mu tłumaczyć, dlaczego i co robi. Billy nie wiedział, czy koń wszystko rozumie, ale nigdy nie można być pewnym, ile rozumie. Koń zawsze spełnia polecenie kogoś, kogo lubi i kto mu wszystko tłumaczy. Billy mógł dać na to wiele przykładów. Znał na przykład konia zajechanego prawie na śmierć, który bardzo się ożywił, kiedy mu powiedziano, że już niedaleko do celu. Znał konia sparaliżowanego strachem, który przestał się zupełnie bać, kiedy mu jeździec wytłumaczył, że nie ma się czego bać. Podczas tych porannych rozmów Billy Buck przycinał sobie parędziesiąt słomek trzycalowej długości, które zatykał za wstążką kapelusza. Potem przez cały dzień miał co żuć albo czym dłubać w zębach, jeśli potrzebował. Wystarczyło sięgnąć ręką.

Jody słuchał uważnie, gdyż wszyscy w okolicy wiedzieli, że Billy Buck zna się na koniach. Wierzchowiec Billyego był pokracznym bułankiem o ciężkim łbie, ale prawie zawsze zagarniał wszystkie nagrody na *rodeo*. Billy potrafił na nim złapać byka na lasso, przywiązać lasso na podwójny węzeł u łęku siodła i zsiąść na ziemię, podczas gdy koń jak rybak, który ma wielką rybę na wędce, wytrzymywał byka, póki ten nie padł albo się nie poddał.

Każdego ranka po wyczesaniu i wyszczotkowaniu Gabilana Jody otwierał boks i kasztanek galopował przez stajnię do korralu. W korralu dalej galopował zataczając koło, czasami robił wielki skok i wrastał w ziemię. Stał drżąc na sztywnych nogach, strzygł uszami, oczami obracał pokazując białka. Udawał, że się boi. Potem prychając szedł do koryta z wodą i zanurzał nos w wodę. Jody był bardzo dumny, że wie, że właśnie po tym ocenia się konia. Marne konie ledwie dotykają wody wargami, ale dziarskie rumaki pakują do niej cały pysk i nos, ledwo wystawiając na wierzch chra-

py.

Jody stawał pod ogrodzeniem korralu i przyglądał się kasztankowi, i widział rzeczy, których nigdy nie widział u innych koni: zgrabny kadłub, węzły mięśni na zadzie grające jak mięśnie dłoni zamykającej się w pięść. I jaki odblask dawało słońce na czerwonej skórze! Stale widząc na ranczy konie, Jody nigdy nie przyglądał się im uważnie. Ale teraz spostrzegał ruchliwe uszy, które pyskowi nadawały specjalny wyraz pewności siebie. Kasztanek przemawiał uszami. Zawsze można było wiedzieć, co myśli, patrząc na strzyżenie uszami. Czasami trzymał je sztywno wzniesione w górę, czasami oklapłe, zwiędłe. Kładł je, gdy był zły albo lękał się czegoś; wysuwał do przodu, gdy ogarniała go ciekawość albo był zadowolony, albo niecierpliwie na coś czekał. Położenie uszu zawsze zdradzało uczucie, jakie nim targało.

Billy Buck dotrzymał słowa. Wczesną jesienią zaczęła się praca nad Gabilanem. Najpierw przyzwyczajenie do sznura i to było najtrudniejsze, bo początek zawsze jest najtrudniejszy. Jody trzymał w ręku marchewkę i zachęcał, i obiecywał, i ciągnął za linkę. Kasztanek zapierał się w ziemię jak muł.

Ale szybko się nauczył. Jody spacerował z nim po ranczy. Stopniowo zwalniał linkę, zwalniał, aż wreszcie kasztanek sam za nim wszędzie szedł.

Potem ujeżdżanie na leży. To już szło wolniej. Jody stał pośrodku koła trzymając w ręku koniec sznura. Cmokał i kasztanek zaczynał wędrówkę po obwodzie. Jody znów cmokał na kłus, potem jeszcze raz na galop. Gabilan galopował, kłusował i chodził stępa z wielkim zadowoleniem. Gdy Jody wołał „Hep!", kasztanek stawał. W krótkim czasie Gabilan osiągnął w tym doskonałość. Ale pod wieloma względami był niedobrym źrebakiem - zębami łapał Jody'ego za spodnie, kopytami przydeptywał mu nogi, często kładł uszy i wymierzał chłopcu potężnego kopniaka. A kiedy robił takie niecne rzeczy, wyszczerzał zęby i zdawało się, że chichocze w głębi końskiego serca.

Billy Buck siadywał wieczorami koło ognia i splatał linkę z końskich włosów, które Jody zbierał do torby. Jody przyglądał się, jak Billy powoli skręca po parę włosów w cienką plecionkę, parę plecionek splata w sznur, a kilka sznurów w linkę. Każdy skończony odcinek linki Billy rolował nogą na deskach podłogi, żeby była gładka i okrągła.

Ujeżdżanie na leży dobiegało końca. Gabilan opanował sztukę do perfekcji. Carl Tiflin patrząc, jak kasztanek staje, rusza, kłusuje i galopuje, był trochę zaniepokojony.

- Robi się z niego cyrkowy koń. Nie lubię cyrkowych koni. Takie sztuczki zabierają zwierzęciu całą godność, jak aktor traci charakter. - Po chwili dodał: - Trzeba go szybko zacząć przyzwyczajać do siodła.

Jody pędem pobiegł do komórki z uprzężą. Już od pewnego czasu ćwiczył na czerwonym siodle założonym na koziołka. Stale zmieniał długość puśliska i jakoś nigdy nie był zadowolony.

Czasami gdy siedział na koziołku w komórce z uprzężą, mając dokoła siebie chomąta i ogłowia, wyobraźnia wynosiła go na szerokie przestrzenie. Pędził otwartymi polami, do siodła miał przytroczoną dubeltówkę, upajał się stukotem kopyt w galopie.

Pierwsze siodłanie nie poszło łatwo. Gabilan stawał dęba, cofał się, zrzucał z siebie siodło, nim można było zaciągnąć pierwszy popręg. Wciąż trzeba było zaczynać od początku. Wreszcie kasztanek uległ. Dociąganie popręgów było także trudne. Co dzień Jody zaciągał je troszkę mocniej, aż kasztanek przyzwyczaił się zupełnie do siodła.

Potem przyszła kolej na wędzidło. Billy tłumaczył Jody'emu, że najpierw, póki Gabilan nie przyzwyczai się do trzymania czegoś w pysku, trzeba mu wtykać umoczoną w syropie gałązkę. Billy tłumaczył:

- Naturalnie moglibyśmy zmusić go do wszystkiego siłą, ale gdybyśmy to robili, nigdyby nie był dobrym koniem. Zawsze (bałby się trochę, i jemu by to wcale nie przeszkadzało, tylko tobie.

Kiedy po raz pierwszy założono Gabilanowi prawdziwe wędzidło, zaczął się ruszać, szarpać i podważać językiem trzonek, aż w kącikach pyska pokazało mu się kilka kropel krwi. Ocierając się o belkę próbował zerwać ogłowie. Strzygł okropnie uszami, wywracał oczy, białka ze strachu napływały mu krwią. Jody się cieszył, bo wiedział, że tylko marny koń nie opiera się ujeżdżaniu.

Jody drżał z podniecenia myśląc o chwili, kiedy po raz pierwszy dosiądzie swojego rumaka. Kasztanek pewno zrzuci go na ziemię. Nie ma się czego wstydzić. Wstyd byłby dopiero wtedy, gdyby Jody zaraz nie dosiadł go z powrotem. Czasami śniło mu się, że leży w pyle drogi i płacze, i nie może wstać. I przykre wspomnienie tego snu ciążyło mu aż do południa następnego dnia.

Gabilan rósł szybko. Nie był już długonogim niezgrabnym źrebakiem, grzywę miał dłuższą i ciemniejszą. Zawsze czesana i szczotkowana sierść była gładka i błyszcząca jak rudy lakier. Jody smarował mu tłuszczem i przycinał kopyta, żeby nie pękały.

Linka z włosia była już prawie gotowa. Ojciec dał Jody'emu parę starych ostróg, które dopasował skracając pasek i przyginając. Któregoś dnia powiedział:

- Kasztanek rośnie szybciej, niż myślałem. Na święto Dziękczynienia będziesz mógł go dosiąść. Myślisz, że wytrzymasz?

- Nie wiem - odparł Jody skromnie. Do święta Dziękczynienia było jeszcze trzy tygodnie. Miał nadzieję, że nie będzie wtedy padać, bo deszcz zniszczyłby czerwone siodło.

Gabilan znał Jody'ego i lubił go. Rżał i kręcił się podniecony, kiedy Jody szedł przez rżysko, w korralu przylatywał do ogrodzenia, kiedy jego pan zagwizdał. Jody miał dla niego zawsze marchewkę.

Billy Buck ciągle powtarzał swoje nauki:

- Kiedy go dosiądziesz, ściśnij mocno kolanami ręce daleko od siodła. Jeśli cię zwali, nie zrażaj się. Koń potrafi zrzucić najlepszego jeźdźca. Zaraz wstań i dosiądź go z powrotem, nim zdąży się ucieszyć z kawału, jaki zrobił. Bardzo szybko przestanie cię zrzucać. Nie będzie mógł. To jedyny sposób.

- Mam nadzieję, że nieprędko zaczną się deszcze - powiedział Jody.

- Boisz się, żeby cię nie zrzucił w błoto? Trochę i to, a poza tym Jody bał się, że stając dęba Gabilan poślizgnie się, przygniecie go swoim ciężarem i złamie mu nogę. Widział już w życiu takie wypadki, widział ludzi wijących się na ziemi jak rozgniecione robaki i nie miał ochoty, by jemu coś podobnego się przytrafiło.

Na koźle ćwiczył trzymanie wodzy w lewym ręku i kapelusza w prawym. Jeśli w ten sposób będzie miał zajęte ręce, nie złapie się za łęk, gdy poczuje, że Gabilan zrzuca go na ziemię. Nie chciał nawet myśleć, co by się stało, gdyby złapał za łęk. Ojciec i Billy Buck przestaliby się do niego odzywać, tak by się za niego wstydzili. Wiadomość szybko by się rozeszła i matka też zaczęłaby się wstydzić! No, a w szkole! Aż strach pomyśleć, co by mówili!

Kiedy Gabilan był osiodłany, Jody stawiał nogę w strzemieniu, ale nie przerzucał drugiej przez grzbiet. Tego nie wolno było robić do święta Dziękczynienia.

Każdego popołudnia siodłał kasztanka i zaciągał mocno popręgi. Gabilan nauczył się już nadymać, a potem puszczał powietrze, kiedy chłopiec myślał, że zaciągnął je dobrze. Czasami Jody podprowadzał go pod zarośla bożydrzewiu i dawał mu pić z okrągłego omszałego poidła, czasami prowadził go przez rżysko na pagórek, skąd widać było białe domki Salinas, wielką dolinę pociętą na prostokąty pól i młode dęby ogryzane przez owce. Czasami wychodził nawet za bożydrzew na poręby tak wysoko zarośnięte, że ginął z oczu cały świat, zostawało tylko niebo i zielona ściana liści. Gabilan lubił te spacery, podnosił wysoko łeb i poruszał z zainteresowaniem chrapami. Kiedy chłopiec i koń wracali, pachnieli bożydrzewiem, przez który musieli się przedzierać.

Wlókł się czas do święta Dziękczynienia, tylko zima szła szybkimi krokami. Na dolinę zwaliły się kłęby chmur, utkwiły nad polami, ocierały o szczyty wzgórz. W nocy pojękiwał wiatr. Przez cały dzień spadały z drzew suche dębowe liście i choć zasłały całą ziemię, drzewa pozostały nie zmienione.

Jody miał nadzieję, że nie zacznie padać przed świętem Dziękczynienia. Ale zaczęło. Brunatna ziemia pociemniała, drzewa rozbłysły kroplami wody, rżysko sczerniało od wilgoci, stogi poszarzały, a mech na dachach, który całe lato był szary jak skóra jaszczurki, nabrał świeżych kolorów zieleni. Przez cały tydzień, kiedy padał deszcz, Jody wyprowadzał Gabilana tylko na krótkie spacery. Szedł z nim do górnego korralu, by kasztanek rozprostował mięśnie i napił się źródlanej wody. Gabilan ani razu się nie zamoczył.

Deszcze padały, zaczęła kiełkować trawa; Jody chodził do szkoły w pelerynie i krótkich gumowych butach. Wreszcie któregoś ranka wyjrzało na niebo czyste słońce. Jody akurat oporządzał wtedy Gabilana w boksie. Powiedział do Billy Bucka:

- Może zostawić Gabilana w korralu, kiedy pójdę do szkoły?

- Słońce mu dobrze zrobi - zgodził się Billy. - Żadne zwierzę nie lubi długo siedzieć w zamknięciu. Jadę z twoim ojcem na wzgórze oczyścić źródełko z liści. - Billy skinął głową i zaczął dłubać w zębie jedną ze słomek zza kapelusza.

- Ale jak przyjdzie deszcz, to co...? - odezwał się Jody.

- Dziś chyba nie będzie deszczu, niebo się wypłukało. - Billy podciągnął rękawy i założył na nie gumowe opaski. - No, a jeśli popada, to popada. Jeszcze żaden deszcz nie zaszkodził koniowi.

- Ale jak zacznie padać, to go zapędzisz do boksu, Billy? Bardzo się boję, żeby się Gabilan nie zaziębił. Nie mógłbym zacząć go ujeżdżać na święto Dziękczynienia.

- Dobra, dobra. Będę miał na niego oko. Jeśli zdążę wrócić. Ale dziś nie będzie padać.

Tak więc Jody zostawił Gabilana w korralu i poszedł do szkoły.

Billy Buck nieczęsto się mylił, bo miał wielkie doświadczenie. Ale tego dnia się omylił, jeśli idzie o pogodę. Zaraz po południu ciemne chmury zaciągnęły niebo nad wzgórzami i zaczęła się ulewa. Jody słyszał pierwsze krople padające na dach szkoły. Zastanawiał się, czy nie podnieść dwóch palców i nie spytać, czy może na chwilkę wyjść, a potem polecieć po prostu do domu, żeby zaprowadzić Gabilana do boksu, ale pomyślał, że zostałby ukarany podwójnie: w szkole i w domu. Zrezygnował więc z tego projektu i powoli się uspokoił przypominając sobie zapewnienia Billy'ego, że koniowi nic się nie stanie od deszczu. Po szkole pognał do domu przez ciemną ulewę. Ze skarp po obu stronach drogi spływały strugi brudnej wody, deszcz siekł, skręcał się i wirował gnany podmuchami porywistego wiatru. Jody ciężko stawiał nogi na rozmokłej drodze.

Ze szczytu wzgórza zobaczył Gabilana stojącego ze zwieszonym łbem w korralu. Czerwona skóra sczerniała i ociekała wodą. Jody biegł resztę drogi, potem za kosmyk wprowadził kasztanka do boksu. Poszukał worka z juty i zaczął nacierać przemoczoną sierść, nogi i pęciny Gabilana. Gabilan stał cierpliwie, ale co chwila drżał jak w podmuchach wiatru.

Kiedy Jody wytarł kasztanka, jak mógł najlepiej, przyniósł z domu gorącej wody i zalał nią owies. Gabilan nie był bardzo głodny, bez większego zainteresowania gmerał w gorącym owsie i od czasu do czasu dygotał. Z wilgotnego karku unosiła się para.

Billy Buck i Carl Tiflin wrócili do domu już prawie o zmroku.

- Kiedy zaczęło padać, schowaliśmy się na ranczy Bena Herche'a. Przez całe popołudnie lało, więc czekaliśmy - tłumaczył Carl Tiflin. Jody patrzył z wyrzutem na Billy Bucka i Billy czuł się trochę winny.

- Powiedziałeś, że nie będzie padało - oskarżał Jody.

Billy odwrócił głowę. - O tej porze roku nigdy nie wiadomo - odparł, ale było to nieprzekonujące tłumaczenie.

- Kasztanek cały przemókł, do suchej nitki.

- Wytarłeś go?

- Wytarłem workami i dałem gorącego owsa. Billy z aprobatą pokiwał głową.

- Myślisz, że się zaziębi, Billy?

- Trochę deszczu jeszcze nie zaszkodziło nikomu - zapewniał Billy.

Ojciec Jody'ego dołączył się do rozmowy i dawał synowi nauki:

- Koń - mówił - to nie piesek pokojowy. - Carl Tiflin nienawidził rozpieszczania i chorób i w głębokiej pogardzie miał wszelkie objawy słabości.

Matka Jody'ego postawiła na stole talerz kotletów, gotowanych kartofli i gotowanej dyni. Para z półmiska zasnuła cały pokój. Usiedli do kolacji. Carl Tiflin jeszcze coś mruczał o słabości, jaka u ludzi i zwierząt jest skutkiem wszelkiego rozpieszczania.

Billy Buck bardzo przeżywał swoją omyłkę. - Okryłeś go derkami? - spytał.

- Workami. Nie mogłem znaleźć żadnych derek.

- Po kolacji pójdziemy poszukać derek. - Billy odzyskał trochę humor.

Kiedy ojciec Jody'ego usiadł przed ogniem, a matka zmywała naczynia, Billy wyszukał i zapalił latarnię. Przez błoto pobrnęli do stajni. Stajnia była ciemna, gorąca i pachniała mdłym zapachem nawozu. Konie jeszcze nie skończyły wieczornego posiłku.

- Potrzymaj latarnię - powiedział Billy. Obmacał Gabilanowi nogi, sprawdził, czy nie ma gorących boków. Przyłożył policzek do szarego nosa kasztanka, zajrzał mu pod powieki, rozchylił wargi i obmacał szczęki, grzebał palcem w pysku. - Nie bardzo jest wesoły - skonstatował. - Jeszcze raz go natrę.

Billy workiem mocno natarł nogi i kłęby kasztanka. Gabilan był dziwnie bez humoru, ale cierpliwie poddawał się wszelkim zabiegom. Potem Billy przyniósł z komórki starą derkę, zarzucił ją kasztankowi na grzbiet i zawiązał dokoła szyi i kłębów sznurkiem.

- Rano będzie zdrów jak złoto - powiedział.

Matka Jody'ego podniosła głowę i spojrzała bystro, kiedy chłopiec wrócił do domu.

- Czas spać - powiedziała. - Już dawno powinieneś być w łóżku. - Ujęła chłopca pod brodę, palcami odsunęła mu kosmyki włosów znad czoła. - Nie martw się kasztankiem. Będzie zdrów, Billy zna się lepiej na koniach niż wszyscy weterynarze w okolicy.

Jody nie spodziewał się, że matka dostrzeże jego zmartwienie. Delikatnie się odsunął i ukląkł przed ogniem, aż poczuł gorąco na brzuchu. Kiedy się ogrzał, poszedł do łóżka, ale niepręd-

ko zasnął. A kiedy się obudził, zdawało mu się, że śpi już bardzo długo. W pokoju było ciemno, choć na szybach okna zbierała się szarość, jaka poprzedza świt. Wstał, odszukał swój kombinezon, długo go wkładał, a kiedy włożył, usłyszał zegar w sąsiednim pokoju wybijający godzinę drugą. Zdjął więc kombinezon i wrócił do łóżka. Po raz wtóry obudził się, gdy już było jasno. Pierwszy raz przespał bicie w żelazny triangel. Zerwał się szybko, szybko ubrał i wyszedł z pokoju zapinając jeszcze guziki koszuli. Matka spojrzała na niego raz, krótko, i bez słowa wróciła do pracy. Oczy miała zamyślone i dobre, od czasu do czasu uśmiechała się leciutko ustami, ale wyraz oczu pozostawał ten sam.

Jody pobiegł do stajni. W połowie drogi usłyszał odgłos, którego tak się obawiał - głuchy, suchy kaszel konia. Ruszył dalej pędem. Przy Gabilanie był już Billy Buck. Grubymi dłońmi nacierał nogi kasztanka. Podniósł głowę i uśmiechnął się wesoło do chłopca.

- Lekkie przeziębienie. Za dwa dni będzie zdrów jak złoto.

Jody spojrzał na pysk Gabilana. Kasztanek oczy miał półprzymknięte, powieki nabrzmiałe i suche. W kącikach oczu zebrały się kryształki stwardniałej ropy. Głowę opuścił nisko, uszy mu oklapły.

Jody wyciągnął rękę, ale kasztanek nie zareagował. Zakaszlał tylko i wstrząsnął się z wielkiego wysiłku. Z chrap wyciekał mu strumyczek flegmy.

Jody obrócił się do Billy Bucka. - On jest strasznie chory, strasznie!

- E, nic mu nie będzie, lekkie przeziębienie - upierał się Billy. - Leć na śniadanie i do szkoły. Zajmę się nim.

- A jak dostaniesz inną robotę? Może będziesz musiał go zostawić?

- Nie, nie, nic się nie bój. Jutro jest sobota, to zostaniesz przy nim cały dzień. - Billy czuł się bardzo nieszczęśliwy, że po raz drugi nie sprawdziła się jego przepowiednia. Postanowił wyleczyć kasztanka.

Jody wrócił do domu i obojętnie zasiadł do stołu. Jajka z boczkiem były zimne, zastygły tłuszcz mazał się, ale Jody nie zwracał na nic uwagi. Zjadł tyle co zawsze. Nawet nie poprosił, by mógł nie iść do szkoły. Matka przygładziła mu włosy zabierając pusty talerz.

- Billy się nim zajmie - zapewniła.

W szkole Jody był bardzo przygnębiony i źle odpowiadał na wszystkie pytania, źle czytał z książki, gdy mu kazano czytać, i w ogóle zachowywał się jak nieprzytomny. Nawet nie powiedział kolegom o chorobie kasztanka, gdyż to mogło przynieść jeszcze większe nieszczęście. Gdy wreszcie skończyły się lekcje, ruszył do domu pełen nowych obaw. Szedł bardzo wolno, czekając, aż go wszyscy wyprzedzą, żeby nie musiał z nimi rozmawiać. A poza tym chciało mu się iść i iść, żeby nigdy nie dojść do domu.

Billy był w stajni, jak obiecał, kasztanek czuł się gorzej. Oczy miał prawie zamknięte, oddychał ze świstem przez prawie zatkane chrapy. Widoczną część oka zakrywało bielmo. Wątpliwe, czy kasztanek w ogóle coś jeszcze widział. Od czasu do czasu prychał, żeby przeczyścić nos, ale to nie przynosiło mu ulgi, zatykało jakby jeszcze bardziej. Jody patrzył ze smutkiem na niegdyś lśniącą sierść. Teraz była nastroszona i straciła cały połysk. Billy w milczeniu stał koło boksu. Jody bał się zapytać, ale musiał przecież wiedzieć:

- Billy, powiedz, czy on wyzdrowieje? Billy wsadził palce pod dziąsła kasztanka.

- Pomacaj tutaj - powiedział i naprowadził palce Jody'ego na spory guz. - Kiedy ten guz się jeszcze powiększy przebiję go i wtedy Gabilan będzie zdrowy.

Jody odwrócił głowę, bo już kiedyś słyszał, co to jest ten guz.

- Co mu jest?

Billy wolałby nie odpowiadać, ale musiał. Trzy razy nie wolno się omylić. - Zołzy - powiedział krótko. - Ale nic się nie martw. Wykuruję go. Znam konie, co się wylizały będąc bardziej chore od Gabilana. Teraz mu zrobimy inhalację. Możesz mi pomóc.

- Dobrze - zgodził się Jody zupełnie zgnębiony. Poszedł za Billym do komórki, gdzie trzymano paszę dla koni, i przyglądał się, jak Billy wyciąga worek do inhalacji - długi worek z juty z paskami do zakładania na uszy. Billy w jednej trzeciej napełnił go otrębami, potem dodał parę garści suszonego chmielu, polał to karbolowym kwasem i małą ilością terpentyny. - Wymieszam to razem, a ty skocz do domu i przynieś saganek gotującej wody.

Gdy Jody wrócił z wodą, Billy założył Gabilanowi worek na głowę i dopasował go ciasno, a potem przez mały otwór z boku wlał do mieszanki gotującej wody. Kasztanek zaczął się cofać przestraszony kłębami pary, ale po chwili ostre, uspokajające zapachy dotarły mu do nosa, wypełniły płuca i oczyściły przewody oddechowe. Gabilan oddychał głośno. Nogi drżały mu, oczy zupełnie zamknął przed gryzącą parą. Billy znowu dolał gotującej wody. Przez piętnaście minut trzymał worek na głowie Gabilana. Gdy go zdjął, kasztanek wyglądał nieco lepiej, oddychał swobodniej, oczy otwierał szerzej niż poprzednio.

- Widzisz, jak mu to pomogło! – powiedział Billy. - Teraz owiniemy go derkami. Może do rana będzie zdrów jak złoto.

- Zostanę z nim przez noc - zaproponował Jody.

- Nie ma sensu. Przyniosę tu swoje koce i pościelę sobie na słomie. Jutro będziesz przy nim cały dzień i zrobisz mu inhalację, jeśli okaże się potrzeba.

Zapadał wieczór, gdy wrócili do domu na kolację. Jody nawet się nie zorientował, że ktoś za niego nakarmił kury i napełnił skrzynkę drzewem. Mijając zarośla bożydrzewiu napił się źródlanej wody. Woda była zimna, aż szczypała w usta i budziła dreszczyk. Niebo nad wzgórzami jeszcze nie

zdążyło ściemnieć, Jody widział jastrzębia krążącego tak wysoko, że na podbrzusze padały mu promienie słońca zza gór i ptak wyglądał jak unosząca się w powietrzu iskierka. Atakowały go jakieś dwa czarne ptaszyska zmuszając do obniżenia lotu. Na zachodzie zbierały się znowu deszczowe chmury.

Carl Tiflin nie odzywał się podczas kolacji. Dopiero kiedy Billy Buck zabrał koce i poszedł na noc do stajni, ojciec Jodyego poprawił ogień na kominku i zaczął opowiadać dawne historie. Mówił o dzikim człowieku, który latał po okolicy nagusieńki, miał ogon i uszy konia, o królikokotach z Moro Cojo, które skakały na drzewa łapiąc ptaki. W jego wspomnieniach odżywali sławni bracia Maxwell, którzy znaleźli żyłę złota i tak ją dobrze zamaskowali, że sami już jej nigdy nie mogli odszukać.

Jody podparł brodę dłońmi, nerwowo poruszał ustami, aż wreszcie ojciec zdał sobie sprawę, że syn wcale nie słucha.

- Nie ciekawi cię to? - spytał.

Jody grzecznie się roześmiał i powiedział. - Ciekawi, ojcze.

Ojciec był urażony i zły. Przestał opowiadać. Jody odczekał chwilę, potem wziął latarnię i poszedł do stajni. Billy Buck spał w sianie, a kasztanek wyglądał jakby lepiej, tylko miał głośny, świszczący oddech. Jody postał trochę, palcami gładząc rudą zapuszczoną sierść, wziął latarnię i wrócił do domu. Kiedy leżał już w łóżku, przyszła matka.

- Ciepło ci? Zbliża się zima.

- Ciepło, mamo.

- Śpij dobrze. - Poszła do drzwi, na progu stanęła. - Kasztanek wyzdrowieje, nie bój się.

Jody był zmęczony, szybko zasnął i spał do świtu. Usłyszał bicie w żelazny triangel. Billy Buck przyszedł na śniadanie, nim Jody zdążył pobiec do stajni.

- Jak Gabilan? - spytał Jody.

Billy zawsze pożerał śniadanie. - Dość dobrze. Dziś rano przebiję mu ten guz. Wtedy może mu się poprawi.

Po śniadaniu Billy wziął swój najlepszy nóż, ten, który miał koniec ostry jak igła. Błyszczące ostrze wecował długo na osełce. Sprawdzał kilka razy szpic i ostrze na palcu, a ostatni raz na wardze.

Idąc do stajni Jody zauważył, że trawa paszcza nowe pędy, a rżysko nabiera barw świeżych źdźbeł, które puściły z rozsypanego przy żniwach ziarna. Ranek był słoneczny i zimny.

Ledwo Jody rzucił okiem na Gabilana, już wiedział, że kasztanek jest bardziej chory. Oczy miał zupełnie zamknięte, sklejone zaschniętą ropą, głowę pochylił nisko, tak nisko, że nosem prawie dotykał słomy legowiska. W oddechu krył się jęk, głęboki, zmęczony jęk.

Billy uniósł słabą głowę, przytrzymał ją, wymacał guz i szybko chlasnął nożem. Trysnęła żółta ropa. Jody podtrzymywał głowę kasztanka, gdy Billy przemywał rozcięte miejsce słabym roztworem karbolu.

- No, teraz zrobi mu się lepiej - zapewniał. - Ta żółta trucizna tak go męczyła.

Jody z niewiarą w oczach patrzył na Billy Bucka. - On jest strasznie chory!

Billy długo się zastanawiał, co odpowiedzieć. Omal się zdecydował odrzucić maskę pewności siebie, ale w ostatecznej chwili zrezygnował.

- Owszem, chory to on jest. Ale widziałem konie bardziej chore, co zdrowiały. Jeśli tylko nie dostanie zapalenia płuc, to go wyciągniemy. Ty z nim teraz zostań. Jeśli mu się pogorszy, zawołaj mnie.

Długo po wyjściu Billy'ego Jody stał koło kasztanka głaszcząc go za uszami. Gabilan nie poruszał głową i nie strzygł uszami, jak to robił zawsze, kiedy był zdrowy. Jęki w oddechu stawały się coraz bardziej głuche.

Do stajni zajrzał Doubletree Mutt, pomachał zachęcająco długim ogonem. Jody był taki zły, że Doubletree Mutt jest zdrowy, że wziął z ziemi zeschłą grudę nawozu i cisnął w psa. Skowycząc Doubletree Mutt uciekł w ciemny kąt polizać zranioną łapę.

Koło dziesiątej wrócił Billy Buck i zrobił kasztankowi jeszcze jedną inhalację. Jody pilnie się przyglądał, czy i tym razem Gabilan po zabiegu poczuje się lepiej. Oddech, trochę się poprawił, ale łeb zwisał smutno opuszczony.

Sobota ciągnęła się w nieskończoność. Późnym popołudniem Jody poszedł do domu, skąd wrócił z posłaniem, które rozłożył na sianie. Nie pytał, czy mu wolno. Spojrzenie matki mówiło, że gotowa pozwolić na wszystko. Zapaloną latarnię powiesił w boksie na drucie. Billy kazał co pewien czas nacierać kasztankowi nogi.

O dziesiątej zerwał się wiatr i głośno jęczał po stajni. Mimo zmartwienia Jody poczuł sen-ność, ale nawet kiedy już zasnął, głośno rzężący oddech Gabilana przebijał sen. Przez cały czas Jody słyszał ten oddech, aż się wreszcie obudził. Wiatr hulał po stajni. Jody zerwał się i spojrzał w kierunku boksów. Drzwi od stodoły były otwarte, kasztanek zniknął.

Jody złapał latarnię i wybiegł w wichurę. Gabilan właśnie znikał powoli w mroku, powłóczył nogami, głowę miał opuszczoną. Jody go dopędził i złapał za kosmyk. Gabilan pozwolił spokojnie zaprowadzić się do boksu. Sapał tylko głośniej, z chrap wydobywał mu się ostry świst. Tej nocy Jody już więcej nie zasnął. Rzężenie w piersiach kasztanka stawało się coraz głośniejsze, coraz bardziej przejmujące.

Jody odetchnął z ulgą, gdy rano zjawił się Billy. Billy przez chwilę patrzył na Gabilana, jakby go nigdy w życiu nie widział. Obmacał mu uszy i boki. - Jody - powiedział wreszcie - będę

musiał zrobić coś, czego wolałbyś nie oglądać. Idź do domu.

Jody chwycił go mocno za ramię.

- Nie zastrzelisz go?

Billy poklepał go po ramieniu. - Nie, muszę tylko przebić tchawicę, żeby mógł oddychać. Nos ma zupełnie zatkany. Kiedy wydobrzeje, założymy w tym miejscu guz mosiężny.

Jody nie potrafiłby teraz odejść, nawet gdyby bardzo chciał. To straszne patrzeć, jak Billy będzie rozcinać skórę na podgardlu, ale znacznie gorsza byłaby świadomość, że robi to sam, bez Jody'ego.

- Zostanę tutaj - powiedział smutno. - Czy koniecznie musisz to zrobić?

- Koniecznie. Jeśli zostajesz, przytrzymasz mi głowę. Jeśli tylko nie zrobi ci się niedobrze.

Billy znowu wyciągnął swój spiczasty nóż i znowu ostrzył go równie dokładnie i długo jak za pierwszym razem. Jody trzymał wysoko głowę kasztanka, a Billy wymacywał odpowiednie miejsce. Jody jęknął raz, kiedy błyszczący szpic noża przebił tchawicę. Kasztanek szarpnął się słabo do tyłu i znieruchomiał drżąc na całym ciele. Krew spływała po nożu, po dłoni Billy'ego i po rękawie jego koszuli. Billy pewnie wywiercił okrągły otwór, którym wyszło powietrze z fontanną krwi. Wraz z tlenem kasztanek nagle odzyskał siły. Usiłował nawet stanąć dęba, ale Jody trzymał go mocno za głowę, podczas gdy Billy przemywał ranę roztworem karbolu. Billy znał się na rzeczy. Krew przestała płynąć, powietrze z cichym bulgotaniem wychodziło i wchodziło regularnie.

Na dach stajni zaczęły padać pierwsze krople deszczu z chmur spędzonych nocnym wiatrem. Potem żelazny triangel obwieścił śniadanie.

- Idź i jedz, ja tu poczekam - powiedział Billy. - Musimy pilnować, żeby otwór oddechowy się nie zatkał.

Jody wolno wyszedł ze stajni. Był zbyt zgnębiony, żeby powiedzieć Billy'emu, że wichura wyrwała drzwi stajni i że Gabilan uciekł w nocy z boksu. W mokrym i szarym poranku Jody brnął przez błoto do domu, z premedytacją włażąc we wszystkie kałuże. Matka go nakarmiła i dała suche ubranie. Nie pytała o nic. Może wiedziała, że Jody nie potrafiłby na żadne pytanie odpowiedzieć. Ale kiedy miał już wracać do stajni, podała mu dymiący garnek. - Daj mu to - powiedziała.

Ale Jody nie zabrał garnka. Podziękował i powiedział: - On nic nie będzie jadł - i wybiegł z domu. W stajni Billy pokazał Jody'emu, jak nawijać watę na patyk i przeczyszczać nim otwór w tchawicy, kiedy zbierze się zbyt dużo śluzu.

Do stajni przyszedł też Carl Tiflin i stanął koło boksu Gabilana. Po chwili odwrócił się do chłopca:

- Może lepiej pójdziesz ze mną? Jadę za wzgórze. - Jody potrząsnął głową. - Lepiej chodź - nalegał ojciec.

Billy ze złością obrócił się do Carla Tiflina. - Proszę go zostawić, to jego kasztanek, nie?

Ojciec Jody'ego wyszedł ze stajni bez słowa. Był mocno urażony.

Przez cały ranek Jody pilnował, żeby otwór w tchawicy się nie zatkał i żeby powietrze swobodnie krążyło. W południe kasztanek położył się na boku i wyciągnął szyję. Wrócił Billy.

- Jeśli masz zamiar zostać z Gabilanem na noc, to lepiej się chwilkę zdrzemnij - poradził.

Jody obojętnie wyszedł ze stajni. Niebo było bez chmur, miało barwę mlecznego błękitu. Ptaki gorączkowo polowały na robaki i glisty, które po deszczu wylazły na powierzchnię ziemi.

Jody poszedł do zarośli bożydrzewiu i usiadł koło omszałego koryta. Spojrzał na dom w dole i na ciemny cyprys: bliskie otoczenie, ale jakże dziwnie zmienione. Już nie było wszystkim, tylko tłem rozgrywających się wypadków. Od wschodu wiał zimny wiatr, co znaczyło, że przez pewien czas nie będzie deszczu. Pod nogami Jody widział jasnozielone kłącza nowej trawy, w błocie dokoła koryta widniały setki śladów przepiórek.

Ścieżką warzywnego ogrodu szedł bocząc się Doubletree Mutt. Jody przypomniał sobie, jak dzisiaj rzucił w niego zaschłą grudą, więc go teraz objął za szyję i pocałował w szeroki czarny nos. Doubletree Mutt usiadł i siedział cicho, jakby wiedział, że dzieją się rzeczy poważne. Długim ogonem walił smutno w ziemię. Jody wyciągnął nażartą pchłę z kudłów Mutta i zgniótł ją między palcami. Paskudztwo. Umył potem ręce w chłodnej wodzie źródełka.

Tylko stały szelest wiatru zakłócał ciszę na ranczy. Jody wiedział, że matka nie będzie się gniewać, jeśli on nie przyjdzie dziś na obiad. Wrócił do stajni. Mutt wlazł do budy i długo coś do siebie skomlał.

Billy Buck wstał z ziemi i podał Jody'emu owinięty watą patyk. Kasztanek leżał na boku, nie ruszał się, otwór w tchawicy pulsował. Kiedy Jody zobaczył wysuszoną, martwą sierść Gabilana, zrozumiał, że to już koniec. Widywał często taką sierść na psach i krowach i to był znak, że nie ma ratunku. Usiadł ciężko na skrzynce i otworzył boks. Przez długi czas nie odejmował oczu od pulsującego otworu, wreszcie się zdrzemnął. Popołudnie minęło szybko. Przed zmrokiem matka przyniosła głęboki talerz dymiącego gulaszu, postawiła go na ziemi i odeszła. Jody zjadł trochę i kiedy zrobiło się ciemno, zapalił latarnię. Postawił ją koło głowy kasztanka, żeby dobrze widzieć otwór w tchawicy. Znowu się zdrzemnął. Obudził go chłód nocy. Wiał silny wiatr północny. Ze swojego posłania na sianie Jody przyniósł derkę i owinął się. Gabilan oddychał jakby spokojniej. Otwór w tchawicy pulsował lekko. Jody położył rękę na łbie konia i zasnął. Wiatr wiał coraz silniejszy, Jody przez sen słyszał jego kołatanie w drzwi stajni.

Otworzył oczy w jasność dnia. Wrota stały otworem, Gabilan zniknął. Jody zerwał się i wyleciał na dwór.

W podobnej do szronu rosie na młodej trawie odcisnęły się wyraźnie ślady kopyt - zmęczo-

ne ślady, połączone linią. Gabilan ledwo się wlókł, ślady ginęły w zaroślach bożydrzewiu. Jody pobiegł za nimi. Słońce odbijało się pękami promieni od kawałków białego kwarcu leżących tu i tam na kamienistym gruncie. Idąc za wyraźnym śladem Jody wyczuł nad sobą cień. Spojrzał w górę i zobaczył krążące na tle nieba czarne sępy. Krążyły dostojnie, powoli, coraz niżej, niżej. Ponure ptaki zniknęły wkrótce za grzbietem pagórka. Gnany strachem i wściekłością przyśpieszył kroku, ślady prowadziły krętą ścieżką między wysokimi zaroślami bożydrzewiu.

Na szczyt wzgórza doleciał zadyszany. Stanął na chwilę, głośno sapiąc, w uszach tętniła mu krew. Wreszcie zobaczył: na stoku, na małej polance leżał kasztanek. Jody widział konwulsyjne drgawki jego nóg. W ciasnym kręgu dokoła stały na ziemi sępy czekając przybycia śmierci, której były tak pewne.

Jody rzucił się przed siebie. Wilgotna ziemia tłumiła jego kroki, wysokie krzewy skrywały sylwetkę. Kiedy przybiegł na polankę, było już po wszystkim. Pierwszy sęp siedział na głowie Gabilana i wydziobywał oko, dziób ociekał mu szarą cieczą. Jody wpadł w krąg ptaków jak kot. Czarne bractwo odleciało wielką chmarą, ale ten, co siedział na głowie kasztanka, nie zdążył. Zabierał się do odlotu, gdy Jody schwycił go za skrzydło i ściągnął na ziemię. Drugie skrzydło z wielką siłą trzepnęło chłopca po twarzy; ale nie puścił. Ostre pazury wczepiły mu się w nogę, stawy skrzydeł waliły go z obu stron po głowie. Jody machał na ślepo wolną ręką. Palcami wymacał szyję ptaka. Widział czerwone nabiegłe krwią małe oczka, spokojne, odważne, drapieżne. Goła głowa obracała się w lewo i w prawo. Dziób się rozwarł rzygając cuchnącym płynem. Jody podciągnął kolano i przywalił ptaka ciężarem całego ciała. Jedną ręką dociskał szyję do ziemi, drugą wymacał na ziemi kawałek białego kwarcu. Pierwszy cios rozwalił sępowi dziób, bluznęła ciemna krew.

Jody uderzył drugi raz i chybił. Czerwone odważne oczy dalej wpatrywały się ponad niego, obojętnie, bez strachu. Walił raz po raz kawałkiem kwarcu, aż wreszcie ptak opadł, a jego głowa zamieniła się w krwawą masę. Jody walił ciągle martwego ptaka, jeszcze kiedy Billy Buck odciągał go i przytrzymywał mocno, żeby go uspokoić.

Carl Tiflin czerwoną chustką otarł krew z twarzy chłopca. Jody stracił nagle wszystkie siły. Ojciec końcem buta dotknął sępa.

- Jody - tłumaczył - to nie sęp zabił kasztanka. Nie wiesz o tym?

- Wiem - odparł Jody zmęczonym głosem.

Billy Buck był zły. Wziął Jody'ego na ręce i ruszył w stronę domu. Ale jeszcze powiedział wściekły do Carla Tiflina:

- Oczywiście, że Jody wie. Jezu drogi, człowieku, nie widzisz, co chłopak przeżywa?

II

WIELKIE GÓRY

W rozedrganym gorącu letniego popołudnia mały chłopiec Jody znudzony rozglądał się po ranczy za jakimś interesującym zajęciem. Był już w stajni, rzucał kamieniami w pękate jaskółcze gniazda, aż się rozpadły i na ziemię sypnęła wyściółka ze słomy i starych piórek; potem był w domu, gdzie do pułapki na szczury włożył kawałek starego sera i ustawił ją w miejscu, gdzie kręcił się często Doubletree Mutt, wielkie dobre psisko. Jodym nie kierowało okrucieństwo, po prostu był znudzony długim gorącym popołudniem. Doubletree Mutt oczywiście wpakował swój głupi nos w pułapkę i przyciął go sobie, a potem skowyczał jak zarzynany i z pokrwawionym nochalem pokuśtykał do kąta. Bez względu na to, co Muttowi dolegało, zawsze kuśtykał. Miał już taki zwyczaj. Kiedyś, kiedy był małym szczeniakiem, wpakował się do pułapki na kojota i od tego czasu kuśtykał przy każdej okazji, nawet wtedy, gdy tylko na niego krzyczano.

Kiedy Mutt zaskowyczał, matka Jody'ego zawołała z głębi domu:

- Jody, na miłość boską, przestań dręczyć biedne psisko i znajdź sobie coś do roboty.

Ale Jody poczuł w sobie złość i cisnął w Mutta kamieniem. Potem z ganku wziął procę i poszedł w krzaki chcąc ubić jakiegoś ptaka. Proca była dobra, miała specjalne gumy kupione w sklepie, ale chociaż Jody często polował na ptaki, jeszcze nigdy żadnego nie trafił. Poszedł ścieżką między zagonami warzywnymi, wzbijając bosymi nogami tumany pyłu.

Po drodze znalazł kamień jak wymarzony do procy - okrągły, lekko spłaszczony z jednej strony i dość ciężki, by dobrze szybował w powietrzu. Umieścił go w procy i poszedł w stronę zarośli bożydrzewiu. Zmrużył oczy, zacisnął usta. Po raz pierwszy tego popołudnia był skupiony. W cieniu bożydrzewiu harcowały małe ptaszki - dziobały między liśćmi, zaniepokojone podfruwały parę stóp i znowu wracały do dziobania. Jody naciągnął procę i zbliżał się ostrożnie. Mały drozd podniósł łepek i spojrzał na niego gotów do odlotu. Jody podkradał się ostrożnie, wolniutko stawiając każdy krok. W odległości dwudziestu stóp od zarośli podniósł procę i wycelował. Kamień gwizdnął, drozd przefrunął parę stóp i wpakował się prosto na pocisk. Runął na ziemię z rozbitą główką. Jody podbiegł i podniósł go.

- No, mam cię - powiedział.

Ptaszek wyglądał znacznie mizerniej zabity, niż kiedy latał. Jody znowu poczuł w sobie złość, więc wyjął z kieszeni scyzoryk i odciął drozdowi łepek. Potem odciął mu skrzydełka, łapki,

wreszcie wszystko wyrzucił w krzaki. Nie obchodził go drozd ani jego życie, ale nagle się przestraszył: co powiedzieliby dorośli, gdyby zobaczyli, że zabija ptaki. Prawie się zawstydził z powodu tej potencjonalnej groźby potępienia. Postanowił nie myśleć o tym więcej, najszybciej zapomnieć o całym zdarzeniu i nigdy nikomu nic nie mówić.

O tej porze roku wzgórza były bardzo spalone słońcem, złociła się dziko rosnąca trawa, ale w miejscu, gdzie z rury leciała źródlana woda do okrągłego koryta i koryto się przelewało, wybujała piękna zielona trawa, wybujała wysoko, słodka i wilgotna. Jody napił się wody z omszałego koryta i w zimnej wodzie obmył z rąk krew ptaka. Potem rozciągnął się w trawie i zapatrzył w puszyste letnie chmury. Mrużąc jedno oko zbliżył je do siebie i wydawało się, że wystarczy sięgnąć ręką, by zanurzyć w nich palce. Pomagał też wietrzykowi spychać je w dół nieba; był pewien, że dzięki jego pomocy chmury płyną szybciej. Jednej bardzo puszystej białej chmurze pomógł dojść do grzbietu góry i wypchnął ją szybko poza pole widzenia. Co też ta chmura w tej chwili ogląda? Usiadł, by lepiej widzieć skupisko wysokich szczytów, im dalej tym bardziej ciemniejących, aż wreszcie kończących się postrzępioną granią już na samym chyba zachodzie. Pełne tajemnic, budzące ciekawość góry! Jak bardzo mało o nich wie.

- Co jest po drugiej stronie? - spytał kiedyś ojca.

- Pewno znowu góry. Dlaczego pytasz?

- A po drugiej stronie tamtych gór?

- Znowu góry. Dlaczego pytasz?

- I ciągle dalej są góry i góry?

- No nie, na końcu jest ocean.

- Ale co jest w górach?

- Skały, kosodrzew, kamienne urwiska i susza.

- Byłeś tam kiedy?

- Nie.

- A ktoś kiedyś tam był?

- Paru ludzi. To niebezpieczne góry, pełno przepaści i niebezpiecznych przejść. Czytałem, że w górach okręgu Monterey jest więcej nie zbadanych szczytów niż gdziekolwiek indziej w Stanach. - Ojciec był z tego dumny.

- A potem jest ocean?

- Potem jest ocean.

- Ale między oceanem a górami? - nalegał chłopiec. - Nikt nie wie?

- Kilku ludzi chyba wie. Ale tam nie ma nic, po co by warto chodzić. I wody jest mało. Tylko kamienie, skały i kosodrzew. Dlaczego pytasz?

- Dobrze by tam było pójść.

- Po co? Tam nic nie ma.

Jody jednak wiedział, że tam coś jest, coś bardzo wspaniałego, jak wszystko, co jest nieznane, coś bardzo tajemniczego i ukrytego głęboko. Czuł, że tak musi być. Spytał matki: - Czy wiesz, co jest w Wielkich Górach?

Spojrzała na syna, potem na dzikie szczyty i powiedziała: - Pewno niedźwiedź.

- Jaki niedźwiedź? - zdziwił się.

- No ten, który przeszedł szczyty, żeby zobaczyć, co tam zobaczy.

Jody pytał także Billy Bucka, czy możliwe, że w tych górach są starożytne miasta, ale Billy podzielał zdanie ojca.

- Chyba nie - odparł. - Ludzie nie mieliby tam co jeść, chyba żeby to byli tacy ludzie, co jedzą kamienie.

Więcej Jody'emu nie udało się dowiedzieć i dlatego góry wydawały mu się jeszcze straszniejsze, jeszcze bardziej był ciekaw, co w nich jest. Często myślał o nie kończących się grzbietach, które trzeba przejść, nim się dojdzie do oceanu. Gdy wierzchołki rano gorzały purpurą wschodzącego słońca, Jody'emu zdawało się, że go zapraszają między siebie. A kiedy wieczorem słońce zachodziło za poszarpaną grań, szczyty miały barwę zakrzepłej krwi i stawały się obce, wyniosłe i groźne w swoim dostojeństwie.

Jody leżąc obrócił głowę ku wzgórzom na wschodzie, ku wzgórzom Gabilanu, które były wesołe, pełne ranczy ukrytych w fałdach terenu i sosen rosnących swobodnie na szczytach. Tam mieszkali ludzie, tam na łagodnych zboczach toczono walki z Meksykańczykami. Jody przeniósł wzrok na Wielkie Góry i wzdrygnął się widząc kontrast. Poniżej wzgórza, na którym leżał, rancza jego ojca była zalana słońcem, bezpieczna w miękkim zagłębieniu niecki. Dom bieliło słońce, brunatne belki stajni były miłe dla oka. Rude krowy na sąsiednim wzgórzu skubały trawę posuwając się wolno w kierunku północnym. Nawet ciemny cyprys koło baraku wydawał się jakiś swój i bliski. Kury dziobały w kurzu podwórka podskakując lekkim tanecznym krokiem.

A potem wzrok Jody'ego napotkał sylwetkę człowieka, który pojawił się na grzbiecie wzgórza, na drodze z Salinas, i szedł wolno w stronę ranczy. Jody wstał i też poszedł w stronę ranczy, bo jeśli ktoś miał ich odwiedzić, Jody chciał wiedzieć, kto to taki. Chłopiec był już przy domu, gdy wędrowiec znajdował się dopiero na połowie drogi ze wzgórza. Był to mężczyzna szczupły i prosty w ramionach, a poza tym stary, co Jody mógł poznać po sztywnym kroku. Kiedy się już zbliżył, Jody zobaczył niebieskie bawełniane spodnie i kurtkę z tego samego materiału. Miał na nogach fornalskie buty, na głowie stary kapelusz z szerokim rondem, na plecach spory worek wypchany jakimiś kanciastymi przedmiotami. Gdy się zbliżył, widać było rysy jego twarzy. Twarz miał ciem-

ną jak suszona wołowina, nad ustami zwisały mu wąsy, niebieskobiałe na tle ciemnej skóry, spod kapelusza wystawały kosmyki białych włosów. Skóra na policzkach była tak naciągnięta, że sterczały kości, nie mięśnie, ale kości, a nos i broda wydawały się ostre i kruche. Oczy miał wielkie, głęboko osadzone, ciemne, powieki mocno naciągnięte. Źrenice i tęczówki zlewały się w czerń, tylko gałki oczne pozostawały brunatne. Na twarzy nie dostrzegało się żadnych zmarszczek.

Niebieską kurtkę zapinały pod samą szyję mosiężne guziki, jak zwykle gdy nie ma pod spodem koszuli. Z rękawów wyglądały kościste przeguby i dłonie gruzłowate i pełne niebieskich żył, i twarde jak gałęzie drzewa brzoskwini. Paznokcie miał płaskie, tępe i błyszczące.

Stary mężczyzna podszedł do furtki i worek postawił na ziemi, gdy zobaczył Jodyego. Wargi mu troszkę drżały, odezwał się miękkim pozbawionym wyrazu głosem:

- Mieszkasz tutaj, chłopcze?

Jody był zakłopotany. Obrócił się i spojrzał na dom, obrócił się w drugą stronę i spojrzał na stajnię, gdzie byli ojciec i Billy Buck. - Tak - odparł wreszcie, skoro nie otrzymał pomocy z żadnego kierunku.

- Wróciłem - powiedział stary człowiek. - Jestem Gitano i właśnie wróciłem.

Jody nie mógł wziąć na siebie odpowiedzialności za to wszystko. Wykręcił się na pięcie i pobiegł do domu po posiłki. Trzasnęły za nim głośno drzwi obciągnięte drucianą siatką. Matkę zastał w kuchni, właśnie szpilką do włosów przepychała dziurki durszlaka zagryzając przy tym wargi, gdyż praca wymagała pełnej koncentracji.

- Przyszedł stary człowiek - wykrzyknął Jody podniecony. - Stary p*aisano,* i mówi, że wrócił.

Matka odłożyła sito i wetknęła szpilkę od włosów za deskę zlewu.

- Co się znowu stało? - spytała spokojnie.

- Na dworze jest stary człowiek. Chodź, mamo!

- Czego chce? - Matka odwiązała fartuch i przygładziła palcami włosy.

- Nie wiem. Przyszedł drogą z Salinas.

Matka wygładziła jeszcze suknię i wyszła przed dom. Jody szedł za nią. Gitano stał przed furtką.

- Słucham? - spytała pani Tiflin.

Gitano zdjął stary czarny kapelusz i trzymając go w obu rękach powtórzył: - Jestem Gitano i wróciłem.

- Wróciliście, gdzie wróciliście?

Proste ciało Gitana pochyliło się lekko do przodu. Prawa ręka opisała łuk nad wzgórzami, łagodnymi stokami i skalistymi górami i wróciła do kapelusza. - Z powrotem na ranczę. Tutaj się

urodziłem i mój ojciec tu się urodził.

- Tu? - zdziwiła się matka. - Ta rancza niedawno istnieje.

- Nie tu, tam - powiedział stary mężczyzna wskazując palcem skalny zrąb na zachodzie. - Tam, po drugiej stronie, ale domu już nie ma.

Wreszcie zrozumiała. - W tej starej zmytej prawie lepiance?

- Tak, seniora. Kiedy ranczę rozparcelowali, nikt tam nie mieszkał i deszcze spłukały gliniane cegły.

Matka chwilę milczała, dziwne ciepłe myśli przepływały jej przez głowę, ale szybko się ich pozbyła. - No i co chcecie, Gitano?

- Zostanę tu, póki nie umrę.

- Ale my nie potrzebujemy nikogo do pomocy!

- I tak nie mogę ciężko pracować, seniora. Mogę doić krowy, karmić kury, narąbać trochę drzewa, nic więcej. Zostanę. - Wskazał na worek spoczywający u jego stóp. - Tu mam wszystkie swoje rzeczy.

Pani Tiflin obróciła się do syna. - Leć do stajni, Jody, i zawołaj ojca.

Jody pomknął i po chwili wrócił z Carlem Tiflinem i Billy Buckiem. Stary człowiek stał tam gdzie przedtem, ale widać było, że odpoczywa. Rozluźnił mięśnie i całe ciało jego jakby zapadło się.

- O co chodzi? - spytał Carl Tiflin. - Co Jody jest taki podniecony?

Pani Tiflin wskazała starego człowieka. - On chce tu zostać. Chce wykonywać lekką robotę i zostać na ranczy.

- Nie może zostać. Nie potrzebujemy pomocy. Zresztą jest za stary. Billy robi wszystko, co potrzeba.

Mówili o mężczyźnie, jakoby on sam nie istniał, ale nagle zawahali się, spojrzeli na Gitana i poczuli się skrępowani.

Gitano odchrząknął. - Ja jestem za stary, żeby pracować. Wróciłem, bo tu się urodziłem.

- Nie urodziliście się tutaj - powiedział ostro Carl Tiflin.

- Nie, w glinianym domu za wzgórzem. Nim pan przyszedł, to było wszystko jedną ranczą.

- W lepiance, której resztki tam stoją...?

- Tak. Ja i mój ojciec. Zostanę tu na ranczy.

- A ja wam mówię, że nie zostaniecie! - powiedział ze złością Carl Tiflin. - Nie potrzebuję starego człowieka. To jest mała rancza, nie mogę sobie pozwolić na dawanie jedzenia i płacenie doktora dla starego człowieka. Na pewno macie krewnych albo przyjaciół. Idźcie do nich. Po co żebrać u obcych?

- Tu się urodziłem - powiedział cierpliwie i nieugięcie Gitano.

Carl Tiflin nie lubił być okrutnym, ale czuł, że teraz musi twardo stać przy swoim. - Możecie dzisiaj z nami zjeść - powiedział. - Możecie też przespać się w małej izbie starego baraku. Rano damy wam śniadanie, ale potem musicie sobie iść. Idźcie do przyjaciół. Nie przychodzi się umierać do obcych.

Gitano włożył czarny kapelusz i schylił się po worek.

- Tu mam swoje rzeczy - powiedział.

Carl odwrócił się. - Chodź, Billy, skończymy robotę w stajni. Jody, pokaż mu izbę w baraku.

Carl Tiflin i Billy wrócili do stajni, pani Tiflin do domu, mówiąc jeszcze przez ramię: - Przygotuję parę koców.

Gitano z pytaniem w oczach spojrzał na Jody'ego.

- Pokażę ci, gdzie to jest - powiedział Jody.

W izbie była prycza z materacem z gałganów, skrzynka, na niej blaszana latarnia, obok fotel bujający bez oparcia. Gitano ostrożnie płożył worek na podłodze i potem usiadł na pryczy. Jody stał cichutko nie mając ochoty odejść. Wreszcie powiedział:

- Czy przyszedłeś z Wielkich Gór?

- Gitano potrząsnął powoli głową. - Nie, pracowałem w dolinie Salinas.

Popołudniowe myśli nie chciały opuścić Jody'ego. - Czy byłeś kiedy w Wielkich Górach tam na zachodzie?

Stare ciemne oczy znieruchomiały i zwróciły się ku minionym latom, które żyły w głowie Gitana.

- Jeden raz, kiedy byłem małym chłopcem. Poszedłem tam z moim ojcem.

- Aż tam daleko, w same góry?

- Tak.

- I co tam było? - wykrzyknął Jody. - Byli tam jacyś ludzie albo domy?

- Nie.

- A co było?

Oczy Gitana pozostały zamknięte dla świata, płonęły wspomnieniami. Na czole pojawiła mu się zmarszczka.

- Coś tam widział? - powtórzył Jody.

- Nie wiem - odparł Gitano. - Nie pamiętam.

- Było tam strasznie i sucho?

- Nie pamiętam.

W swoim podnieceniu Jody stracił cały lęk i skrępowanie. - Nic sobie nie przypominasz z tych gór?

Gitano otworzył usta, by powiedzieć słowo. Usta trzymał otwarte, myśl szukała słowa. - Było tam chyba bardzo spokojnie. I chyba bardzo dobrze. - Oczy Gitana odnajdywały coś w minionych latach, bo zmiękły nagle, zdawał się w nich pojawiać i znikać drobny uśmiech.

- I nigdy już nie wróciłeś w te góry? - nalegał Jody.

- Nie.

- Nie chciałeś nigdy wrócić?

Twarz Gitana zaczęła wyrażać zniecierpliwienie.

- Nie - odparł tonem, który wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie chce więcej mówić na ten temat. Jody, zafascynowany, nie odchodził. Nie mógł odejść od Gitana. Powróciło skrępowanie.

- Chciałbyś iść do stajni i obejrzeć zwierzęta? Gitano wstał, nałożył kapelusz gotów iść za chłopcem.

Był prawie wieczór. Stanęli koło wodopoju, podczas gdy konie schodziły ze stoków na wieczorne pojenie. Gitano oparł wielkie gruzłowate dłonie na najwyższej żerdzi płotu. Pięć koni zeszło na dół i piło wodę, potem odeszło na bok skubiąc listki trawy albo trąc się bokami o wytarte słupki. Dopiero jak te pięć koni się napiło, na szczycie wzgórza stanął stary koń i ciężko zaczął schodzić w dół. Miał długie, żółte zęby, kopyta płaskie i ostre jak łopaty, spod skóry sterczały mu żebra i kości zadu. Pokuśtykał do wodopoju i głośno pił wodę.

- To Easter - tłumaczył Jody. - Pierwszy koń mojego ojca. Ma trzydzieści lat. - Spojrzał w stare oczy Gitana oczekując jakiejś uwagi.

- Do niczego już - powiedział Gitano. Ojciec Jody ego i Billy Buck wyszli ze stajni i podeszli bliżej.

- Za stary, żeby pracować - powtórzył Gitano. - Tylko je i szybko umrze.

Carl Tiflin usłyszał ostatnie słowa. Niechętnie okazywał brutalność wobec Gitana, więc okazał ją jeszcze raz.

- Prosi się, żeby go dobić - powiedział. - Oszczędziłoby mu to wiele cierpienia. - Spojrzał spod oka na Gitana, żeby zobaczyć, czy stary człowiek kojarzy to ze swoim przypadkiem, ale wielkie kościste dłonie nawet nie drgnęły, ciemne oczy nie opuściły sylwetki konia. - Starym trzeba oszczędzać cierpienia - ciągnął ojciec Jody'ego. - Jeden strzał, trochę hałasu, chwila bólu i po wszystkim. To lepsze niż sztywność w kościach.

Billy Buck wtrącił: - Stare konie mają prawo do odpoczynku. Pracowały całe życie. Może właśnie lubią tak sobie chodzić i nic nie robić.

Carl Tiflin nie odrywał oczu od kościstej szkapy. - Nie wyobrażacie sobie, jak Easter kiedyś

wyglądał - powiedział cicho. - Długa szyja, szeroka pierś, piękny kadłub. Z miejsca potrafił przeskoczyć pięcioszczeblową bramkę. Kiedy miałem piętnaście lat, wygrałem na nim bieg terenowy. Dawali mi wtedy za niego dwieście dolarów. Nikt by się teraz nie domyślił, jaki to był piękny koń. - Zamilkł, ponieważ nie lubił się roztkliwiać. - Trzeba by go dobić - powiedział.

- Ma prawo do odpoczynku - upierał się Billy Buck.

Ojcu Jodyego przyszła do głowy zabawna myśl. Obrócił się do Gitana: - Gdyby na stokach rosły jaja z szynką, też bym was zatrzymał i wypuścił na pastwisko. Ale nie mogę sobie pozwolić na pasienie was w mojej kuchni.

Zaśmiał się do Billy Bucka z dowcipu, gdy obaj ruszyli w stronę kuchni. - Dobrze by było dla wszystkich, gdyby na łące rosły jajka z szynką.

Ojciec szukał sposobu dokuczenia staremu Gitano. Ojciec wypróbował już wiele sposobów na Jodym, dobrze wiedział, jak zranić uczucia chłopca, jak go urazić słowem.

- On tylko tak mówi - powiedział Jody. - Wcale nie ma zamiaru zabijać Eastera. On lubi Eastera. To jego pierwszy koń.

Słońce utonęło za wysokimi górami, na ranczy zrobiło się cicho. Wieczorem Gitano był jakiś bardziej swobodny. Wydał dziwny ostry dźwięk i wyciągnął rękę za ogrodzenie. Stary Easter sztywno podszedł bliżej. Gitano klepał chudą szyję.

- Podoba ci się? - spytał cicho Jody.

- Podoba. Ale to koń do niczego.

Usłyszeli bicie prętem w żelazny triangel.

- Kolacja! - zawołał Jody. - Chodź na kolację.

Kiedy szli w stronę domu, Jody znowu zauważył, że Gitano trzyma się prosto jak młody. Tylko sztywność ruchów i powłóczenie nogami wskazywały, że jest już stary.

Indyki ciężko podfruwały na niższe gałęzie cyprysu. Tłuste domowe kocisko szło drogą niosąc wielkiego szczura. Ogon szczura wlókł się po ziemi. Na stokach wzgórza przepiórki porozumiewały się dźwięcznymi okrzykami.

Jody i Gitano podeszli pod schody kuchenne; pani Tiflin widziała ich przez siatkę, którą obciągnięta była rama drzwi.

- Szybko, Jody! Proszę na kolację, Gitano! Carl Tiflin i Billy Buck już jedli siedząc przy długim stole pokrytym ceratą. Jody wsunął się na swoje krzesło nie ruszając go z miejsca. Gitano stał dalej trzymając w rękach kapelusz, póki Carl Tiflin nie podniósł głowy i nie powiedział: - Siadajcie. Trzeba sobie dobrze napchać brzuch przed dalszą drogą. - Carl się obawiał, że może ustąpić i pozwoli staremu człowiekowi zostać na ranczy. Szorstkie słowa pomagały mu zapamiętać, że tego nie wolno robić.

Gitano położył kapelusz na ziemi i z godnością usiadł. Nie sięgał po jedzenie, więc Carl mu je podsunął.

- No, jedzcie, jedzcie!

Gitano jadł bardzo wolno, krając mięso na drobniutkie kawałeczki i biorąc maleńkie porcyjki tłuczonych kartofli na talerz.

Sytuacja nie przestawała drażnić Carla Tiflina.

- Nie macie żadnych krewnych w okolicy? - spytał.

Gitano odpowiedział z pewną dumą w głosie: - Mój szwagier jest w Monterey. I paru kuzynów.

- Więc możecie mieszkać z nimi, nie?

- Urodziłem się tutaj - odparł Gitano z delikatną wymówką w głosie.

Z kuchni wyszła matka Jody'ego niosąc wielką salaterkę budyniu z tapioki.

Carl zakrztusił się ze śmiechu mówiąc jej: - Czy ci mówiłem, co mu powiedziałem? Powiedziałem, że jeśliby na stokach rosły jajka z szynką, to mógłby zostać. Wypuściłbym go na nasze pastwisko jak starego Eastera.

Gitano patrzył w talerz.

- Szkoda, że on nie może zostać - stwierdziła pani Tiflin.

- No, tylko nie wyskakuj mi znowu z takimi pomysłami - obruszył się Carl Tiflin.

Po kolacji Carl Tiflin, Jody i Billy Buck poszli posiedzieć chwilę w sąsiednim pokoju, ale Gitano bez słowa pożegnania czy podziękowania wyszedł na dwór. Jody spod oka przyglądał się ojcu. Ojciec był zacięty i zdecydowany.

W okolicy kręci się pełno tych starych *paisanos* - powiedział Carl Tiflin do Billy Bucka.

- Cholernie dobrzy ludzie - bronił ich Billy. - Potrafią pracować w późniejsze lata niż biali. Widziałem jednego, co miał sto i pięć lat i jeszcze jeździł konno. Nie spotka się białego w tym wieku, żeby przeszedł pieszo dwadzieścia albo trzydzieści mil.

- Twardzi są, to prawda - zgodził się Carl. - Ty też za nim gadasz? Słuchaj mnie, Billy, i tak ciężko mi utrzymać ranczę, żeby nie puścić jej w łapy Banku Włoskiego, a ty gadasz o jeszcze jednej gębie do żywienia. Rozumiesz chyba, Billy?

- Rozumiem, rozumiem. Gdyby pan był bogaty, wszystko byłoby inaczej.

- Święta prawda, a on ma krewnych, do których może pójść. Szwagier i kuzyni. Tuż obok, w Monterey. Dlaczego ja się mam nim zajmować?

Jody siedział cicho i słuchał, i zdawało mu się, że słyszy też łagodny głos Gitana i jedno zdanie, na które nie ma odpowiedzi: „Ja się tu urodziłem". Gitano był tak samo tajemniczy jak Wielkie Góry. Za wysokimi szczytami są jeszcze wyższe szczyty i za ostatnią widoczną granią, pod

samym niebem, znajdowała się tajemnicza kraina. Gitano był starym człowiekiem, póki się nie spojrzało w jego matowe czarne oczy. W głębi tych oczu było coś, do czego nie można dotrzeć. I nie mówił tyle, by można odgadnąć, co się kryje w głębi tych oczu. Jody'ego nieodparcie ciągnęło do starego baraku. Zsunął się z krzesła, kiedy ojciec coś mówił do Billyego, i wyszedł nie zwracając niczyjej uwagi.

Noc była bardzo ciemna i daleko niosła odgłosy zza wzgórza, którym biegła droga. Jody szedł po omacku ciemnym podwórzem. Z okna baraku padało światło. Ponieważ noc była taka tajemnicza, Jody cichutko podkradł się pod okno i zajrzał do środka. Gitano siedział w bujającym fotelu, plecami odwrócony od okna. Prawą ręką poruszał miarowo tam i z powrotem. Jody otworzył drzwi i wszedł do środka. Gitano poderwał się i chwytając kawałek jeleniej skóry usiłował zakryć to, co trzymał. Ale skóra się zsunęła. Jody stał skamieniały patrząc na piękny smukły rapier ze złoconą rękojeścią. Klinga była cieniutka jak wątły promień ciemnego światła. Rękojeść była pokryta intarsją i pięknie rzeźbiona.

- Co to jest? - spytał Jody.

Gitano spojrzał na chłopca niechętnymi oczami, podniósł jelenią skórę, która spadła na ziemię, i owinął dokładnie piękną klingę.

Jody wyciągnął rękę. - Mogę to zobaczyć?

W oczach Gitana zapalił się zły ogień. Stary człowiek potrząsnął przecząco głową.

- Skąd to masz? Skąd to jest?

Gitano patrzył mu teraz głęboko w oczy, jakby się zastanawiał, czy odpowiedzieć.

- Dostałem to od mojego ojca.

- A skąd on to miał?

Gitano spojrzał na podłużny pakunek w ręku.

- Nie wiem.

- Nigdy ci nie powiedział?

- Nie.

- Co tym robisz? Gitano spojrzał zdziwiony.

- Nic. Chowam to.

- Mogę obejrzeć?

Stary człowiek powoli odwinął błyszczącą klingę i przez chwilę pozwolił jej skrzyć się w świetle lampy. Potem zawinął ją.

- Idź sobie. Chcę spać.

Zgasił lampę, nim Jody zamknął za sobą drzwi. Wracając w stronę domu Jody już wiedział, wiedział to lepiej niż cokolwiek w życiu, że nie wolno nikomu powiedzieć o rapierze. To byłoby

straszne, gdyby ktoś się o tym dowiedział, zniszczyłoby to jakąś delikatną konstrukcję prawdy. Prawdy, którą unicestwić mogą ludzie.

Na ciemnym podwórku Jody minął Billy Bucka.

- Rodzice cię szukają - mruknął Billy.

Jody wśliznął się do pokoju. Ojciec podniósł głowę.

- Gdzie byłeś?

- Wyszedłem zobaczyć, czy w nową pułapkę złapał się jakiś szczur.

- Czas spać - powiedział ojciec.

Następnego dnia rano Jody przyszedł pierwszy na śniadanie. Potem wszedł ojciec, a ostatni Billy Buck. Pani Tiflin wyjrzała z kuchni.

- Gdzie stary Gitano, Billy? - spytała.

- Pewno gdzieś poszedł - odparł Billy. - W baraku go nie ma.

- Wcześnie wyszedł. Do Monterey daleka droga dorzucił Carl Tiflin.

- Nie - odparł Billy. - W pokoju został worek.

Po śniadaniu Jody poszedł do baraku. W słońcu na szybach wygrzewały się muchy. Tego dnia rancza wydawała się bardziej spokojna i cicha niż zawsze. Kiedy Jody się upewnił, że nikt go nie widzi, wszedł do izdebki i zajrzał do worka Gitana. Znalazł parę bawełnianych kalesonów, parę bawełnianych spodni i trzy pary wytartych skarpetek. Nic więcej. Chłopca ogarnęło uczucie osamotnienia. Wracał wolno w stronę domu. Na ganku stał ojciec rozmawiając z matką.

- Stary Easter, zdaje się, wreszcie zdechł - mówił. - Nie przyszedł dziś rano do wodopoju z innymi końmi.

Przed samym południem przyjechał Jess Taylor z ranczy na wzgórzu.

- Sprzedałeś tego swojego starego stracha na wróble, Carl?

- Skądże! Dlaczego pytasz?

- No bo dzisiaj rano widziałem dziwną rzecz. Widziałem starego człowieka na starym koniu, bez siodła, miał kawałek sznurka za uździenicę. Nie jechał drogą, tylko pchał się prosto przez bożydrzew. Chyba miał strzelbę. W każdym razie miał coś błyszczącego w ręku.

- To stary Gitano - powiedział Carl Tiflin. - Sprawdzę, czy nie zaginęła mi któraś z moich strzelb. - Wszedł do domu i zaraz wrócił. - Nie, wszystkie są. W którym kierunku jechał, Jess?

- To też bardzo dziwne. Jechał prosto na Wielkie Góry.

Carl roześmiał się. - Ludzie nigdy nie są za starzy do kradzieży - powiedział. - Bo on po prostu ukradł Eastera.

- Będziesz go gonił, Carl?

- A po co? Zaoszczędzę sobie na grzebaniu starej szkapy. Ciekaw tylko jestem, skąd on miał

strzelbę. I czego on tam szuka w górach?

Jody szedł ścieżką między zagonami warzywnymi w stronę zarośli bożydrzewiu. Wytężył wzrok w kierunku wznoszących się ku niebu szczytów górskich - przeszukiwał wierzchołek po wierzchołku. Nie ujrzał żadnego oceanu. Przez chwilę zdawało mu się, że widzi czarny punkcik czołgający się po najdalszym widocznym zboczu.

Jody myślał o rapierze i o Gitano. I myślał o Wielkich Górach. Przyszła nań tęsknota tak wielka, że chciało mu się płakać, wypłakać wszystko, co czuł. Położył się w zielonej trawie obok koryta z wodą. Zasłonił oczy skrzyżowanymi rękami i leżał bardzo długo, i wypełniał go żal, którego nie potrafiłby określić.

III

OBIETNICA

Któregoś dnia po południu, wiosną, mały chłopiec Jody wracał na ranczę drogą wśród bożydrzewiu. Walił kolanem w blaszane pudełko po margarynie, w którym zabierał do szkoły śniadanie, imitował bęben, cmokając zaś językiem i gwiżdżąc przez zęby uzupełniał brak innych instrumentów orkiestry. Przed kilkoma minutami pozostali żołnierze kompanii, która maszerowała tak dziarsko ze szkoły, opuścili szeregi skręcając w koleiste drogi małych kanionów prowadzących do okolicznych ranczy. Teraz Jody maszerował właściwie sam podnosząc wysoko kolana i wystukując rytm nogami, ale tuż za nim szła niewidoczna armia świata wyobraźni, cicha, ale groźna, łopotały wielkie sztandary i błyszczały w słońcu obnażone miecze.

Wiosna zabarwiła popołudnie złotem i zielenią. Pod rozłożystymi gałęziami dębów mnożyły się kolonie bladych roślin, na wzgórzach pasza była soczysta, ładna i bujna. Bożydrzew błyszczał srebrem nowych liści, dęby pokrywały się kapturami jasnej zieleni. Znad wzgórz płynął zapach tak słodki, że konie w dolinach latały jak oszalałe i stawały zdumione. Jagnięta a nawet stare owce ni stąd, ni zowąd podskakiwały wysoko w powietrze, lądowały na sztywnych nogach i potem jakby nigdy nic zabierały się do dalszego jedzenia. Młode niezdarne cielaki potykały się o siebie, zbijały głowami, odskakiwały i znowu potykały.

Kiedy mijała je szara cicha armia Jody ego zwierzęta przerywały jedzenie i zabawy, podnosiły łby i przyglądały się przemarszowi.

Nagle Jody stanął. Armia stanęła zdziwiona, zaniepokojona. Jody ukląkł. Przez chwilę w

bezszelestnych szeregach panowało zamieszanie, a potem, z lekkim westchnieniem żalu, kolumna wojowników oderwała się od ziemi i rozpłynęła w przestrzeni szarą niewidzialną mgiełką. Jody zobaczył rogatą ropuchę. Umorusane chłopięce palce wyciągnęły się chciwie i złapały za kolczastą koronę zakurzonego wędrowca, który wywijał się rozpaczliwie. Jody trzymał ropuchę mocno, obrócił ją do góry bladozłotym podbrzuszem, połaskotał delikatnie, aż mały stworek się uspokoił, zamknął oczy i leżał półsenny i rozmarzony.

Jody otworzył pudełko do śniadań i schował w nim pierwszą zdobycz. Poszedł dalej, na zgiętych nieco kolanach, plecy miał pochylone, gołe stopy z rozwagą i bez hałasu wybierały drogę. W prawej ręce trzymał teraz długą strzelbę. Bożydrzew szumiał spokojnie szumem puszczy pełnej szarych tygrysów i niedźwiedzi. Polowanie szło świetnie i nim stanął na rozwidleniu dróg, gdzie na białym słupku wisiała skrzynka do listów, złapał jeszcze dwie żaby, cztery małe jaszczurki, niebieskiego węża, szesnaście żółtoskrzydłych koników polnych i brunatnego trytona. Cała ta menażeria podróżowała bardzo niewygodnie, obijając się o blachę pudełka śniadaniowego.

Na rozwidleniu dróg strzelba ulotniła się, tygrysy i niedźwiedzie zniknęły ze stoków, przestała nawet istnieć nieszczęśliwa zbieranina w pudełku śniadaniowym, ponieważ na skrzynce do listów podniesiona była czerwona metalowa chorągiewka, co oznaczało, że w skrzynce jest korespondencja. Jody odstawił blaszane pudełko i otworzył skrzynkę, z której wyjął katalog domu wysyłkowego i *Salinas Weekly Journal*. Zatrzasnął skrzynkę, zabrał pudełko śniadaniowe i puścił się biegiem ze wzgórza. Minął pędem stajnię, resztki stogu, barak, w którym mieszkał Billy, wysoki cyprys i wpadł do domu przez obciągnięte drucianą siatką drzwi wołając:

- Mamo, mamo, jest katalog.

Pani Tiflin łyżką napełniała zsiadłym mlekiem płócienny woreczek. Odłożyła łyżkę i pod zlewem umyła ręce. - Chodź do kuchni, Jody! Tu jestem! - zawołała.

Jody wleciał do kuchni i z hałasem rzucił pudełko śniadaniowe koło zlewu.

- Masz, mamo! Mogę otworzyć katalog, mamo?

Pani Tiflin wzięła łyżkę i wróciła do robienia sera.

- Tylko nie zgub go, Jody. Ojciec będzie chciał obejrzeć.

Wyskrobała resztkę mleka i wrzuciła do woreczka. - Jody, ojciec chciał z tobą porozmawiać, nim pójdziesz do swoich zajęć.

Odpędziła muchę krążącą nad woreczkiem. Jody ze strachem zamknął katalog.

- Że co, mamo?

- Dlaczego nigdy nie słuchasz, jak się do ciebie mówi? Powiedziałam, że ojciec chce z tobą porozmawiać.

Chłopiec ostrożnie położył katalog na desce koło zlewu.

- Czy nie wiesz... czy chodzi o coś, co zrobiłem?

Pani Tiflin roześmiała się.

- Zawsze masz nieczyste sumienie. A coś takiego zrobił?

- Nic, mamo - powiedział nieprzekonująco. Ale naprawdę nie mógł sobie nic przypomnieć, a poza tym czy można z góry przewidzieć, co zostanie po fakcie zaliczone do przestępstw?

Matka zawiesiła pełny worek na gwoździu nad zlewem.

- Powiedział tylko, że chce, żebyś do niego poszedł zaraz po powrocie ze szkoły. Jest gdzieś koło stajni.

Jody wyszedł na dwór. Usłyszał krzyk matki, która otworzyła pudełko śniadaniowe, i przypomniał sobie polowanie. Truchtem poleciał do stajni udając, że nie słyszy gniewnego wołania.

Carl Tiflin i Billy Buck, robotnik na ranczy, stali oparci o ogrodzenie korralu; jeden i drugi postawił nogę na najniższej żerdzi ogrodzenia, łokcie rozłożyli na górnej żerdzi. Rozmawiali właściwie o niczym. Na pastwisku sześć koni skubało z zadowoleniem słodką trawę. Klacz Nellie stała pod bramą ocierając się zadem o gruby słup.

Jody zbliżył się niepewnie, kołując, pociągając trochę nogami w piachu, żeby nadać sobie pozory wielkiej swobody i nonszalancji. Kiedy wreszcie stanął obok mężczyzn, też postawił nogę na najniższej żerdzi, oparł łokcie o drugą powyżej i też zaczął przyglądać się koniom. Carl Tiflin i Billy Buck spojrzeli na niego z ukosa.

- Czekałem na ciebie - oświadczył ojciec surowym głosem, który miał zawsze w zanadrzu dla dzieci i zwierząt.

- Słucham, ojcze - powiedział Jody z miną winowajcy.

- Billy mówi, żeś się dobrze opiekował kasztankiem.

A więc nie groziła żadna kara. Jody poczuł się pewniej - Tak, ojcze, opiekowałem się nim.

- Billy powiada, że masz cierpliwość do koni.

Jody'ego ogarnęła fala ciepłego uczucia dla Billy Bucka.

Billy wtrącił: - Ujeżdżał kasztanka jak stary.

Carl Tiflin powoli dochodził do celu. - Jeślibyś dostał drugiego konia, też byś się nim dobrze opiekował?

Jody zadrżał. - Na pewno, ojcze.

- Więc słuchaj, Billy powiada, że najlepszy sposób nauczenia się wszystkiego o koniach, to zacząć od opieki nad źrebakiem.

- Jedyny sposób - wtrącił Billy.

- Jess Taylor z ranczy na wzgórzu ma dobrego ogiera - podjął ojciec. - Ale to będzie kosztowało pięć dolarów. Ja wyłożę pieniądze, ty je odpracujesz w lecie. Chcesz?

Jody dygotał w gorączce.

- Bardzo, ojcze.

- I nie będziesz potem narzekał? Nie będziesz zapominał, kiedy ci się coś każe zrobić?

- Nie, ojcze.

- Więc dobrze. Jutro rano zabierzesz Nellie na ranczę Jessa, żeby ją odstanowić. Będziesz się nią też musiał opiekować do urodzenia źrebaka.

- Dobrze, ojcze.

- Nakarm teraz kury i przynieś drzewa. Jody poleciał. Przechodząc za Billy Buckiem miał ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć nogi w niebieskich bawełnianych spodniach. Do domu wszedł kołysząc ramionami, dojrzały i poważny. Zabrał się do roboty z nie spotykaną u niego gorliwością. I tego wieczoru nie sypał ziarna w jedno miejsce, ptaki nie musiały wskakiwać sobie na grzbiet i walczyć o każde ziarenko, o nie! Rozrzucał ziarno szeroko, tak szeroko, że biedne kury nie wszystko mogły znaleźć. A potem w domu, wysłuchawszy lamentów matki i przypowieści o karach, jakie spotykają chłopców, którzy napełniają pudełka śniadaniowe oślizłymi, na pół uduszonymi gadami i robactwem, obiecał już tego nigdy więcej nie robić. Jody jak najpoważniej zaliczał takie zachowanie do przeszłości. Jest już stanowczo za dorosły, aby pakować do blaszanych pudełek żaby. Przyniósł tyle drzewa i ułożył tak wysoki stos nad skrzynią, że matka obchodziła je z daleka obawiając się lada chwila dębowej lawiny. Kiedy skończył domowe zajęcia, kiedy zebrał wszystkie jajka, które od tygodni leżały po rozmaitych zakamarkach, poszedł jeszcze raz ścieżką koło cyprysu i baraku w stronę korralu. Spod wodopoju spojrzała na chłopca tęga ropucha, ale nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia.

Carla Tiflina i Billy Bucka już nie było koło ogrodzenia. Z metalicznych odgłosów w oborze Jody domyślał się, że Billy Buck bierze naczynia i ma zamiar doić krowę.

Konie szczypały trawę w górnej części pastwiska, ale Nellie nadal ocierała się nerwowo o pale płotu. Jody wolno podszedł mówiąc:

- Dobra Nellie, dobra!

Nellie położyła zaczepnie uszy, obróciła łeb i odsłoniła żółte zębiska. Oczy miała szkliste i rozgorączkowane. Jody wdrapał się na ogrodzenie, zwiesił nogi na drugą stronę i spojrzał ojcowskim wzrokiem na klacz.

Nadciągał wieczór. Dokoła łopotały nietoperze. Billy Buck idąc w stronę domu z pełnym wiadrem mleka zobaczył Jody'ego i zatrzymał się.

- Będziesz musiał długo czekać - powiedział łagodnie. - Znudzisz się czekaniem.

- Nie znudzę się, Billy. A jak długo?

- Prawie rok.

- Niech będzie. Nie znudzę się.

Na ranczy rozległ się przenikliwy głos żelaznego triangla. Jody zlazł z ogrodzenia i pomaszerował z Billy Buckiem. Nawet trzymał za wiadro pomagając je nieść.

Następnego dnia po śniadaniu Carl Tiflin zawinął w gazetę pięciodolarowy papierek i przypiął go szpilką do kieszonki kombinezonu Jody'ego. Billy Buck założył Nellie ogłowie i wyprowadził ją z pastwiska na drogę.

- Tylko uważaj - powiedział. - Trzymaj ją krótko, żeby cię nie mogła ugryźć. Jest rozdrażniona jak kot marcowy.

Jody wziął do ręki sznur i poprowadził szarpiącą się za nim Nellie do ranczy na wzgórzu. Łąki po obu stronach drogi pełne były gorzkiego owsa, którego strąkowate pancerze właśnie pękały. Gorące słońce poranka tak mile przygrzewało Jody'ego w plecy, że mimo całej powagi dojrzałego wieku musiał podskoczyć od czasu do czasu na sztywnych nogach. Na ogrodzeniach połyskliwe kacyki o czerwonych epoletach wystukiwały swoje oschłe wezwania, skowronki śpiewały, jak śpiewa woda w źródełku, a dzikie gołębie kryjące się w gąszczu świeżych liści dębowych wydawały opanowane odgłosy smutku. Na polach opalały się króliki i tylko ich widełkowate uszy wystawały nad trawą.

Po godzinie, idąc stale pod górę, Jody skręcił w wąską drożynę, która jeszcze stromiej prowadziła do ranczy na wzgórzu. Ponad koronami dębów widać już było czerwony dach stajni i obór, wiatr przynosił obojętne ujadanie psa koło domu.

Nagle Nellie szarpnęła się do tyłu i prawie wyrwała chłopcu z ręki. Od strony stajni dobiegło przenikliwe rżenie i trzask łamanych desek, a potem gniewny głos mężczyzny. Nellie zaparła się kopytami w ziemię i pojękiwała. Kiedy Jody mocno ją pociągnął za sznur, rzuciła się z obnażonymi zębami chcąc gryźć. Jody rzucił linkę i zemknął między krzaki. Usłyszał znowu jazgotliwe rżenie zza dębów, a potem odzew Nellie. Waląc kopytami w ziemię pojawił się na szczycie wzgórza ogier i runął galopem w dół ciągnąc za sobą urwany sznur. Ślepia płonęły mu gorączką, wzdęte chrapy były czerwone jak ogień. Czarna gładka sierść lśniła w słońcu. Ogier pędził tak szybko, że nie mógł się zatrzymać dopadłszy klaczy. Nellie położyła uszy, zakręciła się i wierzgnęła, kiedy przelatywał. Ogier miotał się dokoła i stanął dęba. Przednim kopytem trafił klacz. Nellie zachwiała się od tego ciosu, ogier zwarł zęby na jej karku. Pojawiło się parę kropel krwi. Nellie natychmiast się uspokoiła i zaczęła kokietująco muskać pyskiem sklepioną szyję ogiera, dreptać w miejscu i ocierać się bokiem o jego bok. Jody stał w krzakach i przyglądał się. Usłyszał za sobą parskanie, ale nim zdążył się obrócić, jakaś ręka chwyciła go za paski kombinezonu i uniosła w powietrze. Jess Taylor posadził chłopca za sobą na koniu.

- Sundog mógł cię stratować - powiedział. - Czasami jest gorszy niż diabeł. Zerwał sznur i

rozbił ogrodzenie.

Jody siedział chwilę spokojnie, ale nagle krzyknął:

- On jej zrobi krzywdę. On ją zabije, proszę go zabrać!

Jess się roześmiał. - Nic jej nie będzie. Może lepiej zleź z konia i pójdź na chwilę do domu. Znajdzie się tam dla ciebie kawałek ciasta.

Ale Jody potrząsnął głową.

- Ona jest moja i źrebak będzie mój. Będę go wychowywał.

Jess skinął głową. - świetny pomysł. Carl ma czasami dobrze w głowie.

Po chwili wszystko się skończyło. Jess zsadził Jodyego na ziemię, wziął w rękę urwany koniec sznura i poprowadził Sundoga, a za nim Jody swoją klacz.

Dopiero potem, jak odpiął zawinięte w gazetę pięć dolarów i oddał je, jak zjadł dwa kawałki ciasta, wyruszył w powrotną drogę. Nellie szła bardzo posłusznie i spokojnie, tak spokojnie, że Jody wsiadł na nią z przydrożnego pnia i jechał do samego domu.

Pięć dolarów wyłożone przez ojca zapędziło Jody'ego w niewolę na całą wiosnę i lato. Pomagał przy koszeniu siana, zbieraniu go z pola, zwożeniu, a kiedy robiono bele, prowadził konia w kieracie. W dodatku Carl Tiflin nauczył go też doić krowy, tak że do codziennych domowych zajęć doszło jeszcze jedno.

Kasztanka Nellie zrobiła się bardzo łagodna. Kiedy pasła się na żółknących stokach wzgórz albo chodziła w lekkim zaprzęgu, wykrzywiała wargi w głupawym uśmiechu. Ruchy miała leniwe, wykonywała wszystko z powagą władczyni, w parze ciągnęła równo i obojętnie. Jody co dzień chodził ją oglądać, patrzył krytycznym wzrokiem i nie dostrzegał żadnej zmiany.

Któregoś popołudnia Billy Buck oparł o ścianę stajni widły od kompostu, rozpiął pasek spodni, upchał lepiej koszulę, z powrotem zacisnął pas, wyjął zza wstążki kapelusza jedną ze swych krótko przykrajanych słomek i włożył ją do ust. Jody, który właśnie pomagał Doubletree Muttowi, wielkiemu, smutnemu psisku, przy rozgrzebywaniu nory kreta, podniósł głowę, gdy Billy wyszedł ze stajni.

- Chodźmy do Nellie - zaproponował Billy.

Jody rzucił zabawę i pobiegł za Billy Buckiem.

Doubletree Mutt obejrzał się i z furią wrócił do kopania skowycząc zachęcająco, że kret jest już prawie złapany. Kiedy ponownie się obejrzał i zobaczył, że ani Billy, ani Jody nie interesują się kretem, niechętnie wylazł z jamy i pognał za nimi na wzgórze.

Gorzki owies dojrzewał, pełne ziarna kity pochylały się ciężko nad ziemią. Wybujała trawa sucho szeleściła, gdy Jody i Billy przechodzili. W połowie drogi na wzgórze zobaczyli Nellie i wałacha, Pete'a, skubiących gorzki owies. Na widok Jody'ego Nellie położyła uszy, podniosła łeb i

parę razy potrząsnęła nim wojowniczo. Billy podszedł, włożył rękę w grzywę, poklepał klacz po szyi. Nellie nastawiła uszy i delikatnie zaczęła skubać mu koszulę.

Jody spytał: - Myślisz, Billy, że ona naprawdę jest źrebna?

Billy kciukiem i palcem wskazującym podniósł klaczy powieki, obmacał jej dolną wargę i czarne chropowate sutki.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby tak było - powiedział.

- Jest taka sama jak przedtem, a już minęło trzy miesiące.

Billy potarł płaskie czoło Nellie grzbietem dłoni, klacz parsknęła z zadowoleniem.

- Powiedziałem ci, że się znudzisz czekaniem. Poznasz coś po niej dopiero za pięć miesięcy, a za osiem będzie źrebak, mniej więcej w styczniu.

Jody głęboko westchnął. - To strasznie długo.

- I dopiero w dwa lata go dosiądziesz.

Jody wydał okrzyk rozpaczy: - Będę wtedy prawie dorosły!

- Aha, będziesz już stary - zgodził się Billy.

- A jakiego koloru będzie źrebak, jak myślisz?

- Nigdy nie można wiedzieć. Ogier jest kary, klacz kasztanka. Źrebak może być kary albo kasztanek, albo deresz, albo gniady. Nigdy nie można wiedzieć. Czasami kara klacz ma białego źrebaka.

- Mam nadzieję, że kary i że ogier.

- Jeśli to ogier, będzie go trzeba wytrzebić. Ojciec nie pozwoli zostawić ci ogiera.

- A może pozwoli - powiedział Jody. - Mógłbym go tak nauczyć, żeby nie był zły.

Billy ściągnął wargi, a krótką słomkę, którą trzymał w kąciku ust, przesunął na środek.

- Ogierowi nigdy nie można ufać. Zawsze jest zły i zawsze sprawia kłopot. Czasami, kiedy nie jest w humorze, za nic nie będzie pracował. I w ogóle źle wpływa na klacze, stale gryzie wałachy. Ojciec nie pozwoli zatrzymać ogiera.

Nellie odeszła skubiąc podsuszoną trawę. Jody z dojrzałego kłosa trawy wyłuskał nasiona i rzucił ich całą garść w powietrze. Upierzone pociski poleciały najpierw w górę, potem spadły powoli na ziemię.

- A powiedz mi, Billy, jak to będzie, czy to tak samo, jak kiedy krowa się cieli?

- Podobnie. Klacze są trochę delikatniejsze. Czasami trzeba klaczy pomóc. A czasami, jak idzie źle, trzeba...

- Co trzeba, Billy?

- Trzeba pokrajać źrebaka na kawałki i wyciągnąć, bo inaczej klacz padnie.

- Ale teraz tak nie będzie, Billy?

- O nie, Nellie łatwo się źrebi.

- A czy mogę przy tym być, Billy? Zawołasz mnie na pewno? To przecież mój źrebak.

- jasne, że cię zawołam. Jasne, Jody.

- Powiedz mi, jak to będzie.

- No, widziałeś przecież, jak się krowy cielą.

Tu jest prawie tak samo. Klacz zaczyna jęczeć i ma bóle, no i wtedy, jeśli wszystko jest w porządku, wychodzi najpierw głowa i przednie nogi. Przednie kopyta wybijają dziurę w łożysku. Jak cielaki. No i źrebak zaczyna oddychać. Trzeba, żeby przy tym ktoś zawsze był, bo jeśli położenie jest złe, nogi dobrze nie wychodzą, to źrebak nie przebije łożyska i może się udusić.

Jody trzepnął się w nogę pęczkiem trawy.

- No to będziemy przy tym, prawda?

- Jasne, że będziemy, jasne.

Szli z powrotem stokiem w kierunku stajni. Jody'ego dręczyła myśl, którą teraz musiał z siebie wyrzucić, chociaż wcale nie chciał.

- Billy, słuchaj - zaczął nieszczęśliwym głosem. - Zrobisz tak, żeby się nic nie stało źrebakowi, prawda?

Billy wiedział, że chłopiec myśli o kasztanku Gabilanie i o tym, jak Gabilan zdechł na zołzy. I Billy wiedział, że przed tym wypadkiem był w oczach chłopca nieomylny i niezawodny. Ale potem utracił jego wiarę. Billy to wiedział i jeszcze bardziej tracił pewność siebie.

- Trudno tak obiecać - powiedział. - Mogą się zdarzyć różne rzeczy, ale to nie będzie moja wina. Ja nie potrafię na wszystko poradzić. - Czuł się bardzo - nieswojo z powodu utraty prestiżu, więc powiedział z wyrachowanym okrucieństwem: - Zrobię wszystko, co będę mógł, ale nic ci nie mogę obiecać. Nellie to dobra klacz. Dobrze rodziła. I teraz powinno się jej udać. - Zostawił Jody'ego i poszedł do komórki z uprzężą, koło stajni, bardzo urażony w swojej dumie.

Jody chodził często na skraj zarośli za domem. Zardzewiałą żelazną rurą spływała źródlana woda do starego omszałego koryta. W miejscu, gdzie woda się przelewała i wsiąkała w ziemię, rosła bujna, wiecznie zielona trawa. Nawet w lecie, kiedy stoki wzgórz były spalone od słońca na brunatno, na tym kawałku trawa miała barwę soczystej zieleni. Woda z cichym chichotem spływała do koryta przez cały okrągły rok. Jody zawsze tu przychodził: kiedy został ukarany, chłodna trawa i szemrząca woda uspokajały go; kiedy był zły, w tym zakątku rozpuszczał się gryzący osad gniewu; kiedy tu siedział, znikały wszelkie troski i problemy, jakie przyniósł przykry dzień.

Tak jak przyciągała go łączka przy korycie, tak odpychało inne miejsce: koło czarnego cyprysu pod barakiem. Do czarnego cyprysu wcześniej czy później przyprowadzano na bicie wszystkie świnie. Bicie świń to fascynująca rzecz, z całym tym kwikiem i krwią, ale serce Jody'ego waliło

przy tym tak szybko, że aż bolało. Kiedy świnie już sparzono w wielkim żelaznym kotle na trójnoga, a skóry oskrobano na biało, Jody szedł pod koryto ze źródlaną wodą i odpoczywał, póki serce się nie uspokoiło. Koryto z wodą i cyprys znajdowały się na dwóch biegunach rzeczywistości i były nieprzyjaciółmi.

Kiedy Billy zagniewany poszedł z powrotem do stajni, Jody skręcił w stronę domu. Myślał o Nellie i jej źrebięciu. Nagle spostrzegł, że znajduje się pod czarnym cyprysem, pod tym strasznym drzewem, gdzie na drążkach wieszano zarżnięte świnie. Odsunął z czoła kosmyk płowych włosów i przyśpieszył kroku. Bardzo źle się stało, że myślał właśnie o źrebaku w miejscu rzeźni, i to zaraz po tym, co powiedział Billy. Aby zniweczyć działanie złych sił korzystających z tego zbiegu okoliczności, minął szybko dom, kurniki i poszedł przez ogród warzywny do źródełka.

Usiadł w zielonej trawie. Spływająca cienkim strumykiem woda wydawała miły dla uszu dźwięk. Spojrzał na zabudowania ranczy, na pękate wzgórza bogate w złote ziarno, dostrzegł Nellie pasącą się na stoku. Jak zwykle patrzenie z tego miejsca zatrzymywało czas albo przyspieszało go do woli i niweczyło pojęcie odległości. Jody zobaczył więc czarnego smukłego źrebaka, który ociera się o nogi Nellie i chce ssać. A potem zobaczył samego siebie, jak uczy źrebaka chodzić w ogłowiu. W parę sekund źrebak stał się wspaniałym zwierzęciem, cudownie zbudowanym, z długą i pięknie sklepioną szyją, z ogonem błyszczącym jak czarny płomień. Ten koń był zły dla wszystkich z wyjątkiem Jody'ego. Na szkolnym podwórku obstępowali Jody'ego koledzy i pytali, czy mogą się przejechać, a Jody z uśmiechem wyrażał zgodę. Ale każdy, kto na niego wsiadł, za chwilę leżał w pyle drogi. Czarny Szatan zrzucał go z grzbietu. Właśnie, to świetne dla niego imię: Czarny Szatan! Przez chwilę znowu spływała woda z rury do koryta, świeciło słońce, trawa była pachnąca. Tylko przez chwilę...

Czasami podczas głuchych nocy ludzie na ranczach, leżący bezpiecznie w łóżkach, słyszą grzmot kopyt. I mówią: - To Jody na Szatanie. Znowu pomaga szeryfowi...

Złoty pył wiruje nad areną podczas *rodeo* w Salinas. Ogłaszają zawody w łapaniu na lasso. Jody podjeżdża na czarnym koniu, pozostali zawodnicy wzruszają ramionami i z góry ustępują mu pierwsze miejsce, gdyż powszechnie wiadomo, że Jody na Szatanie potrafi schwytać, związać i rzucić na ziemię byka szybciej niż dwu innych ludzi razem. Jody już nie jest małym chłopcem, a Szatan nie jest zwykłym koniem. Jody i Szatan stanowią jedną wspaniałą całość...

Prezydent Stanów Zjednoczonych pisze list, w którym prosi o pomoc w pogoni za bandytą w Waszyngtonie. Jody położył się wygodnie w trawie, mały strumyczek spływa cichutko do omszałego koryta.

Rok płynął wolno, Jody czasami wątpił, czy w ogóle doczeka się źrebaka. Nellie nic się nie zmieniła, Carl Tiflin nadal zaprzęgał ją do lekkiego wózka, używał do zgrabiania siana i do zwoże-

nia go do stodoły.

Minęło lato, mijała jaskrawa ciepła jesień i któregoś niespokojnego poranka wiatr zaczął kręcić bicze po ziemi i gonić liście, a w powietrzu pojawił się chłód i jadowity powój poczerwieniał. Któregoś wrześniowego dnia po śniadaniu matka zawołała Jody'ego. Lała gotującą wodę do wiadra z otrębami i mieszała to wszystko razem w buchającą parą papkę. - Słucham, mamo? - powiedział Jody.

- Przyjrzyj się, jak to robię. Będziesz to dawał co drugi dzień.

- A co to jest?

- Gorące śniadanie dla Nellie, żeby utrzymać ją w formie.

Jody kułakiem potarł czoło. - Ale ona jest zdrowa, nie? - spytał z lękiem.

Pani Tiflin odstawiła czajnik i warząchwią mieszała zawartość wiadra.

- Oczywiście, że jest zdrowa, tylko trzeba ją teraz lepiej karmić. No, zanieś jej to.

Jody dźwignął wiadro i pobiegł z nim do korralu. Ciężkie wiadro obijało mu się o kolana. Nellie stała koło wodopoju bardzo rozbawiona, zanurzała pysk, dmuchała na wodę, wylewała ją z koryta.

Jody przelazł przez ogrodzenie i postawił wiadro z papką koło Nellie. Potem odszedł parę kroków, żeby się jej przyjrzeć. Zmieniła się rzeczywiście, brzuch miała już rozdęty, bardzo ostrożnie stawiała kopyta. Wpakowała nos w wiadro, które przyniósł Jody, i chłeptała gorące śniadanie. Gdy skończyła, nosem poturlała trochę puste wiadro po ziemi, podeszła spokojnie do Jody'ego i otarła się o niego pyskiem.

Z komórki, gdzie trzymano uprząż, wyszedł Billy Buck i zbliżył się do Jody'ego.

- Szybko idzie, kiedy przychodzi czas, co?

- To tak nagle się zmieniła?

- No nie, tylko ty dawno się jej nie przyglądałeś. - Spojrzał w stronę chłopca. - I jaka ona teraz będzie miła. Patrz, jakie ma łagodne oczy. Niektóre źrebne klacze są złe, ale te, które są dobre, to kochają wszystkich. - Neilie wsunęła łeb pod ramię Billy'ego i ocierała szyję o jego rękaw. - I ty musisz być teraz dla niej bardzo dobry - powiedział Billy.

- Ile to jeszcze potrwa? - spytał Jody. Billy liczył szeptem na palcach. - Około trzech miesięcy - powiedział głośno. - Dokładnie trudno powiedzieć. Czasami jest jedenaście miesięcy co do dnia, a czasami dwa tygodnie wcześniej albo miesiąc później, i nic nie szkodzi.

Jody spojrzał twardo w ziemię.

- Billy - zaczął nerwowo - Billy, zawołasz mnie, kiedy zacznie się rodzić źrebak, dobrze? Pozwolisz, żebym przy tym był?

Billy przygryzł koniuszek ucha Nellie.

- Ojciec mówi, że powinieneś być przy nim od samego początku. Jedyny sposób, żeby się wszystkiego nauczyć. Nikt ci nigdy tyle nie powie, co sam zobaczysz. Tak samo jak mój stary zrobił raz z derką pod siodło. Kiedy miałem tyle lat co ty, on był rządowym rozwozicielem i ja mu trochę pomagałem. Któregoś dnia podwinęła mi się derka. Nie zauważyłem, osiodłałem konia i zatarłem mu skórę. Mój stary nic nie powiedział, tylko następnego dnia wpakował mi na grzbiet czterdziestofuntowe siodło. Musiałem je nieść przez całą cholerną górę, w słońcu, i jeszcze prowadzić konia. Cholera, ledwo doszedłem, ale potem zawsze pamiętałem, żeby sprawdzić derkę, bo nie mogłem zapomnieć o tym siodle na plecach.

Jody wyciągnął rękę i ujął grzywę Nellie.

- Powiesz mi, jak co robić, prawda? Ty wszystko wiesz o koniach, Billy?

Billy roześmiał się. - Ja sam prawie jestem pół-koń. Matka mi umarła, jak się urodziłem, a że mój stary był rządowym rozwozicielem w górach i tam przeważnie nie było nigdy żadnych krów, więc karmił mnie mlekiem klaczy. - Mówił dalej poważnie: - I konie to czują. Ty też, Nellie, co, stara?

Klacz obróciła ku niemu głowę i spojrzała prosto w oczy, a konie to bardzo rzadko robią. Billy był okropnie dumny i bardzo pewny siebie. Zaczął się troszkę przechwalać: - Już ja dopilnuję, żebyś miał dobrego źrebaka. Trzeba tylko robić, co należy, od samego początku. A jak będziesz mnie słuchał, wyrośnie ci najlepszy koń w całej okolicy.

To bardzo roznieciło wyobraźnię Jodyego. I taki był dumny, że wracając do domu kołysał się w biodrach jak prawdziwy kowboj i szeptał: - Pędź, Czarny Szatanie! Pędź!

Zima spadła nagle. Po paru wstępnych rzęsistych ulewach przyszedł okres stałych deszczów. Wzgórza straciły kolor słomy i sczerniały od wody, zimowe strumienie toczyły się hałaśliwie przez kaniony, nie wiadomo jak i kiedy rozmnożyły się grzyby i purchawki, a przed samym Bożym Narodzeniem puściła świeża trawa.

Jednakże w tym roku nie na Bożym Narodzeniu skupiało się zainteresowanie Jodyego, ale wokół nieznanego dnia stycznia. Kiedy spadły deszcze, Nellie poszła do boksu, a Jody przynosił jej co rano gorący posiłek, potem ją czesał i szczotkował.

Klacz pęczniała tak szybko, że Jody się zaniepokoił.

- Ona pęknie - zdradził swe obawy Billy'emu.

Billy położył swoją ciężką dłoń na wzdętym brzuchu Nellie. - Zobacz tutaj - powiedział. - Czujesz, jak się rusza? Zdziwiłbyś się, jakby były dwa źrebaki, co?

- Naprawdę tak może być? - wykrzyknął Jody. - Chyba nie mówisz poważnie, Billy?

- No nie, ale to się czasami zdarza.

Podczas pierwszych dwu tygodni stycznia bez przerwy padało. Jody poza szkołą większość

czasu spędzał w boksie z Nellie. Dwadzieścia razy dziennie kładł rękę na jej brzuchu i sprawdzał, czy źrebię się rusza. Nellie była jeszcze łagodniejsza i milsza, stale ocierała się o niego pyskiem i pojękiwała cichutko, kiedy wchodził do stajni.

Któregoś dnia do stajni przyszedł z Jodym jego ojciec. Spojrzał z podziwem na pięknie utrzymaną czerwoną skórę, pomacał twarde kłęby mięśni i powiedział: - Dobrze się nią opiekujesz. - To była najwyższa pochwała, na jaką kiedykolwiek potrafił się zdobyć. Jody przez wiele godzin chodził strasznie dumny.

Minął piętnasty stycznia, źrebak się nie urodził. Minął dwudziesty. Chłopiec zaczął się niepokoić.

- Czy wszystko jest w porządku? - pytał Billy Bucka.

- Oczywiście.

Ale Jody znowu pytał: - Jesteś pewien, że nic się złego nie dzieje?

Billy głaskał szyję klaczy. - Powiedziałem ci, Jody, że nie zawsze jest tak samo. Musisz być cierpliwy.

Kiedy przyszedł koniec miesiąca i sytuacja się nie zmieniła, Jody wpadł w panikę. Nellie była taka wielka, że z trudem oddychała, sapała ciężko, uszy kładła ku sobie, jakby bolała ją głowa. Jody sypiał niespokojnie, miał złe sny.

W nocy z drugiego na trzeciego lutego obudził się z płaczem. Matka zawołała do niego: - Jody, obudź się, Jody! Śniło ci się coś niedobrego.

Jody się obudził, ale sen nie przestał go męczyć. Leżał spokojnie kilka minut czekając, by matka z powrotem zasnęła, a potem cichutko się ubrał i boso, na palcach wyszedł z pokoju.

Noc była bardzo ciemna, padał drobny kapuśniaczek. Z mgły wynurzyły się na chwilę cyprys i barak, a gdy Jody przeszedł, wsiąkły z powrotem we mgłę. Zaskrzypiały wrota stajni, gdy je otwierał, chociaż w ciągu dnia nigdy nie skrzypiały. Jody po omacku odszukał na półce latarnię i pudełko zapałek. Zapalił latarnię i między boksami, po zdeptanej słomie, poszedł do Nellie.

Klacz stała kołysząc się całym ciałem i zataczając z boku na bok.

- Nellie, staruszko, Nellie! - powitał ją Jody, ale Nellie nie przestała się kołysać ani nie odwróciła głowy. Kiedy wszedł do boksu i dotknął ręką jej grzbietu, zadrżała nerwowo. Z gołębnika tuż nad boksem doszedł głos Billy'ego:

- Co tu robisz, Jody?

Jody podskoczył i podniósł nieszczęśliwe oczy w górę, na gołębnik, gdzie Billy wymościł sobie posłanie.

- Czy z nią jest wszystko w porządku, Billy?

- Naturalnie, Jody, wszystko w porządku.

- Nie pozwolisz, żeby coś się stało, Billy. Obiecujesz?

Billy burknął z góry: - Powiedziałem, że cię zawołam i zawołam. Wracaj teraz do łóżka i nie martw się. Idź stąd i przestań ją denerwować. Ona i tak ma dość bez ciebie.

Jody od razu ustąpił, gdyż jeszcze nigdy nie słyszał, żeby Billy mówił takim tonem. - Ja sobie tylko tak pomyślałem, że przyjdę i zobaczę... - powiedział. - Bo się obudziłem.

Billy zmiękł trochę: - No, wracaj do łóżka. Nie męcz jej. Obiecałem ci, że będziesz miał dobrego źrebaka. Jazda spać!

Jody wolno wyszedł ze stajni. Zdmuchnął latarnię i postawił ją z powrotem na półce. Pochłonęła go mglista wilgotna czerń nocy. Bardzo chciał wierzyć w to wszystko, co mówi Billy, tak jak mu wierzył wtedy przed śmiercią kasztanka. Minęło parę sekund, nim wzrok oślepiony światłem latarni mógł dostrzec cokolwiek w ciemności. Wilgotna ziemia ziębiła bose stopy. Drzemiące na gałęziach cyprysu indyki zagulgotały niespokojnie, a oba dobre psiska spełniając swój obowiązek wyleciały z ujadaniem, aby odpędzić kojoty, których obecność podejrzewały pod drzewem.

Przechodząc na palcach przez kuchnię Jody potknął się o krzesło. Carl Tiflin zawołał ze swego pokoju: - Kto tam? Co tam się dzieje?

I pani Tiflin spytała przez sen: - Co się stało, Carl?

W drzwiach ukazał się Carl Tiflin niosąc zapaloną świecę i zobaczył Jody'ego, nim ten zdążył wejść do łóżka.

- Co ty robisz, Jody?

Jody obrócił się onieśmielony: - Poszedłem zobaczyć Nellie.

Przez chwilę w ojcu walczył gniew i uznanie dla syna.

- Posłuchaj mnie - powiedział wreszcie. - W całej okolicy nie ma człowieka, który lepiej by się znał na źrebakach od Billy'ego. Zostaw mu wszystko.

Słowa same wyskoczyły z ust Jody'ego: - Ale kasztanek umarł.

- Tylko nie wiń za to Billy'ego – powiedział ojciec surowo. - Jeśli go Billy nie uratował, to znaczy, że go nie można było uratować.

Pani Tiflin zawołała: - Niech Jody umyje nogi i niech idzie szybko spać, Carl. Bo inaczej cały dzień będzie chodził śpiący.

Jody'emu wydawało się, że dopiero co przyłożył głowę do poduszki, kiedy poczuł gwałtowne szarpanie za ramię. Billy Buck stał nad nim trzymając w ręku latarnię.

- Wstawaj, pośpiesz się! - Odwrócił się i szybko wyszedł z pokoju.

Pani Tiflin zawołała: - Co się znowu stało? Czy to Billy?

- Tak, mamo.

- Nellie?

- Tak, mamo.

- Dobrze. Zaraz wstanę i na wszelki wypadek zagrzeję wody.

Jody tak szybko się ubrał, że zdążył wyjść na dwór, nim Billy, którego wskazywała kołysząca się latarnia, był w połowie drogi do stajni. Sylwetkę gór podświetlała wąziutka wstążeczka dnia, ale świt nie dotarł jeszcze do niecki, w której' znajdowała się rancza. Jody w panice pobiegł za latarnią i dogonił Billy'ego przy wrotach stajni.

Billy zawiesił latarnię w boksie na gwoździu i zdjął swoją niebieską bawełnianą kurtkę. Jody zobaczył, że Billy ma pod kurtką tylko koszulę bez rękawów.

Nellie stała na sztywnych nogach, znieruchomiała, jakby odrętwiała. Nagle skurczyła się, całym jej ciałem wstrząsnął spazm bólu. Potem spazm minął, ale po chwili się powtórzył.

Billy mruknął nerwowo: - Coś tu jest źle.

Jego obnażona ręka zniknęła w otworze podbrzusza. - O Jezu - mruknął. - Jest źle.

Przyszły znowu bóle i Jody zobaczył, jak mięśnie na ramieniu Billy'ego napinają się w wielkim wysiłku. Billy coś podważał, na czoło wystąpił mu pot. Nellie jęknęła z bólu. Billy mruczał: - Złe położenie, nie mogę go obrócić. Złe położenie. Obrócił się do góry nogami.

Spojrzał dzikim wzrokiem na Jody'ego. Potem spokojnie, delikatnie obmacał wszystko palcami. Policzki mu poszarzały, ściągnęły się w okropnym grymasie. Długo patrzył pytającym wzrokiem na chłopca, który stał tuż przed boksem, wreszcie podszedł do półki pod oknem i w wilgotną prawą rękę wziął młot kowalski używany do kucia koni.

- Wyjdź, Jody!

Chłopiec nie ruszył się, patrzył tępo na Billy'ego.

- Mówię ci, wyjdź! Bo będzie za późno. Jody nie ruszył się.

Billy podszedł szybko do głowy Nellie. Krzyknął głośno:- Odwróć głowę, psiakrew, odwróć głowę!

Tym razem Jody posłuchał. Obrócił na bok głowę. Słyszał chrapliwy szept Billy'ego, a potem suchy trzask łamanej kości.

Nellie zarżała przejmująco. Jody spojrzał i zdążył zobaczyć młot podnoszący się po raz drugi i spadający na płaskie czoło klaczy. Nellie runęła ciężko na bok i przez parę sekund wstrząsały nią drgawki.

Billy skoczył do wzdętego brzucha, w ręku trzymał wielki składany nóż. Zaczął ciąć i piłować twardą skórę, powietrze wypełniło się mdłym zapachem gorących wnętrzności. Konie w boksach zaczęły szarpać się na łańcuchach, rżały i waliły kopytami w drewniane ściany.

Billy odrzucił nóż. Obie ręce wpakował w okropną ranę i wyciągnął wielkie białe ociekające krwią zawiniątko. Zębami rozdarł łożysko. W otworze ukazał się czarny łeb i zgrabne wilgotne

uszy. Źrebak z bulgotaniem wciągnął pierwszy oddech, potem drugi. Billy ściągnął z niego łożysko, odszukał nóż i przeciął pępowinę. Chwilę przyglądał się źrebakowi trzymając go na rękach. Potem położył go obok Jody'ego na sianie.

Twarz, ramiona i przód koszuli Billy Bucka ociekały krwią. Trząsł się jak w galarecie, zęby mu szczękały. Stracił prawie głos i mówił gardłowym szeptem: - Masz swojego źrebaka. Obiecałem i jest! Musiałem tak zrobić, musiałem! - Urwał i spojrzał przez ramię w stronę boksu. - Przynieś gorącej wody i gąbkę - szepnął. - Umyj go i wysusz tak, jakby to zrobiła matka. Będziesz go musiał karmić z ręki. Ale masz swojego źrebaka, tak jak ci obiecałem!

Jody patrzył głupawo na mokre dyszące źrebię. Wyciągało brodę usiłując podnieść głowę. Oczy bez wyrazu były ciemno niebieskie.

- Psiakrew! - krzyknął Billy. - Pójdziesz ty po wodę czy nie?

Wtedy Jody obrócił się i wybiegł ze stajni. Świtało. Czuł ból od gardła aż do brzucha, nogi miał sztywne i ociężałe. Próbował cieszyć się z powodu tego źrebaka, ale zalana krwią twarz i przestraszone, zmęczone oczy Billy'ego Bucka towarzyszyły mu cały czas.

IV

PRZEWODNIK KARAWANY

W sobotę po południu Billy Buck, robotnik na ranczy, zgarnął na stos resztki zeszłorocznego siana i widłami przerzucał je przez druciane ogrodzenie niezbyt zainteresowanemu bydłu. Na niebie płynęły w podmuchach marcowego wiatru białe chmurki podobne do dymków po wystrzale armatnim. W bożydrzewiu i na przełęczach pojękiwał wiatr, ale najlżejszy podmuch nie docierał do niecki, w której była rancza.

Mały chłopiec Jody wyszedł z domu zajadając pajdę chleba z masłem. Zobaczył Billy'ego przy sianie. Poszedł do niego, po drodze szurając butami właśnie tak, jak mu powiedziano, że jest najbardziej szkodliwe dla dobrej skóry. Z czarnego cyprysu zerwało się stado białych gołębi, okrążyło drzewo i obsiadło z powrotem jego gałęzie. Perłowy wyrośnięty kociak zeskoczył ze schodków baraku i pognał na sztywnych łapach ścieżką, podskoczył parę razy, zakręcił się i wrócił pędem. Jody podniósł z ziemi kamień, żeby pomóc kociej zabawie, ale się spóźnił, bo nim go rzucił, kociak był już pod schodami. Jody rzucił więc w cyprys i białe gołębie wyleciały na nowy okrężny lot.

Stanąwszy nad resztkami zeszłorocznego stogu Jody oparł się o ogrodzenie z kolczastego drutu.

- To już koniec siana, co? - spytał.

Billy Buck przerwał na chwilę robotę i wbił widły w ziemię. Zdjął stary kapelusz i przygładził włosy.

- Ano koniec. Siano na spodzie zaparzyło się od ziemi.

Nałożył z powrotem kapelusz i zatarł suche pomarszczone dłonie.

- Powinno być pełno myszy - podsunął Jody.

- Roi się od nich, aż się od nich roi - zgodził się Billy.

- No, to może, jak skończysz, zawołam psy, będziemy polować?

- Oczywiście, dlaczego nie - zgodził się Billy Buck. Nabrał na widły wilgotnego siana i wyrzucił je w powietrze. Wyskoczyły z niego trzy myszy i w panice pomknęły z powrotem pod siano.

Jody odetchnął zadowolony. Tłuste, bezczelne myszy były zgubione. Przez osiem miesięcy żyły sobie i rozmnażały się w stogu siana, bezpieczne od kotów, pułapek, trucizn. I od Jody'ego. Rozzuchwaliły się w bezpiecznym schronieniu, stały się nieznośne i opasłe. Teraz nastąpi dla nich koniec świata. Nie przeżyją następnego dnia.

Billy spojrzał na wzgórza otaczające ranczę.

- Może lepiej spytasz ojca, nim zaczniesz to polowanie - powiedział.

- A gdzie on jest? Zaraz go spytam.

- Po obiedzie pojechał do ranczy na wzgórzu. Powinien niedługo wrócić.

Jody oparł się mocniej o słup ogrodzenia. - Chyba nie będzie mu przeszkadzało, że zrobię polowanie na myszy?

Billy wracając do pracy powtórzył:

- Lepiej go spytaj. Wiesz, jaki on jest.

Jody wiedział. Carl Tiflin żądał, aby go pytano o każdą drobnostkę. Jody całym ciężarem położył się na słupie. Aż prawie przygiął go do ziemi. Spojrzał w niebo na pędzone wiatrem białe puszyste obłoki.

- Będzie padało, Billy?

- Może będzie. Wiatr na deszcz, ale jeszcze nie dość silny.

- Mam nadzieję, że nie będzie padało, póki nie pozabijam tych wszystkich cholernych myszy. - Spojrzał przez ramię, żeby zobaczyć, jakie wrażenie na Billym zrobiło to słowo dorosłych ludzi. Ale Billy nie zwrócił uwagi.

Jody odwrócił się więc w kierunku wzgórza po lewej, przez które szła droga z zewnętrznego świata. Wzgórze było zalane słabym marcowym słońcem. Srebrne osty, dziki łubin i kilka maików

kwitły między krzewami bożydrzewiu. Na stoku wzgórza Doubletree Mutt, czarne psisko, kopał w wiewiórczej norze. Doubletree Mutt drapał i grzebał, i za siebie, między tylnymi łapami, wyrzucał fontanny ziemi. Kopał z energią zadającą kłam teorii - znanej zapewne i Doubletree Muttowi - że jeszcze żaden pies nie złapał nigdy wiewiórki kopiąc dół.

Nagle Doubletree Mutt odskoczył od swojej roboty i spojrzał na szczyt wzgórza, na przełęcz, którędy przechodziła droga. Jody także tam spojrzał. Przez chwilę na tle bladego nieba widać było sylwetkę Carla Tiflina na koniu, jadącego do domu. W ręku trzymał coś białego. Jody zerwał się.

- List! - wykrzyknął i pobiegł szybko w stronę ranczy, ponieważ list zostanie prawdopodobnie odczytany na głos i on chciał przy tym być. Wpadł do domu przed ojcem. Carl Tiflin zsiadł ze skrzypiącego siodła, klepnięciem wysłał konia do stajni, gdzie go Billy Buck rozsiodła i puści potem do korralu.

Jody wleciał do kuchni. - Mamy list! - krzyknął.

Matka spojrzała na niego znad miski z fasolą. - Kto ma?

- Ojciec. Widziałem u niego w ręku list. Carl wszedł do kuchni i matka spytała: - Od kogo list, Carl?

Ojciec ściągnął brwi.

- Skąd wiesz, że jest list?

Matka wskazała głową chłopca. - Jody, oczywiście.

Jody zmieszał się.

Ojciec obrzucił go pogardliwym wzrokiem.

- Robi się za mądry - powiedział. - Zajmuje się cudzymi sprawami, zamiast myśleć o swoich. Pakuje we wszystko swój nos.

Pani Tiflin broniła trochę syna: - Nie ma tu znowu tylu rozrywek, żeby miał zawsze zajęcie. Od kogo list, Carl?

Carl Tiflin dalej patrzył na Jody'ego ze ściągniętymi brwiami.

- Ja już mu znajdę rozrywkę, jeśli nie będzie uważał. - Wyciągnął rękę z listem. - Chyba od twojego ojca.

Pani Tiflin wyjęła z włosów szpilkę i rozcięła kopertę. Ściągnęła w skupieniu usta. Jody widział, jak oczy latają jej po wierszach listu.

- Pisze - zaczęła mówić - pisze, że przyjedzie do nas na kilka dni w sobotę. Ale przecież to dziś jest sobota! Dlaczego dopiero dziś doszedł list? - Spojrzała na stempel pocztowy. - Wysłany przedwczoraj. Powinniśmy go byli otrzymać wczoraj. - Spojrzała pytająco na męża i nagle twarz jej pociemniała ze złości. - Co masz taką minę? Ojciec często nie przyjeżdża, nie możesz narzekać.

Carl Tiflin odwrócił oczy od gniewu żony. Przeważnie był dla niej surowy, ale kiedy czasami wybuchała, nie umiał dać sobie z tym rady.

- Co ci znowu jest? - spytała ostro.

Ojciec odpowiedział niemal skruszonym głosem, jakim często wobec niego tłumaczył się Jody!

- Bo on tyle gada! Ciągle gada.

- ‘No to co? Ty też gadasz.

- Owszem, ja też. Ale twój ojciec gada tylko na jeden temat.

- O Indianach - wtrącił Jody podniecony. - O Indianach i karawanie przez prerie.

Carl Tiflin rzucił się ostro na niego: - A ty zmykaj, panie ciekawski. Już cię nie ma! Jazda!

Z nieszczęśliwą miną Jody wyszedł z kuchni, bardzo dokładnie i cicho zamykając za sobą drzwi. Z wbitym w ziemię wzrokiem kręcił się pod kuchennym oknem i akurat zobaczył kamień o dziwnym, tak fascynującym kształcie, że musiał położyć się na ziemi i wziąć go do ręki.

Obracając kamień w palcach wyraźnie słyszał przez otwarte okno kuchni rozmowę.

- Jody ma rację - mówił ojciec. - O Indianach i karawanie. Słyszałem już te historie tysiąc razy. Wszystkie. I jak Indianie ukradli konie też. On powtarza ciągle jedno i to samo. I nie zmienia nigdy ani jednego słowa.

Pani Tiflin odpowiedziała tonem tak innym od poprzedniego, że Jody podniósł na chwilę głowę przerywając studium nad kamieniem. Na pewno zmieniła też wyraz twarzy, żeby pasował do głosu.

- A teraz spójrz na to z jego punktu widzenia, Carl - powiedziała cicho, miękko, prawie się tłumacząc. - To było największe przeżycie mojego ojca. Prowadził karawanę wozów przez cały kontynent, aż do oceanu, a kiedy to się skończyło, skończyło się jego życie. To była dla niego wielka rzecz, choć nie trwała długo. Pomyśl! jakby się do tego urodził. A kiedy się skończyło, nie pozostało mu nic innego jak tylko o tym myśleć i mówić. Jeżeli można byłoby jechać dalej, pojechałby. Sam mi to mówił. Ale zagrodził im drogę ocean, więc ojciec zamieszkał nad oceanem, u kresu swojej wędrówki.

Rozbroiła Carla Tiflina, obezwładniła go miękkim, łagodnym głosem.

- Tak, wiem - zgodził się Carl. - Ojciec chodzi na brzeg oceanu i patrzy dalej, na zachód. Sam widziałem. - Nie mówił już tak ostro. - A potem wraca do Klubu Podkowy w Pacific Grove i opowiada, jak Indianie ukradli im konie.

Pani Tiflin spróbowała jeszcze raz: - Bo to jest dla niego wszystko. Powinieneś być wyrozumiały i udawać, że uważnie słuchasz.

Carl odwrócił się zniecierpliwiony.

- Jeśli już nie będę mógł wytrzymać, pójdę do baraku posiedzieć z Billy Buckiem – powiedział ze złością. Wyszedł przez jadalnię i z hałasem zatrzasnął za sobą frontowe drzwi.

Jody pobiegł do swoich codziennych zajęć. Wysypał kurom ziarno, żadnej nie przeganiając, zebrał wszystkie jaja, zniósł do domu drzewo i tak misternie poprzekładał polana, że dwie naręcze wypełniły skrzynkę po brzegi.

Matka skończyła w tym czasie łuszczenie fasoli. Podrzuciła drzewa do pieca i indyczym skrzydełkiem omiotła płytę kuchenną. Jody przyglądał się jej spod oka ciekawie, chcąc sprawdzić, czy ma do niego jeszcze jakiś żal.

- Dziadek dzisiaj przyjeżdża? - spytał.

- Tak pisze w liście.

Może wyjdę mu naprzeciwko? Pani Tiflin zatrzasnęła drzwiczki pieca. - Bardzo dobrze. Na pewno zrobi mu to przyjemność.

- No to pójdę.

Idąc podwórkiem Jody gwizdnął krótko na psy. - Idziemy - powiedział tonem rozkazu. Psy pomerdały ogonami i pobiegły przodem. Wzdłuż drogi krzewy bożydrzewiu wypuszczały nowe pędy. Jody urwał parę listków i wcierał je w dłonie, aż w powietrzu rozszedł się ostry leśny zapach. Psy z wielkim hałasem pomknęły w zarośla za królikiem. Jody już ich więcej nie oglądał, bo miały talu zwyczaj, że jak im się nie udało polowanie, wracały do domu.

Szedł pod górę, na sam szczyt. Kiedy stanął na małej przełęczy, owiał mu twarz popołudniowy wiatr, zmierzwił włosy i wydął koszulę. Jody widział przed sobą mniejsze pagórki a dalej wielką zieloną dolinę Salinas. W jej głębi leżało miasto Salinas i zachodzące słońce odbijało się teraz w szybach domów. Tuż pod szczytem, na wielkim dębie, odbywał się kongres wron. Dąb był czarny od ptaków krakających jednocześnie.

Potem oczy chłopca pobiegły za drogą, która opadała w dolinę, kryła się za następnym pagórkiem i znowu pokazywała. I na tym najdalszym widocznym odcinku drogi zobaczył wózek zaprzężony w gniadego konia. Po chwili wózek zniknął za pagórkiem. Jody usiadł i patrzył w miejsce, w którym wózek niedługo się pokaże. Wiatr pogwizdywał, pulchne obłoki śpieszyły na wschód.

Wózek pojawił się i stanął. Wysiadł z niego mężczyzna ubrany na czarno i podszedł do końskiego łba. Chociaż było to jeszcze bardzo daleko, Jody wiedział, że koniowi odpięto munsztuk, gdyż łeb wystrzelił do przodu. Koń poczłapał dalej, mężczyzna prowadził go wolno. Jody krzyknął radośnie i pobiegł w dół. Wiewiórki hopsały koło drogi, a pustynna kurka machnęła ogonem i z rozpostartymi szeroko skrzydłami popłynęła nad drogą.

Jody spróbował skakać w środek swego cienia, ale potknął się o kamień i upadł. Wstał, do-

szedł do zakrętu i zaczął biec. Zobaczył dziadka i wózek w odległości parudziesięciu kroków. Natychmiast zwolnił i zbliżył się poważnym krokiem.

Koń dostojnie choć z rezygnacją człapał pod górę, stary mężczyzna z godnością szedł obok niego. W zachodzącym słońcu kładły się za nimi długie cienie. Dziadek miał na sobie czarny garnitur z gęsto tkanej wełny, skórzane getry ściągane gumą i czarny krawat na sztywnym prostym kołnierzyku; niósł w ręku czarny miękki kapelusz z szerokim rondem. Białą brodę miał krótko przystrzyżoną, białe brwi zwisały nad oczami jak wąsy, a w niebieskich surowych oczach zastygł ognik rozbawienia. Twarz i sylwetka wyrażały jakiś kamienny spokój - wydawało się, że każdy ruch jest u tego człowieka czymś niezwykłym, że gdy raz stanie, zamieni się w granitowy posąg i już nigdy więcej nie drgnie. Szedł wolnym, pewnym krokiem, który nie mógł być nigdy ani szybszy ani wolniejszy, nie mógł zmienić kierunku ani zostać cofnięty.

Kiedy zza zakrętu ukazał się Jody, dziadek spokojnie machnął mu na powitanie kapeluszem i zawołał: - Jody! Wyszedłeś mi na spotkanie, co?

Jody zbliżył się, obrócił na pięcie i dopasował swój krok do kroku starego mężczyzny. Szedł wyprostowany, sztywny, lekko pociągając nogami.

- Tak, dziadku. Otrzymaliśmy twój list dopiero dzisiaj.

- Powinniście byli otrzymać go wczoraj - odparł dziadek. - Wczoraj, no oczywiście. Jak się wszyscy mają?

- Dobrze, dziadku. - Jody zawahał się i podsunął lękliwie: - Czy chciałbyś jutro, dziadku, zrobić ze mną polowanie na myszy?

- Polowanie na myszy? - Dziadek chrząknął rozbawiony. - Czy obecne pokolenie obniżyło swój lot do polowań na myszy? Nowe pokolenie nie jest bardzo silne, wiem o tym, ale nie sądziłem, że myszy są jedyną zwierzyną, jakiej potrafi się przeciwstawić.

- Nie, dziadku. To tylko zabawa. Skończył się stóg i ja chcę wygnać myszy spod resztki siana. A ty możesz się przyglądać albo nawet mi pomóc i bić kijem w siano.

Surowe rozbawione oczy obróciły się ku chłopcu: Rozumiem. I nie będę potrzebował ich później jeść? Do tego jeszcze nie doszliście?

Jody wyjaśniał: - Psy je zjedzą, dziadku. Ja wiem, że to nie będzie takie zabawne jak polowanie na Indian, prawda?

- Nie, nie będzie. Chociaż z drugiej strony, kiedy wojsko polowało na Indian, zabijano dzieci i palono wigwamy. Bardzo to przypominało twoje polowanie na myszy.

Stanęli na szczycie wzgórza i zaczęli schodzić drogą ku niecce, w której stała rancza. Na ramiona nie padały im już promienie słońca.

- Urosłeś, Jody - powiedział dziadek. - Prawie cal.

- Więcej - pochwalił się Jody. - Kiedy na święto Dziękczynienia mierzyli mnie na drzwiach, to już wtedy urosłem więcej niż cal od zeszłego roku.

Dziadek stwierdził głębokim głosem: - Może pijesz za dużo wody i wszystko idzie w łodygę. Poczekajmy, aż się rozwiniesz, wtedy zobaczymy.

Jody zerknął szybko na twarz starego mężczyzny, żeby zobaczyć, czy powinien czuć się dotknięty, ale w surowych niebieskich oczach nie było ani chęci urażenia, ani ukarania, ani usadzenia.

- Może zabijemy świnię - podsunął Jody.

- O nie, nie pozwoliłbym ci tego zrobić. Chcesz mnie zabawić i dlatego tak mówisz. To nie jest odpowiedni czas, wiesz dobrze.

- Znasz Rileya, wielkiego knura, dziadku?

- Tak, dobrze sobie przypominam Rileya.

- No, więc Riley wyjadł dziurę w tym samym stogu, co ci mówiłem, i stóg się na niego zwalił i przydusił go.

Knury zawsze, jak mogą, podjadają siano ze stogów.

- Riley był bardzo miły jak na knura, dziadku. Czasami siadałem na niego i on wcale się nie złościł.

Na ranczy trzasnęły drzwi, na progu stanęła matka Jody'ego i machała fartuchem. Carl Tiflin szedł ze stajni do domu, żeby powitać starego pana.

Słońce zeszło już ze wzgórz. Niebieski dym z komina ranczy układał się martwymi warstwami w purpurowiejącej zachodem dolinie. Gąbczaste obłoki porzucone przez niewierny wiatr zastygły smętnie na niebie.

Z baraku wyszedł Billy Buck i wylał miednicę mydlin na ziemię. Wyjątkowo ogolił się innego dnia niż zwykle, ponieważ traktował dziadka z ogromnym szacunkiem, a dziadek mówił, że Billy jest jednym z niewielu ludzi nowego pokolenia, którzy zachowali dawny hart. Chociaż Billy nie był już młody, dziadek zawsze traktował go jak chłopaka. I Billy też popędził teraz w stronę domu.

Kiedy dziadek i Jody podeszli pod ogród, zastali trójkę mieszkańców ranczy czekających przy furtce.

Carl Tiflin powiedział: - Dzień dobry, już się niecierpliwiliśmy.

Pani Tiflin pocałowała ojca w skraj brody i stała chwilę schylona, aż ją pogłaskał po plecach. Billy poważnie potrząsnął podaną mu ręką krzywiąc twarz pod wąsami.

- Zajmę się koniem - powiedział i odprowadził zaprząg.

Dziadek popatrzył za nim, a potem obracając się do zebranych powiedział to samo, co już mówił sto razy przedtem:

- Billy to dobry chłopak. Znałem jego ojca, starego Końskiego Ogona Bucka. Pojęcia nie mam, dlaczego nazywano go końskim ogonem, bo oprócz tego, że miał długie włosy, zupełnie nie przypominał konia.

Pani Tiflin poprowadziła gościa do domu. - Jak długo z nami zostaniesz, tatusiu? Nie piszesz o tym w liście.

- Jakby tu powiedzieć... nie wiem. Może dwa tygodnie. Ale ja nigdy nie tkwię w jednym miejscu tyle, ile mówię, że będę tkwił.

W niedługim czasie wszyscy siedzieli przy zasłanym białą ceratą stole i jedli kolację. Nad stołem wisiała naftowa lampa z blaszanym reflektorem. Za oknami pokoju ćmy obijały się o szkło szyb.

Dziadek pociął swój kotlet na drobniutkie kawałeczki i gryzł je wolno.

- Jestem głodny - powiedział. - Długa droga podnieciła mój apetyt. Zupełnie jak wtedy, kiedy jechaliśmy karawaną na Zachód. Każdego wieczoru byliśmy tacy głodni, że nie mieliśmy cierpliwości czekać, aż się mięso dobrze ugotuje. Na raz mogłem zjeść pięć funtów wołowiny.

- Ruch tak robi - powiedział Billy. - Mój ojciec był rządowym rozwozicielem. Pomagałem mu, kiedy byłem chłopcem. We dwójkę potrafiliśmy sprzątnąć jelenią szynkę.

- Znałem twojego ojca, Billy – powiedział dziadek. - To był człowiek! Nazywali go Koński Ogon. Ale zupełnie nie wiem dlaczego, bo chociaż nosił długie włosy, nie był podobny do konia.

- Właśnie - zgodził się Billy. - Nosił długie włosy.

Dziadek odłożył nóż i widelec i rozejrzał się wokół stołu. - Pamiętam, raz zabrakło nam mięsa... - zmienił barwę głosu, mówił teraz tonem, jaki opowieść wyżłobiła sobie w trakcie stałego powtarzania. - Nie mieliśmy już mięsa bawolego ani antylopy, ani królików. Myśliwym nie udało się nawet ubić kojota. W takich wypadkach przewodnik musiał się mieć na baczności. Ja byłem przewodnikiem. I miałem oczy otwarte. A wiecie co? Jak ludzie tylko zaczynali być głodni, to zaraz zabierali się do zabijania wołów. Trudno w to uwierzyć, prawda? Słyszałem nawet o takich, co zjadali woły robocze. Zaczynali ze środka zaprzęgu, a wreszcie zjadali parę prowadzącą i orczykową. No i przewodnik musiał ich od tego powstrzymać.

W nie wyjaśniony sposób wielka ćma dostała się do pokoju i zaczęła latać wokół naftowej lampy. Billy wstał i usiłował zabić ją między dłońmi. Carl Tiflin schwytał ją w garść, zgniótł i wyrzucił przez okno na dwór.

- Jak właśnie mówiłem... - zaczął znowu dziadek, ale Carl Tiflin przerwał mu:

- Lepiej proszę sobie jeszcze dołożyć mięsa na talerz. My już czekamy na budyń.

Jody zobaczył błysk gniewu w oczach matki. Dziadek wziął nóż i widelec. - O tak, jestem bardzo głodny - powiedział. - O tamtej historii opowiem wam później.

Po kolacji, kiedy cała rodzina i Billy Buck usiedli przed ogniem w sąsiednim pokoju, Jody niespokojnie przyglądał się dziadkowi. Widział znane objawy: głowa pochylona do przodu, oczy pozbawione surowości patrzyły marzycielsko w ogień, chude palce splecione na kolanie.

- Ciekaw jestem - powiedział dziadek. - Ciekaw jestem, czy wam kiedy mówiłem, jak ci złodzieje Plutowie ukradli nam trzydzieści pięć koni.

- Tak, ojciec opowiadał - przerwał Carl Tiflin. - To było przed przyjazdem karawany do kraju Tahoe.

Dziadek obrócił się szybko w stronę zięcia,

- Aha, aha, prawda. Musiałem wam to już opowiadać.

- Wiele razy - stwierdził Carl Tiflin z okrucieństwem, unikając wzroku żony. Ale musiał poczuć jego siłę, bo dodał: - Chętnie posłuchamy jeszcze raz.

Dziadek patrzył w ogień. Splatał i rozplatał palce. Jody wiedział, co dziadek w tej chwili czuje, jak wszystko w nim nagle przygasło i załamało się. Czyż i Jody nie oberwał dzisiaj od ojca? Zdobył się na bohaterski wysiłek i ryzykując parę nowych epitetów ze strony ojca powiedział: - Opowiedz nam o Indianach, dziadku.

Oczy dziadka nabrały surowości. - Chłopcy zawsze chcą słuchać o Indianach. To było życie mężczyzn, ale chłopcy lubią o tym słuchać. No, dobrze. Czy wam kiedy mówiłem, jak chciałem, żeby każdy wóz miał długą osłonę z żelaznej blachy?

Wszyscy milczeli, tylko Jody się odezwał: - Nie, nie mówiłeś, dziadku.

- Jak Indianie napadali, ustawialiśmy wozy w krąg i walczyliśmy ukryci między osiami. I tak wtedy sobie pomyślałem, że byłoby dobrze, jakby każdy wóz miał długą żelazną blachę z dziurami na lufę karabinu. Ustawiałoby się te blachy przed wozami i bylibyśmy lepiej osłonięci. Oszczędziłoby się wiele żyć ludzkich, tak, na pewno by to opłaciło ciężar blach. Ale ludzie nie chcieli. Żadna karawana przedtem tego nie robiła i ludzie nie widzieli potrzeby takiego wydatku. No, a potem oczywiście żałowali.

Jody spojrzał na matkę. Matka miała błogi wyraz twarzy i wcale nie słuchała, Carl Tiflin skubał odcisk na palcu, a Billy Buck przyglądał się pająkowi idącemu po ścianie.

Głos dziadka opadł po raz drugi w utarty tor narracji. Jody znał dokładnie na pamięć każde zdanie, każde słowo. Opowieść toczyła się dalej, nabierała tempa przed atakiem Indian, smutniała przy opisie ran, stawała się lirycznie żałosna przy grzebaniu zabitych. Jody siedział cicho, przyglądając się dziadkowi. Surowe niebieskie oczy patrzyły w przestrzeń. Zdawało się, że i dziadka nie interesuje już to, co opowiada.

Kiedy skończył, kiedy chwilą ciszy uczczono opowieść, Billy Buck wstał, przeciągnął się, podciągnął spodnie. - No, pójdę spać - powiedział. Obrócił się do dziadka. - Mam stary róg od pro-

chu i pistolet skałkowy. Pokazywałem go panu kiedy?

Dziadek skinął głową.

- Tak, chyba pokazywałeś. Bardzo podobny do pistoletu, który sam miałem, kiedy prowadziłem ludzi przez prerie.

Billy przeczekał grzecznie, aż krótka opowieść o pistolecie dobiegła końca, a potem powiedział: - Dobranoc - i wyszedł z domu.

Carl Tiflin spróbował wtedy skierować rozmowę na inny temat:

- Co tam w Monterey? Słyszałem, że okropna susza?

- Jest susza - zgodził się dziadek. - W Laguna Seca nie ma kropli wody. Ale to jeszcze nie to, co w osiemdziesiątym siódmym. Wtedy cały kraj to była jedna wielka skrzynia pyłu, a w sześćdziesiątym pierwszym wszystkie kojoty wyzdychały. W tym roku mieliśmy jednak piętnaście cali deszczu.

- Może, ale susza przyszła za wcześnie. Przydałoby się teraz trochę deszczu. - Oczy Carla Tiflina padły na Jodyego. - Może byś tak poszedł spać?

Jody posłusznie wstał. - Czy będę mógł jutro polować na myszy w starym stogu, ojcze?

- Na myszy? A dobrze, oczywiście, pozabijaj je wszystkie. Billy mówił, że już tam nie ma dobrego siana.

Jody wymienił tajemne i porozumiewawcze spojrzenie z dziadkiem. - Jutro wszystkie wybiję - obiecał.

Jody leżał w łóżku i myślał o nieprawdopodobnym świecie Indian i bawołów, o świecie, który przestał istnieć na zawsze. Żałował, że nie żyje w tych bohaterskich czasach, choć wiedział, że nie jest ulepiony z bohaterskiej gliny. Nikt z żyjących obecnie, z wyjątkiem może Billy Bucka, nie potrafiłby robić rzeczy, jakie robiono dawniej. Wtedy istniała rasa olbrzymów, ludzi bez strachu, ludzi o wytrwałości dziś nie znanej. Jody myślał o bezkresnych preriach i karawanach posuwających się wolno jak stonogi. Myślał o dziadku: smukły mężczyzna siedzi na białym wielkim rumaku i przewodzi ludziom. W wyobraźni chłopca ruszyła kolumna duchów, odmaszerowała z ziemi i zniknęła.

I wtedy na chwilę powrócił myślami na ranczę. Usłyszał podobny do szumu w muszli szum czasu i przestrzeni. Usłyszał, jak jeden z psów w budzie drapie się energicznie i przy każdym ruchu tłucze łapą o deskę podłogi. Potem zerwał się silniejszy wiatr, zaszumiał czarny cyprys i Jody zasnął. Wstał na pół godziny przed biciem w żelazny triangel. Kiedy wszedł do kuchni, matka grzebała w palenisku rozpalając ogień.

- Wcześnie wstałeś - zauważyła. - Gdzie idziesz?

- Znaleźć dobry kij. Będziemy dzisiaj polować na myszy.

- My, to znaczy kto?

- Dziadek i ja.

- I jego do tego wciągnąłeś? Zawsze kogoś wplątujesz do swoich ciemnych spraw, żeby potem mieć się kim zasłonić, gdy coś zbroisz.

- Zaraz wrócę - powiedział Jody. - Przed śniadaniem chcę sobie przygotować dobry kij.

Zamknął ramę drzwi obciągniętą drucianą siatką i wyszedł w chłodny niebieski poranek. Ptaki hałasowały, domowe koty zbiegały pędem ze wzgórz po nocy polowania na krety. I chociaż teraz cała czwórka kotów była opchana do nieprzyzwoitości, usiadły w półkole przed kuchnią i żałośnie miauczały o mleko. Wzdłuż zarośli bożydrzewiu Doubletree Mutt i Smasher z tradycyjną godnością wykonywały poranny obowiązek obwąchania ziemi, ale gdy Jody gwizdnął, podniosły łby, pomachały ogonami i popędziły ku niemu ziewając i przeciągając się w drodze. Jody poważnie poklepał je po głowach i poszedł do stosu pociemniałych od deszczu odpadków i starych gratów. Wybrał dawno wyrzucony kij od szczotki i drugi krótszy patyk. W kieszeni znalazł sznurowadło i luźno związał oba kawałki drzewa robiąc coś w rodzaju cepa. Machnął swoją nową bronią w powietrzu i na próbę trzepnął nią w ziemię. Psy uskoczyły na bok i zaskowytały mając niedobre przeczucia.

Jody poszedł obejrzeć pole przyszłej bitwy - resztki stogu siana. Ale Billy Buck, który cierpliwie czekał na kuchennych schodkach, zawołał za nim:

- Lepiej wróć, Jody. Za chwilę śniadanie. Jody zmienił kurs, oparł swoją broń o schodki.

- Do wyganiania myszy - powiedział. - One muszą być tłuste, co? Na pewno nie wiedzą, co je dzisiaj czeka.

- Ty też nie wiesz ani ja nie wiem, ani nikt - powiedział Billy filozoficznie.

Jodym wstrząsnęła ta myśl. Wiedział, że to prawda. Wyobraźnia przeniosła go na chwilę w rejony bardzo odległe od polowania na myszy. Matka wyszła na ganek i zaczęła bić w żelazny triangel, więc myśli Jody'ego skłębiły się razem i zniknęły.

Wszyscy zasiedli do stołu oprócz dziadka.

Billy wskazał głową puste krzesło:

- Stary pan zdrowy? Nie zachorował?

- Długo się ubiera - powiedziała pani Tiflin. - Czesze wąsy, czyści buty i ubranie.

Carl Tiflin sypał cukier na swoją owsiankę.

- Człowiek, który prowadził karawanę przez prerię, powinien ubierać się bardzo starannie.

Pani Tiflin napadła na męża: - Carl, tylko bez takich rzeczy, proszę ciebie! - W głosie jej było więcej groźby niż prośby, groźby irytowały Carla Tiflina.

- No więc ile razy jeszcze mam słuchać opowiadań o żelaznych blachach i trzydziestu pięciu

koniach? Koniec, mam dosyć! Dlaczego on nie może o tym zapomnieć? Skończyło się. Skończyło się i przepadło. - W miarę mówienia ogarniała go coraz większa złość, zaczął podnosić głos: - Dlaczego musi opowiadać w kółko jedno i to samo? Przeprowadził karawanę przez prerie, dobrze, przeprowadził! Teraz się skończyło! Nie chcę o tym więcej słyszeć!

Drzwi do kuchni zamknęły się cicho. Wszyscy przy stole zamarli. Carl Tiflin odłożył łyżkę i zaczął grzebać palcami przy brodzie.

Potem drzwi kuchenne otworzyły się i wszedł dziadek. Usta miał wykrzywione w uśmiechu, oczy zmrużone.

- Dzień dobry - powiedział. Usiadł przy stole i spojrzał w swój talerz.

Carl Tiflin nie potrafił zostawić sprawy tak, jak była:

- Ojciec słyszał... co mówiłem? Dziadek lekko skinął głową.

- Przepraszam ojca bardzo, nie wiem, co we mnie wlazło. Naprawdę nie chciałem... Ot, żartowałem sobie.

Jody ze wstydem spojrzał na matkę. Matka wstrzymała oddech i patrzyła na Carla Tiflina. Carl Tiflin darł się na strzępy, żeby to wszystko powiedzieć. Straszne, że musiał odwoływać swoje słowa, a jeszcze straszniejsze, że odwoływał je we wstydzie.

Dziadek spojrzał z ukosa:

- Nie lubię zaczynać z lewej nogi. Wcale się nie gniewam. Nic nie szkodzi, żeś powiedział, coś powiedział, ale to może jest prawda. I jeśli to jest prawda...

- Nie, to nie jest prawda - nalegał ojciec. - Dziś rano jakoś źle się czuję. Przepraszam, że to powiedziałem.

- Nie przepraszaj, Carl. Stary człowiek czasami nie dostrzega pewnych rzeczy. Może właśnie masz rację. Karawana się skończyła. Może powinienem był o tym zapomnieć.

Carl Tiflin wstał od stołu. - Już się najadłem. Idę do roboty. Nie śpiesz się, Billy! - Wyszedł szybko z jadalni. Billy ledwo przełknął swoją porcję i też zaraz wyszedł. Ale Jody siedział jak przykuty do krzesła.

- Już nie będziesz więcej opowiadał historii? - spytał dziadka.

- Owszem, będę, dlaczego nie, ale tylko wtedy, jak... będę pewien, że ktoś chce słuchać.

- Ja lubię słuchać, dziadku.

- Oczywiście, że ty lubisz. Jesteś małym chłopcem. To było życie mężczyzn, teraz tylko mali chłopcy chcą o tym słuchać...

Jody wstał od stołu.

- Poczekam na ciebie w ogrodzie, dziadku. Mam świetny kij na myszy.

Czekał przy furtce, aż stary pan wyszedł na ganek.

- No, to chodźmy teraz polować na myszy, dziadku - zawołał Jody.

- Wiesz, Jody, chyba posiedzę sobie na słońcu. Ale ty poluj na myszy.

- Jeśli chcesz, dam ci swój kij, dziadku.

- Nie, nie, ja sobie troszkę posiedzę.

Jody rozczarowany poszedł do starego stogu. Usiłował wzniecić zapał myślami o spasionych tłustych myszach. Zaczął bić w siano kijem. Psy skowytały zachęcająco, ale jakoś nie chciało mu się polować. Widział dziadka siedzącego na ganku. Był taki drobny i szczupły.

Jody zrezygnował z polowania, wrócił na ganek i usiadł u stóp starego pana.

- Już jesteś? Pozabijałeś myszy?

- Nie, dziadku, kiedy indziej się tym zajmę.

Poranne muchy brzęczały nad samą ziemią, mrówki kręciły się w ożywieniu przed schodkami. Ze wzgórz nadciągał zapach bożydrzewiu. Deski ganku nagrzały się od słońca.

Jody nawet nie wiedział, kiedy dziadek zaczął mówić.

- Nie powinienem tu długo zostawać, źle się czuję. - Oglądał swoje silne stare dłonie. - Wydaje mi się, że to prowadzenie karawany nie było wiele warte. - Przeniósł wzrok na stoki wzgórz i zatrzymał go na sokole uczepionym suchej gałęzi. - Opowiadam te stare historie, ale to nie to, co chciałbym opowiedzieć. Wiem tylko, co bym chciał, żeby ludzie czuli, kiedy je opowiadam. Nie Indianie byli ważni ani nie przygody, nawet nie dojście tutaj. Nie, tu chodziło o tych wszystkich ludzi, którzy połączyli się w jedną wielką gromadę i ta gromada przypominała olbrzymią bestię żądną nowych zdobyczy. A ja byłem głową. Parcie na Zachód, na Zachód za wszelką cenę. Każdy człowiek chciał czegoś dla siebie, ale wielka bestia, na którą wszyscy się składali, pragnęła tylko jednego: iść na Zachód. Ja im przewodziłem, ale gdyby mnie nie było, ktoś inny objąłby prowadzenie. Bestia musiała mieć głowę. W białym południu cienie każdego krzaka wydawały się zupełnie czarne. Kiedyśmy wreszcie zobaczyli góry, zaczęliśmy płakać. Wszyscy płakaliśmy. Ale nie było ważne, żeśmy doszli do celu, ważny był ruch, ważne było parcie na Zachód. Przynieśliśmy tu życie i zorganizowaliśmy je, jak te mrówki. A ja im przewodziłem. Idea parcia na Zachód była wielka i potężna jak Bóg. Krótkie, powolne etapy marszu dodawały się i dodawały, aż wreszcie przeszliśmy cały kontynent. I stanęliśmy nad morzem, i wszystko się skończyło. - Dziadek przerwał i zaczął przecierać oczy, aż poczerwieniały mu powieki. - O tym powinienem mówić, a nie powtarzać te moje historie.

Kiedy Jody się odezwał, drgnął i spojrzał na chłopca.

- Może i ja kiedyś poprowadzę ludzi - powiedział Jody.

Stary pan uśmiechnął się.

- Kiedy nie ma już gdzie iść. Ocean zatrzymał karawanę. Na wybrzeżu mieszka dużo sta-

rych ludzi, którzy chodzą nad wielką wodę i wygrażają jej pięściami, że ich zatrzymała.

- Mógłbym popłynąć dalej okrętem, dziadku.

- Nie ma gdzie płynąć, Jody. Wszystkie ziemie już zajęte. Ale nie to jest najgorsze, nie to. Idea umarła w ludziach. Myśl o marszu na Zachód już nikogo nie nęci. Wszystko się skończyło. Twój ojciec ma rację. Skończyło się. - Przyglądał się swoim palcom, które zaplótł na kolanie.

Jody'emu zrobiło się bardzo smutno. - Mogę ci zrobić szklankę limoniady, dziadku!

Dziadek miał odmówić, ale spojrzał w twarz chłopca. - Bardzo chętnie, Jody - powiedział. - Tak, chętnie napiję się limoniady.

Jody pobiegł do kuchni, gdzie matka kończyła zmywać naczynia po śniadaniu.

- Mogę dostać cytrynę, żeby dziadkowi zrobić limoniady?

Matka przedrzeźniała: - I drugą cytrynę, żeby zrobić limoniady dla siebie...

- Nie, mamo, ja dziękuję.

- Jody, jesteś chory...? - Urwała nagle. - Weź cytrynę ze spiżarki - powiedziała miękkim głosem. - Poczekaj, zdejmę ci wyciskacz.

Tłumaczył Jan Zakrzewski